

AGATHA CHRISTIE

# KOT WŚRÓD GOŁĘBI

TYTUŁ ORYGINAŁU: CAT AMONG THE PIGEONS  
TLUMACZYŁA KRYSZYNA BOCKENHEIM

# PROLOG

## LETNI TRYMESTR

### I

Był to dzień rozpoczęcia letniego trymestru w szkole w Meadowbank. Późne popołudniowe słońce oświetlało szeroki, żwirowy podjazd przed domem. Frontowe drzwi były gościnnie otwarte i właśnie w nich stała panna Vansittart, znakomicie pasująca do georgiańskich proporcji budynku, nienagannie uczesana i ubrana w świetnie skrojony kostium.

Niektórzy nie znający jej dobrze rodzice brali ją za samą pannę Bulstrode, nie wiedząc, że dyrektorka miała zwyczaj wycofywania się do swego sanktuarium, do którego wprowadzano tylko uprzywilejowanych.

U boku panny Vansittart, nieco w głębi, działała panna Chadwick, spokojna, kompetentna i tak bardzo wrośnięta w szkole, że nic sposób było wyobrazić sobie Meadowbank bez niej. Zresztą była tu zawsze. Panna Bulstrode i panna Chadwick wspólnie zakładały te szkole. Przygarbiona, w binoklach, ubrana bez gustu, sympatyczna i roztargniona, była znakomitą matematyczką.

Powitalne słowa i zdania, wypowiedane uprzejmie przez, pannę Vansillart, szybowwały w powietrzu.

— Witam panią, pani Arnold. No, Lidio, jak się udał twój rejs po greckich wyspach? Co za wspaniała okazja! Zrobiłaś dobre zdjęcia?

— Tak, lady Garncu, panna Bulstrode otrzymała pani list w sprawie kursu malarstwa i wszystko zostało załatwione.

— Jak się pani miewa, pani Bird?... Dobrze? Wątpię żeby panna Bulstrode miała czas omówić tę sprawę właśnie dzisiaj. Jest tu gdzieś panna Rowan, może chciałaby pani z mu porozmawiać?

— Przenieśliśmy twoją sypialnię, Pamela. Jesteś w dalszym skrzydle, koło jabłoni...

— Rzeczywiście, lady Violet, pogoda tego lata była okropna. To pani najmłodszy synek? Jak mu na imię? Hector? Jaki śliczny samolot masz, Hektorze!

— *Très heureuse de vous voir, madame. Ah, je regrette, ce ne serait pas possible, cet après-midi. Mademoiselle Bulstrode est tellement occupée.\**

— Dzień dobry, profesorze. Wykopał pan jeszcze więcej ciekawych rzeczy?

### II

W małym pokoju na pierwszym piętrze Ann Shaplandl, sekretarka panny Bulstrode, pisała szybko i wprawnie na maszynie. Ann była przystojną trzydziestopięcioletnią kobietą z włosami przypominającymi czarną, atlasową czapkę. Kiedy chciała, potrafiła być pociągająca, ale życie nauczyło ją, że sprawność i kompetencja często opłacają się bardziej i oszczędzają bolesnych komplikacji. W tej chwili starała się być idealną sekretarką dyrektorki słynnej szkoły dla dziewcząt.

Od czasu do czasu, umieszczając nową kartkę w maszynie, spoglądała przez okno i zwracała uwagę na przybywających.

---

\* fr. Miło mi, że panią widzę. Żałuję, że panna Bulstrode nie będzie mogła pani przyjąć.

— Na litość boską! — powiedziała do siebie ze zgrozą. — Nie wiedziałam, że w Anglii jest jeszcze tylu szoferów!

Uśmiechnęła się mimowolnie, kiedy majestatyczny rolls-royce odjechał, ustępując miejsca bardzo małemu i sfatygowanemu austinowi. Z samochodu wyłonił się zdenerwowany ojciec z córką wyglądającą znacznie spokojniej.

Mężczyzna zatrzymał się niepewnie, lecz panna Vansittart wyłoniła się z domu i zajęła przybyłymi.

— Major Hargaves? A to Alison? Proszę wejść. Chciałabym, żeby osobiście zobaczył pan pokój Alison. Ja...

Ann uśmiechnęła się, wracając do pisania.

— Zaczna, stara Vansittart, dublerka doskonała — powiedziała do siebie. — Kopiuje wszystkie triki panny Bulstrode. Co prawda, jest świetna!

Ogromny i szalenie luksusowy cadillac, błyszczący malinowym i lazurowym lakierem, wpłynął (nie bez trudności z powodu swoich rozmiarów) na podjazd i stanął za antycznym austinem majora Hargravesa.

Szofer wyskoczył, otworzył drzwi i z samochodu wysiadł ciemnoskóry mężczyzna z wielką brodą, następnie wyłoniła się wierna kopia modelu z paryskiego żurnala, a za nimi szczupła, ciemnowłosa dziewczyna.

— To pewnie sama księżniczka Jakaśtam — pomyślała Ann. — Nic potrafię wyobrazić sobie jej w szkolnym mundurku, ale zapewne jutro nastąpi cud.

Na powitanie pojawiły się zarówno panna Vansittart, jak i panna Chadwick.

— Zostaną zaprowadzeni przed Oblicze — zdecydowała Ann.

Potem pomyślała, że, dziwna rzecz, nikt nie lubi stroić żartów z panny Bulstrode. Panna Bulstrode to był KTOS.

— Więc lepiej pilnuj swego nosa, dziewczyno — po wiedziała do siebie — i skończ te listy nie robiąc błędów.

Co prawda Ann nie miała zwyczaju robić błędów. Mogła przebierać w ofertach dla sekretarek. Była asystentką prezesa towarzystwa naftowego, prywatna, sekretarka, sir Mervyna Todhuntera, słynnego z erudycji, drażliwości i nieczytelnego pisma. Mogła też wymienić wśród swoich pracodawców dwóch ministrów i ważnego urzędnika państwowego. Na ogół pracowała z mężczyznami. Ciekawiło ją, jak zniesie to pograżenie się w morzu kobiecości. No cóż — to był eksperyment! I zawsze był jeszcze Dennis! Wierny Dennis, wracający z Malajów, z Birmy, z różnych zakątków świata, zawsze ten sam, oddany, proponujący małżeństwo. Kochany Dennis! Byłoby jednak nudne wyjść za mąż za Dennisa.

W najbliższym czasie miała być pozbawiona męskiego towarzystwa. Same zdziwaczałe nauczycielki — nie ma tu żadnego mężczyzny, z wyjątkiem ogrodnika pod osiemdziesiątkę.

Tu jednak czekała Ann niespodzianka. Zobaczyła przez okno człowieka przycinającego żywopłot za podjazdem — wyraźnie był to ogrodnik, ale do osiemdziesiątki brakowało mu bardzo dużo. Młody, ciemnowłosy, przystojny. Zaciekawiał Ann; ostatnio była mowa o wzięciu dodatkowego pracownika, ale to nie był prostak. No cóż, ludzie dzisiaj chwytają się każdej pracy. Niektórzy młodzi ludzie próbują zbierać fundusze na realizację jakichś planów albo po prostu ledwie mogą wyżyć z wynagrodzenia, jakie otrzymują od pracodawców. Ale przycinał żywopłot bardzo fachowo. Przymuszczałnie był jednak ogrodnikiem!

— Ten człowiek mógłby być zabawny... — powiedziała Ann do siebie.

Jeszcze tylko jeden list, zauważyła z zadowoleniem, i będzie mogła przejść się po ogrodzie.

### III

Na górze panna Johnson, opiekunka internatu, przydzielała pokoje, witała nowicjuszek i dawne uczennice.

Była rada, że rozpoczyna się nauka. Nigdy nie wiedziała, co począć ze sobą podczas wakacji. Miała dwie zamężne siostry, które odwiedzała kolejno, ale były one bardziej zaabsorbowane własnymi sprawami i rodziną niż szkołą w Meadowbank. Pannę Johnson, choć naturalnie lubiła swoje siostry, interesowała wyłącznie szkoła.

Tak, to przyjemne, że zaczął się trymestr.

— Panno Johnson?

— Słucham, Pamelu.

— Wydaje mi się, że coś się rozbiło w mojej walizce. Rozlało się na rzeczy. Chyba olejek cło włosów.

— Ojej — powiedziała panna Johnson, śpiesząc z pomocą.

#### IV

*Mademoiselle* Blanche, nowa nauczycielka francuskiego, spacerowała po trawniku rozciągającym się za podjazdem. Oszacowała wzrokiem krzepkiego, młodego człowieka, strzygącego żywopłot.

— *Assez bien*\* — pomyślała.

*Mademoiselle* Blanche była szczupłą, trochę podobną do myszy i niezbyt wpadająca w oczy, natomiast sama zauważała wszystko.

Przeniosła wzrok na procesję samochodów podjeżdżających pod frontowe drzwi. Otaksowała je pod kątem cen. Na pewno Meadowbank była *formidable!*\* Oceeniła w myśli zyski panny Bulstrode! *Formidable!*

#### V

Panna Rich, ucząca angielskiego i geografii, zbliżająca się do domu szybkimi krokami, zawahała się, gdyż jak zwykle zapomniała, dokąd idzie. Jej włosy, także jak zwykle, wysunęły się z koka. Miała brzydką, ale pełną entuzjazmu twarz. Mówiła do siebie:

— Wrócić (utaj! Być tu znowu... Wydaje się, że to już lata... — potknęła się o grabie i młody ogrodnik wyciągnął rękę mówiąc:

— Ostrożnie, proszę pani.

Eilcen Rich odparła „dziękuję”, nie patrząc na niego.

#### VI

Panna Rowan i panna Blake, dwie najmłodsze nauczycielki, wędrowały w kierunku pawilonu sportowego. Panna Rowan była szczupłą, ciemną i żywą, panna Blake pulchną i jasną. Omawiały z ożywieniem niedawne przygody we Florencji: oglądane obrazy, rzeźby, kwitnące drzewa owocowe i zaloty dwóch włoskich dżentelmenów (mających zapewne złe zamiary).

— Oczywiście wiadomo, jacy są Włosi — rzekła panna Blake.

---

\* fr. Nieźle.

\* fr. Wspaniale!

— Spontaniczni — dorzuciła panna Rowan, która studiowała psychologię, jak również ekonomię. — Zupełnie nieskomplikowani, to widać. Żadnych zahamowań.

— Jednak Giuseppe był pod wrażeniem, kiedy dowiedział się, że uczę w Meadowbank — rzekła panna Blake. — Zaraz nabrał szacunku. On ma kuzynkę, która chce tu przyjechać, ale panna Bulstrode nie była pewna, czy znajdzie miejsce.

— Meadowbank jest szkołą, która się naprawdę liczy — oświadczyła panna Rowan z zadowoleniem. — Nowy pawilon sportowy robi wrażenie. Nie sądziłam, że będzie gotowy na czas.

— Panna Bulstrode powiedziała, że będzie — oświadczyła panna Blake z przekonaniem.

— Och! — wykrzyknęła nagle, zaskoczona. Drzwi pawilonu sportowego otwarty się gwałtownie i ukazała się w nich koścista młoda kobieta z rudymi włosami. Spojrzała na nie nieprzyjaźnie i oddaliła się szybko.

— To musi być nowa gimnastyczka — powiedziała panna Blake. — Jaka nieokrzesana!

— Niezbyt przyjemny nabytek w zespole. Panna Jones była taka życzliwa i towarzyska.

— Dosłownie spiorunowała nas wzrokiem — dodała panna Blake urażenia.

Obie poczuły się dotknięte.

## VII

Gabinet panny Bulstrode miał okna wychodzące w dwóch różnych kierunkach: jedno na podjazd i leżący za nim trawnik, drugie na rząd rododendronów za domem. Pokój był imponujący, a sama panna Bulstrode była kobietą bardziej niż imponującą. Wysoka, wyglądająca godnie, świetnie uczesana, miała spoglądające z humorem szare oczy i twarde zarys ust. Sukces szkoły (Meadowbank stała się jedną z najpopularniejszych w Anglii) wynikał niewątpliwie z osobowości jej dyrektorki. Była to bardzo droga szkoła, ale to nie miało znaczenia: płaciłeś słono, ale dostawałeś w zamian coś, co było tego warte.

Twoja córka uczyła się tego, co chciałeś i tego, czego życzyła sobie panna Bulstrode, a rezultat połączenia tych dwóch intencji był satysfakcjonujący. Dzięki wysokim opłatom dyrektorka mogła zatrudniać liczny personel. W szkole nie było nic z masowej produkcji, ale mimo indywidualnego podejścia do uczennic panował tam również pewien rygor. Dyscyplina bez reżimu, to była dewiza panny Bulstrode. Uważała, że trzymanie w ryzach uspokaja młodzież i daje jej poczucie bezpieczeństwa, natomiast reżim drażni. Wychowanki stanowiły bardzo zróżnicowaną grupę. Było wśród nich kilka cudzoziemek z dobrych, często królewskich rodzin. Były też angielskie dziewczęta, bogate lub z odpowiednich rodzin, pragnące studiować rozmaite dziedziny sztuki, zdobyć towarzyską ogładę i ogólną wiedzę, dzięki czemu stałyby się miłe, eleganckie i zdolne do prowadzenia inteligentnej rozmowy na każdy temat. Ale nie brakowało dziewczyn, które zamierzały pracować rzetelnie, zdać egzaminy wstępne na wyższą uczelnię i zdobyć stopień naukowy; te potrzebowały jedynie dobrego nauczania i szczególnej uwagi. Niektóre reagowały negatywnie na szkołę typu konwencjonalnego. Panna Bulstrode posiadała jednak swoje zasady; nie tolerowała uczennic słabo rozwiniętych umysłowo ani młodocianych przestępczyń, wołała też przyjmować dziewczyny, których rodzice podobali się jej, i takie, u których dostrzegała możliwości rozwoju. Wiek uczennic był bardzo zróżnicowany. Jedne uznano by w dawnych czasach za dorosłe, inne za trochę więcej niż dzieci. Rodzice niektórych przebywali za granicą i dla tych przełożona planowała interesujące wakacje. Ostatnią instancją w kwestii przyjęcia była aprobata samej panny Bulstrode.

Stała teraz obok kominka, słuchając jęklivego głosu pani Gerald Hope, której bardzo przewidująco nic zaproponowała, by usiadła.

— Widzi pani. Henrietta jest bardzo nerwowa. Naprawdę niezwykle nerwowa. Nasz lekarz mówi... Panna Bulstrode skinęła głową uspokajająco i powstrzymała się od wygłoszenia jadownego zdania, co często ją korciło. Tak więc zamiast: „Nie rozumiesz, idiotko, że to właśnie mówi każda głupia baba o swoim dziecku?”, odezwała się życzliwie.

— Nie potrzebuje się pani martwić, pani Hope. Panna Rowan, członek naszego zespołu, jest doświadczonym psychologiem. Będzie pani zaskoczona, jestem tego pewna, zmianą, jaką znajdzie pani w Henriecie (która jest miłym, inteligentnym dzieckiem, o wiele za dobrym dla ciebie) po jednym lub dwóch trymestrach.

— Och, wiem. Zrobiła pani cuda z tą małą Lambethów, dosłownie cuda! Toteż jestem ogromnie szczęśliwa. I... ach, tak, zapomniałam. Za sześć tygodni jedziemy na południe Francji. Chciałabym zabrać Henriettę. To byłaby dla niej przyjemna odmiana.

— Obawiam się, że to zupełnie niemożliwe — powiedziała panna Bulstrode pogodnie i z czarującym uśmiechem, jakby spełniała prośby, a nie odmawiała.

— Och! Ależ... — anemiczna, nadąsana twarz pani Hope zmieniła się, okazując irytację: — Naprawdę, muszę się upierać. Ostatecznie to moje dziecko.

— Tak jest. Ale moja szkoła.

— Zapewne jednak mogę zabrać dziecko ze szkoły w każdej chwili?

— Oczywiście — potwierdziła panna Bulstrode. — Może pani. Naturalnie. Ale w takim przypadku ja nie muszę przyjąć jej z powrotem.

Pani Hope była naprawdę wściekła:

— Zważywszy wysokość opłat...

— Właśnie — powiedziała panna Bulstrode. — Pragnęła pani umieścić córkę w mojej szkole, prawda? I musi pani zaakceptować ją taką, jaka jest, albo zrezygnować. Podoba mi się ta suknia od Balenciagi, którą pani nosi. Bo to Balenciaga, prawda? To wspaniałe spotkać kobietę, ubierającą się z takim wyczuciem.

Jej ręka ujęła dłoń pani Hope, uściśliła ją i niedostrzegalnie skierowała gościa w stronę drzwi.

— Proszę się o nic nie martwić. Ach, tu jest Henrietta: czeka na panią. — Popatrzyła z aprobatą na miłą, zrównoważoną, bystrą dziewczynkę, która zasługiwała na lepszą niańkę. — Margaret, zaprowadź Henriettę do panny Johnson.

Dyrektorka wycofała się do swego gabinetu i po chwili mówiła po francusku:

— Ależ oczywiście, ekscelencjo, pańska siostrzenica może uczyć się nowoczesnych tańców. W życiu towarzyskim to bardzo ważne. Języki również uważani za niezbędne.

Następni goście tak silnie wionęli od progu zapachem modnych perfum, że pannę Bulstrode niemal cofnęło.

— Musi wylewać na siebie codziennie całą butelkę tego świństwa — pomyślała witając elegancko ubraną, ciemnoskórą kobietę.

— *Enchantée, madame\**.

*Madame* zachichotała milutko.

Wielki brodaty mężczyzna w orientalnym stroju ujął rękę panny Bulstrode pochylając się, nad nią i odezwał się znakomitą angielszczyzną: — Mam zaszczyt przedstawić pani księżniczkę Shaiste.

Panna Bulstrode wiedziała wszystko o nowej uczennicy, przybyłej) właśnie ze szkoły w Szwajcarii, ale miała bardzo mgliste pojęcie o eskortującej ją osobie. Nie był to sam emir, zdecydowała, prawdopodobnie minister lub *chargé d'affaires*. Jak zwykle, kiedy nic miała pewności, posłużyła się tytułem „ekscelencjo” i zapewniła, że księżniczka znajdzie najlepszą opiekę.

---

\* fr. Miło mi.

Shaista uśmiechała się grzecznie. Była również modnie ubrana i uperfumowana. Panna Bulstrode wiedziała, że ma piętnaście lał, ale jak wiele dziewcząt ze Wschodu czy znad Morza Śródziemnego, wyglądała na starszą, zupełnie dojrzałą. Panna Bulstrode rozmawiała z nią o planowanej nauce i stwierdziła z ulgą, że dziewczyna odpowiada bez namysłu, w znakomitej angielszczyźnie i nic chichocze. Właściwie jej sposób bycia przedstawiał się korzystnie w porównaniu z zachowaniem wielu angielskich piętnastolatek. Panna Bulstrode często myślała, że wysyłanie dziewcząt brytyjskich za granicę, na Bliski Wschód, aby tam nauczyły się grzeczności i dobrych manier, byłoby znakomitym pomysłem. Wymieniono jeszcze trochę komplementów i pokój znowu opustoszał, choć wciąż wypełniała go tak ciężka woń perfum, że dyrektorka otworzyła szeroko oba okna, aby trochę przewietrzyć.

Z kolei zjawiała się pani Upjohn z córką Julią.

Pani Upjohn była sympatyczny, trzydziestoparoletnią kobietą, piegowatą, z rudawymi włosami, nosząca nietwarzowy kapelusz: widoczne ustępstwo na rzecz powagi sytuacji, ponieważ najwyraźniej była typem młodej kobiety, chodzącej z gołą głową.

Julia była zwyczajnym, pogodnym, piegowatym dzieckiem o inteligentnym czole.

Wstępne rozmowy zakończyły się szybko i Julia została, z pomocą Margaret, wysłana do panny Johnson. Wychodząc powiedziała wesoło: — Do zobaczenia, mamusiu. Uważaj zapalając piecyk gazowy, kiedy mnie przy tym nie będzie.

Panna Bulstrode odwróciła się z uśmiechem do pani Upjohn, ale nic poprosiła jej, aby usiadła. Mimo pogody i zdrowego rozsądku Julii, jej matka mogła również uważać, że córka jest bardzo nerwowa.

— Czy chciałaby pani powiedzieć mi coś szczególnego o Julii?

Pani Upjohn odparła spokojnie:

— Chyba nic. Julia jest bardzo zwyczajnym dzieckiem. Jest zupełnie zdrowa. Uważam ją za dosyć bystrą, ale chyba wszystkie matki tak sądzą o swoich dzieciach, prawda?

— Malki — odparła panna Bulstrode uśmiechając się — mają różne zdania.

— To cudowne, że mogła tu przyjechać — rzekła pani Upjohn. — Moja ciotka pokrywa kosztą, a raczej pomaga nam płacić. Sama nic mogłabym pozwolić sobie na taki wydatek. Ogromnie się cieszę. I Julia również. — Podeszła do okna i powiedziała z zazdrością: — Jaki śliczny jest pani ogród. I tak dobrze utrzymany. Musi pani mieć mnóstwo prawdziwych ogrodników.

— Mamy trzech. Teraz jednak brakuje rąk do pracy, poza miejscowymi ludźmi.

— Oczywiście kłopot polega na tym, że często ktoś uważa siebie za ogrodnika, a jest tylko, na przykład, mleczarzem, który chce sobie dorobić, albo ma osiemdziesiąt lat. Myślę czasami... Ach! — wykrzyknęła pani Upjohn, wciąż patrząc przez okno — coś podobnego!

Panna Bulstrode poświęciła naglemu okrzykowi mniej uwagi niż powinna. Ona sama spojrzała bowiem przypadkowo w inne okno, wychodzące na krzewy rododendronów i dostrzegła coś wielce niepożądanego, a mianowicie lady Veronikę Carlton-Sandways zataczającą się po ścieżce, w krzywo włożonym wielkim, czarnym kapeluszu, mamroczącą coś do siebie, najwyraźniej kompletnie pijaną.

Ten widok nie stanowił niespodzianki. Lady Veronica była uroczą kobietą, głęboko przywiązaną do swoich bliźniaczek i czarującą panią, dopóki, jak to się mówi, „była sobą” — ale niestety w nieprzewidywalnych odstępach czasu sobą nie bywała. Jej mąż, major Carlton-Sandways, radził sobie z tym całkiem nieźle. Mieszkała z nimi kuzynka, która zwykle była w pogotowiu, aby mieć oko na swoją krewną i odciąć jej drogę, jeśli zachodziła taka potrzeba. Na szkolne Święto Sportu lady Veronica przyjechała w asyście obojga, całkowicie trzeźwa i pięknie ubrana, i była wzorem matki.

Zdarzało się jednak, że potrafiła wymknąć się swoim bliskim, upić i pomknąć prosto do córek, aby okazać im macierzyńską miłość. Tego dnia bliźniaczki przyjechały wcześniej rano pociągiem, ale nikt nic spodziewał się ich matki.

Pani Upjohn wciąż mówiła, ale panna Bulstrode nie słuchała. Przewidywała rozmaite warianty rozwoju akcji, ponieważ zorientowała się, że lady w wojowniczy nastrój. Nagle, jakby w odpowiedzi na modły, zjawiła się różnym klusem lekko zdyszana panna Chadwick. „Zacna Chaddy, pomyślała panna Bulstrode.

Można na niej polegać, niezależnie od tego czy chodzi o zakłócenia mchu, czy o pijanych rodziców”.

— Haniebne — oświadczyła lady Veronica głośno. — Próbują mnie zatrzymać... nic pozwalają mi przyjechać tułaj... Nabrałam Edytę. Poszłam odpocząć... wzięłam samochód... wymknęłam się głupiej, starej Edycie... zwyczajna stara panna... żaden mężczyzna nie spojrzął na nią dwa razy... Miałam kłótnię z policją po drodze... mówili, że nic jestem w stanie prowadzić samochodu... bzdura... Zamierzam powiedzieć panie Bulstrode, że zabieram dziewczynki do domu... chce je mieć w domu... miłość matki. Cudowna rzecz, miłość maiki...

— Wspaniale, lady Veroniko — powiedziała panna Chadwick. — Tak się cieszymy, że pani przyjechała. Zwłaszcza ja, bo chcę pokazać pani nowy pawilon sportowy. Będzie pani zachwycona.

Zręcznie skierowała niepewne kroki lady Veroniki w przeciwną stronę, odwodząc ją od domu.

— Myślę, że znajdziemy tam pani dziewczynki — rzekła z ożywieniem. — Taki ładny pawilon, nowe szafki i suszarnia kostiumów kąpielowych... — ich głosy oddaliły się.

Panna Bulstrode czekała. Jeszcze raz lady Veronica spróbowała wyrwać się i zawrócić w stronę domu. ale panna Chadwick dopadła ją. Zniknęły za rododendronami, kierując się ku odległemu pawilonowi sportowemu.

Dyrektorka odetchnęła z ulgą. Niezrównana Chaddy. Taka niezawodna! Nie jest nowoczesna. Nic jest nawet mądra — poza matematyką — ale zawsze obecna, kiedy trzeba pomóc w tarapatkach.

Zwróciła się uspokojona z poczuciem winy do pani Upjohn, która od pewnego czasu coś opowiadała...

— ...choć oczywiście nic z gatunku płaszcza i szpady. Żadnych skoków ze spadochronem, sabotażu czy pracy kuriera. Nie miałabym dosyć odwagi. Zwyczajne głupstwa. Praca biurowa i sporządzanie planów. Kreślenie na mapie, a nie tworzenie fabuł. Ale czasem to było emocjonujące, a często zupełnie przyjemne — wszyscy ci tajni agenci, śledzący się wzajemnie po całej Genewie, znający się z widzenia i często kończący dzień w tym samym barze. Oczywiście nie byłam w tym czasie zamężna. To była świetna zabawa.

Przerwała nagle z przyjaznym i przepraszającym uśmiechem.

— Przykro mi, że tyle gadam. Zabieram czas, gdy musi pani widzieć się z tyłoma osobami.

Wyciągnęła rękę, powiedziała „do widzenia” i wyszła.

Panna Bulstrode stała chwilę marszcząc brwi. Instynkt ostrzegł ją, że przeoczyła coś, co mogło okazać się ważne.

Odrzuciła tę myśl. To był dzień rozpoczęcia zajęć i miała przyjąć znacznie więcej rodziców. Nigdy jej szkoła nie była bardziej popularna, bliższa szczytu sławy.

Nic nie zapowiadało, że za parę tygodni Meadowbank pograży się w morzu kłopotów, że zapanują tam zamęt, chaos i mord, że pewne zdarzenia już się toczą...



## ROZDZIAŁ PIERWSZY REWOLUCJA W RAMACIE

Około dwóch miesięcy przed rozpoczęciem letniego trymestru w Meadowhank, zdarzyło się coś, co miało nieoczekiwany związek z tą głośną szkołą dla dziewcząt.

W pałacu w Ramacie siedzieli dwaj mężczyźni, paląc papierosy i rozważając najbliższą przyszłość. Jednym z nich był ciemnowłosy, o oliwkowej, gładkiej skórze i wielkich melancholijnych oczach książę Ali Yusuf, dziedziczny szejk Ramatu, małego kraju należącego do najbogatszych państw na Bliskim Wschodzie. Drugi młodzieniec miał rudawe włosy, piegi i raczej nie posiadał pieniędzy, poza wysoko pensją, jaka pobierał w charakterze prywatnego pilota jego wysokości. Mimo tej różnicy pozycji stosunki między nimi układały się na zasadzie równości. Chodzili do tej samej szkoły i przyjaźnili się od niepamiętnych czasów.

— Strzelali do nas. Bob — powiedział książę z niedowierzaniem.

— Rzeczywiście strzelali — zgodził się Bob Rawlinson.

— I myślą o tym. Zamierzają nas zabić.

— Te sukinsyny mają taki zamiar — przytaknął Bob, krzywiąc się.

Ali zastanawiał się chwilę.

— Chyba nic warto próbować znowu?

— Tym razem szczęście mogłoby nam nie dopisać. Prawdę mówiąc, Ali, wyruszyliśmy za późno. Powinieneś służyć dwa tygodnie temu. Mówiłem ci o tym.

— Nikt nie lubi uciekać — rzekł władca Ramatu.

— Rozumiem twój punkt widzenia. Pamiętaj jednak, co powiedział Szekspir, czy któryś z tych facetów od poezji, że ci, którzy uciekają, żyją. by kiedyś walczyć.

— Pomyśleć tylko o tych pieniądzach wydanych na opiekę społeczną, szpitale, szkoły, służbę zdrowia...

Bob przerwał to wyliczanie:

— Może ambasada mogłaby coś poradzić? Ali Yusuf poczerwieniał z gniewu.

— Znaleźć azyl w waszej ambasadzie? Nigdy. Ekstremiści prawdopodobnie napadliby na budynek; oni nie uznają immunitetu dyplomatycznego. Poza tym. to byłby koniec! Główny zarzut przeciw mnie brzmi, że jestem prozachodni. — Westchnął. — Trudno to pojąć.

— Jego smutny głos wydawał się młodzieńczy, jakby Ali nie miał jeszcze swoich dwudziestu pięciu lat.

— Mój dziadek był okrutnym człowiekiem, prawdziwym tyranem. Miał setki niewolników i traktował ich srogo. W plemiennych wojnach zabijał wrogów bezlitośnie. Wszyscy bledli na dźwięk jego imienia. A jednak on jest wciąż legendą! Podziwiany! Szanowany! Wielki Ahmed Abdullah! A ja? Co takiego zrobiłem? Buduję szpitale, szkoły, mieszkania, organizuję opiekę społeczną... wszystko, czego ludzie potrzebują. Oni nic chcą tego? Wołają, żeby panował terror, jak za mojego dziadka?

— Przypuszczam, że tak — odparł Bob. — Wydaje się to trochę niesprawiedliwe, ale cóż. jeśli tak jest?

— Ale dlaczego. Bob? Dlaczego?

Bob westchnął i spróbował wyjaśnić, starając się przełamać własną małomówność.

— Cóż, jego panowanie było... widowiskowe, przypuszczam, że o to chodziło. Był... laki dramatyczny, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Popatrzył na przyjaciela, który zdecydowanie nie był dramatyczny. Miły, spokojny, przyzwoity facet, szczerzy i powściągliwy, taki właśnie był Ali i dlatego Bob go lubił. Nie był

malowniczy ani gwałtowny, ale jeżeli w Anglii tacy ludzie powodują;) zakłopotanie i nie są zbyt lubiani, na Bliskim Wschodzie, o ile Bob wiedział, sprawy wyglądały inaczej.

— Ale demokracja... — zaczął Ali.

— Och, demokracja... — Bob machnął łajką. — To słowo ma w różnych miejscach różne znaczenia. Nigdy nie oznacza tego, co mieli na myśli Grecy. Założę się z tobą, o co chcesz, że jeśli zostaniesz, stąd wykopany, przyjdą tu nadęci faceci, zaczną głośno chwalić, wspierając się Bogiem Wszechmogącym i wieszając albo ucinając głowy wszystkim, którzy ośmielą się nie zgadzać z nimi. I zapamiętaj sobie, oświadczą, że to jest demokratyczne państwo, stworzone przez ludzi dla ludzi.

I spodziewam się, że ludzie będą zadowoleni. Dla nich to podniecające. Wielki rozlew krwi.

— Ale my nie jesteśmy dzikusami! Jesteśmy teraz cywilizowani.

— Są różne rodzaje cywilizacji... Poza tym sądzę, że wszyscy mamy w sobie trochę dzikości, jeśli tylko potrafimy wymyślić odpowiednie usprawiedliwienie, aby jej nie hamować.

— Może masz, rację — powiedział Ali ponuro.

— To, czego ludzie sobie w obecnych czasach nigdzie nie życzą, to człowiek ze zdrowym rozsądkiem. Nigdy nie byłem szczególnie mądry, wiesz, o tym dobrze, ale często myślę, że to, czego światu potrzeba naprawdę, to odrobiny rozumu. — Odłożył fajkę i usiadł w fotelu.

— Ale mniejsza o to. Rzecz w tym, że chcemy wyciągnąć cię stąd. Czy w armii jest ktoś, komu możesz, wierzyć?

Księżę powoli potrząsnął głową.

— Przed dwoma tygodniami mógłbym odpowiedzieć „tak”. Teraz jednak nie wiem... nie mogę być pewny.

Bob skinął głową. — Cholerna sprawa. A na myśl o tych z pałacu, przechodzą mnie ciarki. Ali zgodził się.

— Tak, wszędzie w pałacu są szpiedzy... Słyszą wszystko... wiedzą o wszystkim...

— Nawet w hangarach... — przerwał Bob. — Stary Ahmed miał rację. Posiadał szósty zmysł. Trzeba znaleźć jakiegoś mechanika sprawdzającego samoloty, jednego z tych, którym można absolutnie wierzyć. Słuchaj Ali, jeżeli mamy wydobyć cię stąd, musi to nastąpić wkrótce.

— Wiem, wiem. Myślę... jestem teraz pewien... że jeśli zostanę, zabiją mnie.

Powiedział to bez emocji czy paniki, raczej z umiarkowanym zainteresowaniem.

— Będziemy mieli wiele okazji, żeby zginąć — ostrzegł go Bob. — Wiesz, że musimy lecieć na północ. Na tej trasie nie będą mogli nas przechwycić. Ale to oznacza przelot nad górami... o tej porze roku...

Wzruszył ramionami. — Powinieneś zrozumieć, że to cholernie ryzykowne.

Ali Yusuf wydawał się strapiiony.

— Jeżeli cokolwiek przydarzy się tobie...

— Nie martw się o mnie. Ali. Nie to miałem na myśli. Nic jestem nikim ważnym. Ponadto tacy faceci jak ja giną wcześniej czy później. Zawsze popełniani szaleństwa. Nie, tu chodzi o ciebie. Nic chcę cię przekonywać cło lej czy innej decyzji. Jeśli jakaś część twojej armii jest lojalna...

— Nie podoba mi się pomysł ucieczki — powiedział Ali po prostu. — Nie chcę jednak zostać męczennikiem i pozwolić, by motłoch rozerwał mnie na kawałki.

Milczał ę

— A więc dobrze — rzekł z westchnieniem. — Spróbujemy. Kiedy?

Bob wzruszył ramionami:

— Im prędzej, tym lepiej. Musimy sprowadzić cię na pas startowy w jakiś naturalny sposób... Na przykład powiesz, że jedziesz na inspekcję budowy drogi za Al Jasar. Nagła

zachcianka. Ruszamy dziś po południu. Kiedy twój samochód będzie mijał pas startowy, zatrzymaj się tam. Ja będę miał maszynę przygotowaną i zatankowane paliwo. Pomysł polega na tym, że przeprowadzamy inspekcję z powietrza, rozumiesz? Startujemy i jazda! Oczywiście nie możemy brać żadnych bagaży. Musi to być zupełna improwizacja.

— Nie ma nic, co chciałbym wziąć ze sobą, z wyjątkiem jednej rzeczy...

Uśmiechnął się i ten uśmiech nagle odmienił jego twarz. Nie był już współczesnym, młodym człowiekiem, który przyjął kulturę Zachodu, w jego uśmiechu była przebiegłość i chytryść rasy, które pozwoliły przetrwać długiej linii jego przodków.

— Jesteś moim przyjacielem, więc zobaczysz. Włożył rękę pod koszulę i szukał chwili. Polem wyjął mały woreczek z irchy.

— To? — Bob zmarszczył brwi zaintrygowany. Ali zdjął mieszek z szyi, rozwiązał i wysypał zawartość na stół

Bob wstrzymał oddech, a potem gwizdnął cicho.

— Wielki Boże! Czy są prawdziwe? Ali wydawał się ubawiony.

— Oczywiście. Większość z nich należała do mego ojca. Co roku kupował nowe, ja zresztą też. Pochodzą z wielu miejsc, zostały nabyte dla nas przez zaufanych ludzi w Londynie, Kalkucie, Południowej Afryce. To tradycja naszej rodziny. Mieć je na wypadek potrzeby. — Rzeczowym tonem dodał: — Według dzisiejszych cen warte są trzy czwarte miliona.

— Trzy czwarte miliona funtów — Bob pozwolił sobie na ponowne gwizdnięcie, podniósł kamienie i przesypał je przez palce. — Fantastyczne. Jak w bajce. To załatwia twoje sprawy.

— Tak — ciemnoskóry mężczyzna skinął głową. Znowu znużenie odbiło się na jego twarzy. — Kiedy chodzi o szlachetne kamienie, ludzie przestają być sobą. Za takimi rzeczami ciągną się gwałt i przemoc. Śmierć, rozlew krwi, morderstwo. A kobiety są najbardziej chciwe, ponieważ nie chodzi im wyłącznie o wartość, lecz o same kamienie. Piękne klejnoty doprowadzają kobiety do szaleństwa. Pragną je posiadać. Nosić na szyjach, na piersiach. Nie powierzyłbym ich żadnej kobiecie. Ale tobie ufam.

— Mnie? — Bob wytrzeszczył oczy.

— Tak. Nie chcę, by te kamienie wpadły w ręce moich wrogów. Nie wiem, kiedy zacznie się rewolta przeciwko mnie. Może być planowana już na dziś. Mogę nie dożyć popołudniowego lotu. Weź kamienie i zrób, co się da.

— Chwileczkę, nie rozumiem. Co mam z nimi zrobić?

— Postaraj się wywieźć je z kraju

Ali pogodnie przyglądał się wzburzonemu przyjacielowi.

— Chcesz powiedzieć, że ja mam się nimi zaopiekować zamiast ciebie?

— Można to tak ująć. Myślę, że potrafisz wykombinować lepszy plan zabrania ich do Europy, niż ja.

— Ależ posłuchaj Ali, nie mam najmniejszego pojęcia, jak się do tego zabrać.

Ali rozsiadł się w swoim fotelu. Uśmiechał się spokojnie, nieco ubawiony.

— Masz zdrowy rozsądek. Jesteś uczciwy. Pamiętam czasy, kiedy w szkole byłeś moim młodszym kolegą i miewałeś zawsze dowcipne pomysły... Daję ci nazwisko i adres faceta, który załatwia dla mnie te sprawy, na wypadek gdybym me przeżył. Nie denerwuj się. Bob. Zrób, co się da. To wszystko, o co proszę. Nie będę cię winił, jeśli ci się nic powiedzie. Jest tak, jak chce Allah. Dla mnie to proste. Nie chcę, by te kamienie zabrano z moich zwłok. A reszta... — wzruszył ramionami. — Tak jak powiedziałem. Wszystko stanie się według woli Allaha.

— Odbiło ci!

— Nie. Jestem fatalistą, to wszystko. — Posłuchaj. Ali. Powiedziałeś przed chwilą, że jestem uczciwy. Ale trzy czwarte miliona... Nie sądzisz, że to może nadwątlić uczciwość

każdego człowieka? Ali Yusuf popatrzył na przyjaciela ciepło. — To dosyć dziwne — powiedział — ale w tej kwestii nie mam wątpliwości.

## ROZDZIAŁ DRUGI KOBIETA NA BALKONIE

### I

Idąc marmurowymi korytarzami pałacu, odbijającymi echo jego kroków. Bob czuł się głęboko nieszczęśliwy. Świadomość, że w kieszeni spodni ma trzy czwarte miliona funtów, załamała go zupełnie. Miał uczucie, że każdy ze spotykanych pracowników pałacu musi o tym wiedzieć. Wydawało mu się nawet, że informacja o cennym ciężarze maluje się na jego twarzy. Ulżyłoby mu, gdyby dowiedział się, że jego piegowate oblicze ma ten sam co zwykle wyraz dobrodusznej pogody.

Warta na zewnątrz sprezentowała broń ze szczękiem. Bob wyszedł na zatłoczoną główną ulicę Ramatu jeszcze oszołomiony. Dokąd pójść? Co zrobić? Nie miał pojęcia. A czasu było niewiele.

Główna ulica wyglądała jak wiele innych na Środkowym Wschodzie: stanowiła mieszaninę nędzy i przepychu. Banki ukazywały swoją nowo wybudowaną świetność. Niezliczone małe sklepiki oferowały tandetne plastikowe drobiazgi. Buciczki dla niemowląt i tanie zapalniczki wysławiano w zaskakujących zestawieniach. Były tam maszyny do szycia i części zamienne do samochodów, apteki proponowały upstrzone przez muchy patentowane leki, dużą ilość reklam penicyliny i innych antybiotyków w każdej postaci. Niewiele sklepów posiadało coś, co rzeczywiście chciałoby się kupić, oprócz najnowszych modeli szwajcarskich zegarków, których setki leżały w malutkim oknie. Asortyment był tak wielki, że każdy broniłby się przed kupnem, po prostu osłepiony ilością.

Wędrując tak w pewnego rodzaju oszołomieniu, potrącany przez postacie w narodowych lub europejskich strojach, Bob opanował się wreszcie i zapytał siebie, dokąd, u diabła, idzie.

Skręcił do kawiarenki i zamówił herbatę z cytryną. Popijając ją zaczął powoli przychodzić do siebie. Atmosfera kafejki była uspokajająca. Przy stoliku naprzeciw niego starszy Arab spokojnie przesuwiał sznur bursztynowych paciorków. Obok dwóch mężczyzn grało w tryktraka. Było to dobre miejsce, aby usiąść i pomyśleć.

A on musiał pomyśleć. Wręczono mu bowiem klejnoty warte trzy czwarte miliona funtów i polecono wymyślić plan wywiezienia ich z kraju. Przy tym nie było czasu do stracenia. W każdej chwili bomba mogła pójść w górę...

Ali, rzecz jasna, był szalony. Z lekkim sercem cisnąć przyjacielowi trzy czwarte miliona! A potem usiąść spokojnie, zostawiając wszystko Allahowi. Bob nie posiadał takiej drogi ucieczki. Bóg Boba oczekiwał od swoich sług podejmowania decyzji i działania według danych im przez Niego umiejętności.

Co, u diabła, miał zrobić z tymi przeklętymi kamieniami?

Pomyślał o ambasadzie. Nie, nie mógł w to mieszać ambasady. Zresztą na pewno odmówiliby.

To, czego potrzebował, to pośrednictwo jakiejś osoby zupełnie zwyczajnej. Najlepiej biznesmena albo turysty. Osoby bez politycznych powiązań, której bagaże będą w najgorszym razie przeszukane pobieżnie, a prawdopodobnie wcale nie zostaną tknięte. Oczywiście trzeba wziąć pod uwagę inną możliwość... Sensacja na londyńskim lotnisku. Próba przemycenia klejnotów wartości trzech czwartych miliona, i tak dalej, i tak dalej. Ten ktoś musiałby zaryzykować...

Zwyczajny człowiek, podróżnik *bona fide*\*. Nagle Bob puknął się w głowę. Oczywiście Joan. Jego własna siostra, Joan Sutcliffe. Była tutaj od dwóch miesięcy z córką Jennifer, której po ciężkim zapaleniu płuc zalecono pobyt w słonecznym i suchym klimacie. Wracaly morzem za cztery czy pięć dni.

Joan była idealną osobą do jego planu. Co powiedział Ali o kobietach i biżuterii? Bob uśmiechnął się do siebie. Zaczyna stara Joan! Ona nic straciłaby głowy z powodu kamieni. Wierzył, że stoi mocno na ziemi, obiema nogami. Tak — mógł zaufać Joan.

Zaraz, czy na pewno? Jej uczciwości — tak. Ale jej dyskrecji? Bob potrząsnął głową z ubolewaniem. Joan lubiła gadać, nie byłaby w stanie się powstrzymać. Nawet gorzej. Robiłaby aluzje. „Wiozę do domu coś niesłychanie ważnego. Nie mogę powiedzieć nikomu ani słowa... To bardzo ekscytujące...”

Joan nigdy nie potrafiła zachować tajemnicy, choć była wściekła, jeśli się jej to wypomniało. Zatem Joan nie mogłaby wiedzieć, co zabiera. Tak byłoby bezpieczniej. Mógł zrobić niewinnie wyglądającą paczuszkę. Coś jej opowiedzieć. Że to prezent dla kogoś? Zamówiona rzecz? Wymyśli coś...

Spojrzał na zegarek i wstał. Czas płynął.

Popędził ulicą, niepomny na południowy upał. Wszystko wydawało się takie zwyczajne. Żadne oznaki niepokoju nie przedostawały się na powierzchnię. Tylko w pałacu miało się świadomość tłącego się ognia, szpiegowania, szeptów. Armia — wszystko zależało od armii.

Kto był lojalny? Kto nic? Na pewno nastąpi próba zamachu stanu. Czy się powiedzie?

Bob zmarszczył brwi wchodząc do najlepszego hotelu w Ramacie. Hotel nazywał się skromnie Ritz Savoy i miał wspaniałą, nowoczesną fasadę. Otwarto go przed trzema laty z wielką pompą, szwajcarskim dyrektorem, wiedeńskim szefem kuchni i włoskim *maitre d'hôtel*. Wszystko było cudowne. Wiedeński szef kuchni wyjechał pierwszy, za nim szwajcarski dyrektor. Teraz miał również wyjechać Włoch. Jedzenie było jeszcze wyszukane, ale niesmaczne, obsługa haniebna, a większość kosztownych instalacji łazienkowych nie działała.

Recepcjonista znał Boba i rozpromienił się na jego widok:

— Dzień dobry, panie majorze. Chce się pan zobaczyć z siostrą? Wyjechała z córeczką na piknik...

— Piknik? — Boh zapomniał języka w gębie. Ze wszystkich głupich wypadków właśnie wyjazd na piknik był najmniej spodziewany.

— Z państwem Hurst z Oil Cornpany — ciągnął recepcjonista. Wszyscy byli świetnie poinformowani. — Pojechali do zapory w Kala Diwa.

Bob zaklął pod nosem. Joan nie będzie w domu przez kilka godzin.

— Pójdę do jej pokoju — powiedział wyciągając rękę po klucz.

Otworzył drzwi i wszedł. Pokój z wielkim, podwójnym łóżem był w stanie zwykłego bałaganu. Joan Sutcliffe nic należała do pedantek. Kije golfowe leżały na krześle, rakietki tenisowe rzucono na łóżko. Ubrania były porozwlekane po całym pokoju, stół zasypyany rolkami filmów, pocztówkami, książkami i całym asortymentem wyrobów tubylczych, przeważnie produkowanych w Birmingham lub Japonii.

Bob popatrzył wokoło na walizki i torby podróżne. Stanął wobec problemu. Nie był w stanie zobaczyć się z Joan przed odlotem Alego. Nic starczało czasu na jazdę do zapory i powrót. Mógł zapakować to świństwo i zostawić z liścikiem, ale natychmiast potrząsnął głową. Wiedział dobrze, że prawie zawsze był śledzony. Prawdopodobnie szli za nim od pałacu do kafejki i stamtąd do hotelu. Nic zauważył nikogo, ale wiedział, że tamci znają swoją robotę. Nic było nic podejrzanego w jego wizycie u siostry, jeśli jednak zostawi paczkę i list, list zostanie przeczytany, a paczka otwarta.

---

\* łac. W dobrej wierze.

Czas... czas... brakowało mu czasu.

W kieszeni spodni nosił trzy czwarte miliona w drogich kamieniach.

Rozejrzał się po pokoju... i uśmiechnąwszy się szeroko, wyjął z kieszeni mały komplet narzędzi, które zawsze nosił przy sobie. Zauważył, że Jennifer, jego siostrzenica, miała trochę plasteliny, która mogła się przydać.

Pracował szybko i zręcznie. Raz rozejrzał się podejrzliwie, rzucając okiem w kierunku okna. Nie, pokój nie miał balkonu. Uczucie, że jest obserwowany, musiało być wynikiem napięcia. Skończył robotę i skinął z zadowoleniem. Nikt nie zauważył, że coś było ruszane — był tego pewien. Ani Joan, ani nikt inny. A już na pewno nie Jennifer, egocentryczne dziecko, które nigdy nie dostrzegało niczego wokół siebie.

Zmiótł wszystkie ślady swojej działalności i włożył je do kieszeni... Potem zawahał się, rozglądając dokoła.

Przysunął blok listowy siostry i siedział chwilę, zmarszczywszy brwi.

Musi zostawić list do Joan.

Co jednak miał napisać? Musi to być coś zrozumiałego dla Joan, co nie będzie znaczyło nic dla kogoś czytającego notatkę. A to naprawdę było niemożliwe! W thrillerach, których czytanie wypełniało wolne chwile Boba, zostawiano kryptogram, który ktoś zawsze z łatwością odczytywał. On nie mógł nawet pomyśleć o tym.

— Joan należała do rozsądnych osób, które potrzebują kropki nad i, zanim zauważą cokolwiek...

Nagle rozpogodził się. Można to było zrobić inaczej — odwrócić uwagę od Joan — zostawić zwyczajną, codzienną notatkę. Polem przekaże informację przez kogoś, kto doręczy ją w Anglii.

Pisał szybko.

*Kochana Joan. — Wpadłem, żeby zaproponować ci partię golfa dziś wieczór, ale skoro wyjechałaś do zapory, będziesz prawdopodobnie ledwie żywa. Może jutro? o piątej w klubie.*

*Twój Bob*

Zdawkowy liścik zostawiony siostrze, której mógł już nie zobaczyć, ale im bardziej błahy, tym lepiej. Nie można było wplątywać Joan w żadną niewyraźną historię, nie powinna nawet wiedzieć, że coś się dzieje. Nie potrafiła udawać. Jej ochronę stanowił fakt, że naprawdę nic nie wiedziała.

Notatka służyła podwójnemu celowi. Sprawiała bowiem wrażenie, że on sam nie planuje wyjazdu.

Zastanowił się chwilę, potem poszedł do telefonu i wykręcił numer brytyjskiej ambasady. Wkrótce połączył się z trzecim sekretarzem, Edmundsonem, swoim przyjacielem.

— John? Tu Bob Rawlinson. Możesz spotkać się ze mną, kiedy wyjdiesz?... Może troszeczkę wcześniej? Musisz to zrobić, stary. To ważne. Rzeczywiście chodzi o dziewczynę... — chrząknął z zakłopotaniem. — Jest cudowna, naprawdę cudowna. Nie z tej ziemi. Tylko trochę zbyt sprytna.

W odrobinę nadętym głosie Edmundsona brzmiała nagana: — Doprawdy, Bob, ty i twoje dziewczyny. No dobrze, o drugiej. — Rozłączył się. Bob usłyszał cichy dźwięk, jakby ktoś podsłuchujący odłożył słuchawkę.

Pocziwy stary Edmundson. Ułożyli sobie mały kod ze względu na podsłuch telefonów w Ramacie. Cudowna dziewczyna, będąca „nie z tej ziemi” oznaczała coś ważnego i pilnego.

Edmundson zabierze go samochodem z okolicy nowego Banku Handlowego o drugiej i wtedy Bob opowie mu o miejscu ukrycia klejnotów. Wyjaśni, że Joan nic nie wie, ale jeśli jemu coś się stanie, sprawa będzie ważna. Długa podróż morską Jennifer i Joan nie skończy się przed upływem sześciu tygodni. Do tego czasu rewolucja na pewno wybuchnie i albo

odniesie sukces, albo upadnie. Ali Yusuf może być w Europie, mogą też obaj nie żyć. Musi powiedzieć Johnowi wystarczająco dużo, ale nie za wiele.

Rozejrzał się jeszcze raz po pokoju. Wyglądał wciąż tak samo, spokojny, trochę zabałaganiony, przytulny. Przybyła tylko niewinna notatka do Joan. Oparł ją na stole i wyszedł. Na długim korytarzu nie było nikogo.

## II

Kobieta mieszkająca w pokoju obok Joan Sutcliffe wróciła z balkonu. W ręce trzymała lusterko.

Wyszła na balkon, aby obejrzeć dokładnie włos, który ośmielił się wyrosnąć na jej podbródku. Uporała się z nim za pomocą pincetki, następnie w świetle słońca przyjrzała się dokładnie swojej twarzy.

Właśnie w chwili, gdy odetchnęła z ulgą, dostrzegła coś. Trzymała lusterko pod takim kątem, że odbijało widok z lustra w szafie ubraniowej sąsiedniego pokoju i tam właśnie zobaczyła mężczyznę, który robił coś dziwnego.

Było to tak niezwykle i zaskakujące, że zastygła bez ruchu, obserwując go. Z miejsca, w którym siedział, nie mógł jej zauważyć, a ona widziała go tylko dzięki podwójnemu odbiciu.

Mógłby uchwycić obraz jej lusterka w lustrze szafy, gdyby odwrócił się, ale był zbyt zaabsorbowany swoją robotą, by się oglądać.

Co prawda, raz rzucił nagle spojrzenie ku oknu, ponieważ jednak nic tam nie było widać, znowu pochylił głowę.

Kobieta obserwowała go, aż skończył. Po chwili napisał liścik, który oparł na stole. Potem zniknął z jej pola widzenia, ale z odgłosów wywnioskowała, że telefonuje. Nie mogła zrozumieć, co mówił, ale brzmiało to niefrasobliwie i zdawkowo. Półem usłyszała odgłos zamykanych drzwi.

Kobieta odczekała parę minut, następnie otworzyła drzwi. W głębi korytarza snuł się leniwie Arab z piórkim do odkurzania. Po chwili zniknął za rogiem. Szybko prześliznęła się do sąsiedniego pokoju. Drzwi były zamknięte, ale tego się spodziewała. Poradziła sobie szybko za pomocą szpilki do włosów i małego nożyka.

Weszła i wzięła list. Koperta nie była zaklejona i dała się łatwo otworzyć. Przeczytała notatkę marszcząc brwi. Nie znalazła wyjaśnienia niedawnej sceny.

Zamknęła kopertę, odłożyła ją i przeszła się po pokoju. W momencie, gdy wyciągała rękę, zaniepokoiły ją głosy dochodzące z tarasu leżącego niżej.

Jeden, jak się zorientowała, należał do właścicielki pokoju, w którym przebywała. Zdecydowany, pewny siebie, pouczający ton.

Rzuciła się do okna.

Na tarasie piętro niżej Joan Sutcliffe z córką, kręłą, bladą piętnastolatką, ogłaszała światu i wysokiemu, nieszczęśliwie wyglądającemu Anglikowi z brytyjskiego konsulatu, co myśli o przygotowaniach, które poczynił.

— Ależ to absurd! Nigdy nie słyszałam takich bzdur. Wszystko jest zupełnie spokojne, a ludzie są bardzo mili. Uważani, że to panikarstwo.

— Mamy taką nadzieję, właśnie tak myślimy. Jednak jego ekscelencja jest zdania, że odpowiedzialność...

Pani Sutcliffe przerwała mu krótko. Nic zamierzała rozważać odpowiedzialności ambasadorów.

— Rozumie pan, mamy moc bagażu. Wracamy do domu statkiem w przyszłą środę. Podróż morską zrobi dobrze Jennifer. Tak powiedział lekarz. Muszę absolutnie odmówić zmiany wszystkich moich planów i odlotu do Anglii z powodu tego głupiego popłochu.



Nieszczęśliwie wyglądający człowiek powiedział zachęcająco, że pani Sutcliffe i jej córka mogłyby polecieć nie do Anglii, tylko do Adenu i tam złapać siatek.

— Z bagażem?

— Tak, tak, mam czekający samochód — furgonetkę. Możemy wszystko załadować.

— Och, dobrze — skapitulowała pani Sutcliffe. — Lepiej pójdziemy się pakować.

— Natychmiast, jeśli nie ma pani nic przeciw temu.

Kobieta w pokoju Joan zrejterowała pośpiesznie. Rzuciła szybkie spojrzenie na adres na etykietce bagażowej jednej z walizek. Potem co tchu popędziła do swego pokoju. Zniknęła w drzwiach, gdy pani Sutcliffe właśnie wyszła zza zakrętu korytarza.

Recepcjonista biegł za nią.

— Był tutaj major, pani brat. Poszedł do pani pokoju. Chyba już wyszedł. Musiała się pani z nim minąć.

— Fatalnie — powiedziała pani Sutcliffe. — Dziękuję — dodała, a zwracając się do córki — Bob pewnie też szaleje. Ja sama nie widzę żadnych oznak niepokoju na ulicach. Drzwi nie są zamknięte. Ci ludzie są beztroscy.

— Może to wuj Bob — rzekła Jennifer.

— Żałuję, że minęłam się z nim... Och, jest list — otworzyła kopertę.

— W każdym razie Bob nie szaleje — stwierdziła triumfująco. — Najwyraźniej nie wie nic o tym wszystkim. Dyplomaci dramatyzują i tyle. Nie znoszę pakowania w taki gorący dzień. Ten pokój jest jak piekarnik. Dalej, Jennifer, wyjmuj swoje rzeczy z szuflad i szafy. Musimy upchnąć wszystko byle jak. Później możemy się przepakować

— Nigdy nie widziałam rewolucji — powiedziała Jennifer zamyślona.

— I nie spodziewaj się, że zobaczysz tym razem — odparła jej matka szorstko. — Będzie tak, jak mówiłam. Nic się nic wydarzy.

Jennifer wydawała się rozczarowana.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### WKROCZENIE PANA ROBINSONA

#### I

Jakieś sześć tygodni później do drzwi pokoju w Bloomsbury zapukał dyskretnie młody człowiek i został zaproszony do środka.

Był to mały pokój. Za biurkiem, zagłębiony w fotelu, siedział tęgi mężczyzna w średnim wieku, w pogniecionym ubraniu, wybrudzonym na przodzie popiołem z cygara. Okna były zamknięte, a powietrze trudne do zniesienia.

— No? — spytał tęgi mężczyzna gniewnie, z na pół przymkniętymi oczami. — Co tam znowu?

Mówiono, że pułkownik Pikeaway wyglądał zawsze jakby zasypiał lub budził się. Powiadano również, że jego nazwisko nie brzmiało Pikeaway i że nie był pułkownikiem. A niektórzy ludzie nie chcieli mówić nic.

— Przyszedł Edmundson z MSZ, sir.

— Aha — odezwał się pułkownik.

Przymknął oczy, zdając się znowu zasypiać i mruknął:

— Trzeci sekretarz naszej ambasady w Ramacie do czasu rewolucji. Tak?

— Tak jest, sir.

— Zatem trzeba go przyjąć — oświadczył pułkownik bez jakiegokolwiek ochoty. Wyprostował się w fotelu i strzepnął trochę popiołu z wydatnego brzucha.

Pan Edniundson był wysokim, jasnowłosym, młodym mężczyzną, ubranym bardzo poprawnie w dobrze dobrane rzeczy, roztaczającym wrażenie cichej dezaprobaty.

— Pułkownik Pikeaway? Jestem John Edmundson. Powiedzieli mi, że... ee... chciałby pan zobaczyć się ze mną.

— Powiedzieli? No cóż, oni muszą wiedzieć — oświadczył pułkownik. — Siadaj pan — dodał.

Jego oczy zaczęły przymykać się znowu, ale zanim je zamknął, zapytał:

— Był pan w Ramacie podczas rewolucji?

— Tak. Paskudna historia.

— Domyślam się. Był pan przyjacielem Boba Rawlinsona, prawda?

— Tak, znam go zupełnie dobrze.

— Niewłaściwe użycie czasu — rzekł pułkownik Pikeaway. — On nie żyje.

— Tak, sir, wiem. Nie byłem jednak pewny... — przerwał.

— Nie musi pan wysilać się w tym miejscu na dyskrecję. Tutaj wiemy wszystko. A jeśli nie, udajemy że tak jest. Rawlinson wyleciał z Alim Yusufem w dniu wybuchu rewolucji. Od tej pory o samolocie nie słyszano. Mógł wylądować w niedostępnym miejscu albo rozbić się. W górach Arolez znaleziono wrak samolotu. Dwa ciała. Wiadomość zostanie przekazana prasie jutro. Jasne?

Edmundson przyznał, że zupełnie jasne.

— Wiemy wszystko o tych sprawach — rzekł pułkownik. — Po to właśnie jesteśmy. Samolot przelatywał nad górami. Katastrofę mogły spowodować warunki atmosferyczne. Mamy powód uważać, że był to sabotaż. Bomba z opóźnionym zapłonem. Nie dostaliśmy jeszcze kompletnych raportów. Katastrofa nastąpiła w miejscu, do którego dostęp nie jest łatwy. Wyznaczono nagrodę za znalezienie wraku, ale to zabiera dużo czasu. Potem wysłaliśmy ekspertów, aby przeprowadzili badania. Oczywiście działa tam biurokracja.

Prośby do obcego rządu, zgoda ministrów, dawanie łapówek, nie mówiąc o miejscowych chłopach, przywłaszczających sobie wszystko, co może się przydać.

Przerwał i popatrzył na Edmundsona.

— To bardzo smutna sprawa — rzekł eks-trzeci sekretarz. — Książę Ali Yusuf był władcą światłym, mającym demokratyczne zasady.

— To prawdopodobnie załatwiło faceta — odparł pułkownik. — Nic możemy jednak tracić czasu na opowiadanie smutnych historii o śmierciach królów. Zostaliśmy poproszeni przez zainteresowane ugrupowania o przeprowadzenie pewnych dochodzeń. Ugrupowania, do których rząd jej królewskiej mości jest dobrze usposobiony. — Spojrzał twardo na rozmówcę. — Rozumie pan, co mam na myśli?

— Cóż, słyszałem coś niecoś — bąknął Edmundson niechętnie.

— A więc wie pan, być może, że przy zwłokach, ani we wraku nie znaleziono nie wartościowego, i że, jak dotychczas wiadomo, miejscowa ludność niczego nie zabrała. Choć, jak pan wie, z chłopami nigdy nic nie wiadomo. Potrafią milczeć podobnie jak Ministerstwo Spraw Zagranicznych. A co jeszcze pan słyszał?

— Nic więcej.

— I nie wie pan, że coś wartościowego p o w i n n o się było znaleźć? Po co przysłali pana do mnie?

— Powiedzieli, że chciałby mi pan zadać kilka pytań — odparł Edmundson sztywno.

— A jeżeli pytam, spodziewam się odpowiedzi — podkreślił pułkownik.

— Naturalnie.

— To ci się nie wydaje naturalne, synu. Czy Bob Rawlinson powiedział ci coś przed odlotem z Ramatu? Ali miał do niego zaufanie, jeżeli w ogóle miał je do kogoś. Jazda, musimy dowiedzieć się. Powiedział coś?

— O czym, sir?

Pułkownik Pikeaway popatrzył surowo i potarł ucho.

— Och, dobrze — mruknął. — Zatuszujemy sprawę i nie mówmy o tym. Moim zdaniem wieści są przesadzone! Jeżeli nie wie pan, o czym mówi?, to nie wie pan i tyle.

— Sądzę, że Bob chciał mi powiedzieć coś ważnego — zaczął Edmundson ostrożnie i z ociąganiem.

— Ach — powiedział pułkownik, robiąc minę człowieka, któremu wreszcie udało się odkorkować butelkę.

— Ciekawe. Posłuchajmy, co też pan wie.

— Bardzo niewiele, sir. Bob i ja mieliśmy prościutki kod. Zorientowaliśmy się, że telefony w Ramacie są na podsłuchu. Bob mógł usłyszeć coś w pałacu, a ja miałem niekiedy pożyteczną informację dla niego. Więc jeśli jeden z nas dzwonił do drugiego i wspominał w pewien sposób o wspaniałej dziewczynie, używając zawsze zwrotu „nie z tej ziemi”, to znaczyło, że na coś się zanoszą.

— Że jest jakaś ważna informacja do przekazania? — Tak. Bob zadzwonił do mnie używając tego zwrotu w dniu, w którym wybuchła rewolucja. Miałem się z nim spotkać w zwykłym miejscu, koło jednego z banków. Właśnie w tej dzielnicy zaczęły się rozruchy i policja zamknęła dojazd. Nie udało mi się skontaktować z Bobem ani jemu ze mną. Tego popołudnia odleciał z A hm.

— Rozumiem — powiedział Pikeaway. — Nie wiadomo, skąd telefonował?

— Nie. Mógł dzwonić z każdego miejsca.

— Szkoda. — Przerwał pułkownik i rzucił od niechcenia:

— Zna pan panią Sutcliffe?

— Ma pan na myśli siostrę Boba? Oczywiście, spotykałem ją tam. Przyjechała z córeczką w wieku szkolnym. Nic znam jej dobrze.

— Czy rodzeństwo było w bliskich stosunkach? Edmundson zastanowił się.

— Nic powiedziałbym. Była znacznie starsza i grała też rolę starszej siostry. Przy tym Rawlinson nic lubił swego szwagra; określał go jako nadętego durnia.

— I miał rację! To jeden z naszych wybitnych przemysłowców, a wiadomo, jacy potrafią być nadęci! Więc nie uważa pan za możliwe, aby Rawlinson powierzył jej ważny sekret?

— Trudno powiedzieć, ale nie sądzę.

— Ja też nie — rzekł pułkownik.

Westchnął. — No cóż, pani Sutcliffe z córką wracają do domu po długim rejsie na Eastern Queen. Lądują w Tilbury jutro.

Milczał chwilę, patrząc badawczo na młodego człowieka siedzącego naprzeciw. Potem, jakby podjąwszy decyzję, wyciągnął rękę i powiedział wesoło.

— Bardzo miło z pana strony, że pan przyszedł.

— Przykro mi, że nie przydałem się na wiele. Jest pan pewien, że nie mogę nic więcej zrobić?

— Nie, obawiam się, że nic.

John Edmundson wyszedł.

Dyskretny miody człowiek pojawił się znowu.

— Myślałem, że wyślę go do Tilbury, aby przekazał siostrze nowiny — rzeki Pikeaway.

— Przyjaciel brała i tak dalej. Zdecydowałem jednak inaczej. Mało elastyczny typ. To nawyk z MSZ. Nie wykorzystaj okazji. Poślę tego, jak mu tam.

— Dereka?

— Właśnie — pułkownik skinął głową. Odgadujiesz moje myśli zupełnie dobrze, co?

— Staram się, sir.

— Starać się to za mało. Musi ci się udawać. Przyślij mi najpierw Ronniego. Mani dla niego zadanie.

## II

Pułkownik Pikeaway zdawał się zasypiać ponownie, kiedy młody człowiek imieniem Ronnie wszedł do pokoju. Był wysoki, ciemnowłosy i muskularny, miał beztroski i nieco impertynencji i sposób bycia.

Pułkownik popatrzył na niego chwilę, a potem uśmiechnął się szeroko.

— Jak podobałoby ci się, obserwowanie żeńskiej szkoły? — zapytał.

— Żeńskiej szkoły? — młody człowiek podniósł brwi. — To byłoby coś nowego! Co one narozrabiały? Robią bomby na lekcjach chemii?

— Nic w tym rodzaju. To znakomita szkoła dla wyższych sfer, Meadowbank.

— Meadowbank! — Ronnie gwizdnął. — Nie mogę uwierzyć!

— — Powściągnij swój zuchwały język i słuchaj. Przyjeżdża tam na przyszły semestr księżniczka Shaista, kuzynka i najbliższa krewna zmarłego księcia Alego Yusufa z Rarnatu. Dotychczas uczyła się w szkole w Szwajcarii.

— Co mam zrobić? Uprowadzić ją?

— Na pewno nie. Uważam za możliwe, że w najbliższej przyszłości dziewczyną mogą zająć się pewni ludzie i chcę, żebyś obserwował wypadki. Nie będę nic ustalał. Nie mam pojęcia, co może się przytrafić, ale gdyby ktoś z naszych wiadomych przyjaciół był zainteresowany, donieś o tym... Masz przedstawić zwięzłe sprawozdanie z inwigilacji.

Miody człowiek skinął głową.

— A jak się mam tam dostać? Zostanę nauczycielem rysunków?

— Dochodzący personel jest wyłącznie kobiecy. — Pułkownik przyjrzał mu się z namysłem. — Myślę, że zrobię cię ogrodnikiem.

— Ogrodnikiem?

— Tak. Czy mam rację, że wiesz coś o ogrodnictwie?

— Istotnie. W młodych latach prowadziłem przez rok rubrykę *Twój ogród* w „Sunday Mall”.

— Zawracanie głowy! — oświadczył pułkownik Pikeaway. — To jest zero! Sam potrafiłbym prowadzić taką kolumnę nie mając pojęcia o ogrodzie, odwalając tylko z paru jaskrawo ilustrowanych katalogów „Szkółkarza” i *Encyklopedii ogrodnictwa*. Znam ten żargon.

„Czemu nie zerwać z tradycją i nie wprowadzić w tym roku prawdziwie tropikalnej nuty w twoim ogrodzie? Piękna *Amabellis Gossiporia* i cudowna nowa chińska hybryda *Sinensis Makafoolia*. Wypróbuj obficie kwitnące kępy ślicznej *Sinistra Hopaless*, niezbyt odpornej, lecz dobrze czującej się pod zachodnią ścianą”. Przerwał i uśmiechnął się. — Nic takiego! Durnie kupują te zielska i pierwszy mróz niszczy je, a ci idioci żałują, że nie sadzili laków i niezapominajek. Nie. mój chłopcze, mam na myśli coś prawdziwego. Splunąć w garść i wziąć się do łopaty, zapoznać się z kupą kompostu, starannie okrywać rośliny, używać motyki, kopać naprawdę głęboko pod pachnący groszek i wykonywać całą resztę tej okropnej roboty. Potrafisz to?

— Wszystko to robiłem od młodych lat!

— Jasne, Znam twoją matkę. A więc ustalone.

— A czy w Meadowbank jest robota dla ogrodnika?

— Pewnie że jest. Każdy ogród w Anglii ma kłopoty z pracownikami. Zobaczysz, po prostu rzucają się na ciebie. Nie ma czasu do stracenia, letni trymestr zaczyna się dwudziestego dziewiątego.

— Mam uprawiać ogród i trzymać oczy szeroko otwarte?

— Właśnie, a jeżeli jakaś nadmiernie rozwinięta nastolatka zacznie cię podrywać, niech cię Bóg broni, żebyś odwzajemnił uczucia. Nie chcę, żeby cię wyrzucono zbyt wcześnie.

Podał młodemu człowiekowi kartkę papieru. — Jakie imię sobie wybierasz?

— Adam wydaje się w sarn raz.

— A nazwisko?

— Może Eden?

— Nie bardzo podoba mi się kierunek twojego rozumowania. Adam Goodman brzmi bardzo ładnie. Idź i przeciwicz dzieje twojej przeszłości z Jensonem, a potem startuj. — Spojrzał na zegarek. — Nie mam więcej czasu dla ciebie. Nie chcę, żeby pan Robinson czekał. Powinien już tu być.

Adam (używając jego nowego imienia) zatrzymał się idąc do drzwi.

— Pan Robinson? — zapytał ciekawie. — Przychodzi lulaj?

— Jak powiedziałem. — Brzęczyk na biurku odezwał się. — To on. Punktualny jak zawsze. Pan Robinson.

— Proszę mi powiedzieć — spytał Adam ciekawie — kim on naprawdę jest? Jakie jest jego prawdziwe nazwisko?

— Nazywa się pan Robinson — odparł pułkownik Pikeaway. — To wszystko, co wiem i ja, i ktokolwiek inny.

### III

Mężczyzna, który wszedł do pokoju, nie wyglądał na Robinsona i trudno było przypuścić, żeby kiedykolwiek tak się nazywał. Mógł nosić nazwisko Demetrius, Isaacstein lub Perenna, choć niekoniecznie właśnie takie. Nie wyglądał na typowego Żyda, ani Greka albo Portugalczyka, Hiszpana czy obywatela Południowej Ameryki. Najmniej prawdopodobne wydawało się, że jest Anglikiem i nazywa się Robinson. Był tęgi, dobrze ubrany, miał

kształtne i dobrze utrzymane ręce, żółtawą twarz, melancholijne, ciemne oczy, szerokie czoło i wielkie usta, odsłaniające duże, bardzo białe zęby. W jego głosie nie było śladu obcego akcentu.

Przywitali się z pułkownikiem jak dwaj panujący monarchowie. Wymieniono uprzejmości. Kiedy pan Robinson przyjął proponowane cygaro, pułkownik powiedział:

— To miło, że ofiarował nam pan pomoc.

Gość zapalił cygaro, delektował się nim chwilę i wreszcie przemówił:

— Drogi panie. Pomyślałem właśnie... cóż, słyszę wiele historii, znam mnóstwo ludzi, którzy opowiadają mi różności. Nie wiem dlaczego.

Pułkownik Pikeaway nie skomentował tego, lecz zapytał:

— Wnioskuje, że słyszał pan o znalezieniu samolotu księcia Alego Yusufa?

— W zesłą środę — odparł gość. — Pilotował młody Rawlinson. Trudny lot. Ale katastrofa nie była skutkiem błędu pilota. Samolot został uszkodzony przez pewnego starszego mechanika Ahmeda. Uchodził za całkowicie godnego zaufania — w każdym razie tak sądzi) Rawlinson. Niestety mylił się. W nowym reżimie Ahmed otrzymał bardzo lukratywne zajęcie.

— A wiec sabotaż! Nie byliśmy tego pewni. Smutna historia.

— Tak. Ten biedny młody człowiek, mam na myśli Alego Yusufa — nie był odpowiednio przygotowany, by stawić czoło korupcji i zdradzie. Jego edukacja nie była rozsądna. Taki przynajmniej mam pogląd. Teraz jednak już nas nie interesuje. Jest przebrzmiałą sensacją. Nie ma nic bardziej martwego od martwego króla. Zajmujemy się, pan na swój sposób, ja na swój, tym, co martwi królowie zostawiają po sobie.

— Czym mianowicie?

Pan Robinson wzruszył ramionami.

— Pokażne saldo bankowe w Genewie, umiarkowane w Londynie, spore aktywa we własnym kraju, obecnie przejęte przez wspaniałą nowy reżim (było trochę animozji przy podziale łupów, przynajmniej tak słyszałem) i wreszcie mały majątek osobisty.

— Mały?

— To są rzeczy względne. W każdym razie o małej objętości. Poręczny do zabrania ze sobą.

— O ile wiemy, nic miał tego przy sobie.

— Nie. Ponieważ wręczył pakiet młodemu Rawlinsonowi.

— Jest pan tego pewien? — spytał Pikeaway ostro.

— Cóż. nigdy nie można być całkowicie pewnym — odparł przepraszająco Robinson. — W pałacu kursuje tyle plotek. To nie musi być prawdą. Ale wiele mówiło się na ten temat.

— Przy Rawlinsonie również niczego nie znaleziono.

— W takim razie te rzeczy musiały wyjechać z kraju inną drogą.

— Jaką? Domyśla się pan?

— Po otrzymaniu klejnotów Rawlinson poszedł do kafejki w mieście. Nie widziano, żeby z kimś rozmawiał albo zbliżał się do kogoś. Potem udał się do hotelu Ritz Savoy, gdzie mieszkała jego siostra. Poszedł do jej pokoju i przebywał tam około dwudziestu minut. Siostry nie było. Potem opuścił hotel i poszedł do Banku Handlowego, gdzie zrealizował czek. Kiedy wyszedł, wybuchły zamieszki. Studenci zaczęli rozróbę. Oczyszczenie okolicy zajęło trochę czasu. Rawlinson poszedł prosto na lotnisko, gdzie w towarzystwie sierżanta Ahmeda udał się do samolotu. Ali Yusuf wyjechał obejrzeć budowę nowej drogi, zatrzymał samochód na lotnisku, przyłączył się do Rawlinsona i wyraził chęć odbycia krótkiego lotu w celu zobaczenia z powietrza budowy zapory i nowej autostrady. Odlecieli i nie wrócili.

— A pańskie domysły na ten temat?

— Mój drogi, takie same jak pańskie. Po co Bob Rawlinson spędził dwadzieścia minut w pokoju nieobecnej siostry, jeżeli poinformowano go, że nie wróci ona przed wieczorem?

Zostawił list, którego napisanie zajęło mu najwyżej trzy minuty. Co robił w pozostałym czasie?

— Sugeruje pan, że ukrył kamienic gdzieś wśród rzeczy swojej siostry?

— Wszystko na to wskazuje, prawda? Pani Sutcliffe została ewakuowana, wraz z resztą obywateli brytyjskich tego samego dnia. Odleciała z córką do Adenu. Przybywa do Tilbury, zdaje się, jutro.

Pikeaway przytaknął.

— Niech pan jej pilnuje — doradził Robinson.

— Mamy taki zamiar. Wszystko jest już ustalone.

— Jeżeli ma te kamienie, znajdzie się w niebezpieczeństwie. — Przymknął oczy. — Nienawidzę przemocy.

— Spodziewa się pan, że może do tego dojść?

— Sprawą są zainteresowani pewni ludzie. Nieprzyjemni ludzie, jeśli pan mnie rozumie.

— Rozumiem — odparł Pikeaway ponuro.

— Oczywiście będą usiłowali przechytrzyć się wzajemnie.

Pan Robinson potrząsnął głową. — Trudno się w tym wszystkim połapać.

Pułkownik zapytał delikatnie: — Jest pan osobiście zainteresowany tą sprawą?

— Reprezentuję pewną grupę — odparł pan Robinson. W jego głosie dźwięczała łagodna wymówka.

— Niektóre z kamieni, o których mowa, zostały dostarczone przez mój syndykat jego zmarłej wysokości za bardzo rzetelną i rozsądną cenę. Grupa ludzi zainteresowana odnalezieniem kamieni, którą właśnie reprezentuję, miałaby, mogę zaryzykować takie twierdzenie, aprobatę zmarłego właściciela. Nie chciałbym powiedzieć więcej. To są sprawy bardzo delikatne.

— Ale jest pan zdecydowanie po stronie aniołów — uśmiechnął się pułkownik Pikeaway.

— Anioły! Po stronie aniołów, tak. — Przerwał.

— Czy wie pan przypadkiem, kto zajmował pokoje hotelowe po obu stronach apartamentu pani Sutcliffe?

Pułkownik wydawał się niezbyt pewny.

— Zaraz — chyba tak. Po lewej mieszkała seniora Angelica de Toledo, Hiszpanka... cc... tancerka występująca w miejscowym kabarecie. Być może nic całkiem Hiszpanka i może niezbyt dobra tancerka. Była jednak popularna wśród klienteli. Po drugiej stronie zatrzymała się chyba jakaś kobieta z wycieczki nauczycielek.

Pan Robinson skinął potakująco.

— Pan się nie zmienia. Przychodzę przekazać panu różne informacje, ale prawie zawsze już pan je zna.

— Skądże — zaprzeczył grzecznie pułkownik.

— Miedzy nami mówiąc — rzekł Robinson — wiemy sporo.

Ich oczy spotkały się

— Mam nadzieję — rzekł Robinson wstając — że wiemy dosyć.

## ROZDZIAŁ CZWARTY POWRÓT Z PODRÓŻY

### I

— No coś podobnego! — powiedziała pani Sutcliffe poirytowanym głosem, po spojrzeniu w hotelowe okno. — Nic rozumiem, dlaczego zawsze musi padać, kiedy wraca się do Anglii. Od razu staję się przygnębiona.

— Myślę, że powrót to cudowna rzecz — rzekła Jennifer. — Usłyszeć jak wszyscy na ulicy mówią po angielsku! I zaraz będziemy mogły dostać naprawdę dobry podwieczorek. Chleb i masło, i dżem, i ciasto takie jak trzeba.

— Nie chciałabym, żebyś była taka wyspiarska, kochanie — zauważyła matka. — Po co cię zabrałam za granicę, aż naci Zatokę Perską, jeśli powiadasz, że wolałabyś zostać w domu?

— Nic mam nic przeciwko wyjazdowi za granicę na miesiąc lub dwa. Powiedziałam tylko, że jestem zadowolona z powrotu.

— Teraz odsuń się, kochanie i pozwól mi sprawdzić, czy przyniesiono wszystkie bagaże. Czuję, zawsze czułam od czasu wojny, że ludzie stali się bardzo nieuczciwi. Jestem pewna, że gdybym nie pilnowała rzeczy, ten człowiek w Tilbury poszedłby sobie z moją zieloną torbą podróżną. A do tego przy bagażach plątał się jakiś podejrzany typ. Widziałam go potem w pociągu. Uważam, że na statkach trafiają się kradzieże i kiedy pasażerowie tracą głowę z powodu choroby morskiej, złodzieje ulatniają się z paroma walizkami.

— Och, ty zawsze myślisz o takich rzeczach, mamó. Wydaje ci się, że każdy spotkany człowiek jest złodziejem.

— Większość z nich jest — powiedziała pani Sutcliffe zawzięcie.

— Ale nie Angliki — odparła lojalnie Jennifer.

— To jest jeszcze gorsze — rzekła matka. — Nikt nie spodziewa się czegoś innego po Arabach czy obcokrajowcach, ale w Anglii człowiek przestaje się pilnować i to ułatwia sprawę ludziom nieuczciwym. Pozwól mi policzyć. Wielka zielona waliza jest, i ta czarna, i dwie małe brązowe, torba podróżna i kije golfowe, i rakiety, i torba podręczna, i waliza płócienna — a gdzie zielona torba? Ach, tutaj. I to metalowe pudło, które kupiliśmy na dodatkowe rzeczy. Tak, jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... tak, w porządku. Razem czternaście sztuk.

— Nic możemy napić się teraz herbaty? — spytała Jennifer.

— Herbaty? Jest dopiero trzecia.

— Jestem okropnie głodna.

— No dobrze, dobrze. Możesz zejść i zamówić sama? Muszę trochę wypocząć, a polem wypakuję to, czego będziemy potrzebowały na noc. Fatalnie, że twój ojciec nic mógł po nas przyjechać. Dlaczego właśnie dzisiaj musiał mieć ważne spotkanie dyrektorów w Newcastle-on-Tyne? Można by się spodziewać, że żona i córka będą ważniejsze. Zwłaszcza że nie widział nas od trzech miesięcy. Jesteś pewna, że załatwisz to sama?

— Na miłość boską, mamusiu, ile mam lat według ciebie? Możesz mi dać trochę pieniędzy? Nie mam żadnych angielskich banknotów.

Wzięła dziesięć szylingów od matki i wyszła z pogardliwą miną.

Telefon przy łóżku zadzwonił. Pani Sutcliffe podeszła i podniosła słuchawkę.

— Hallo... Tak... Tak, mówi pani Sutcliffe.

Rozległo się pukanie do drzwi. — Chwileczkę — powiedziała pani Sutcliffe do słuchawki, położyła ją i podeszła do drzwi. Siał tam młody człowiek w błękitnym kombinezonie, z małą torbą na narzędzia.



— Elektryk — powiedział wesoło. — Światła w tym apartamencie nie są w porządku. Przysłano mnie, żebym sprawdził.

— Och, dobrze...

Cofnęła się. Elektryk wszedł.

— Łazienka?

— Tam dalej, za drugą sypialnią. Wróciła do telefonu.

— Przepraszam bardzo... Co pan mówił?

— Nazywam się Derek O'Connor, czy mógłbym przyjść do pokoju? Chodzi o pani brata.

— O Boba? Są jakieś wiadomości?

— Obawiam się, że tak...

— Och... Och, rozumiem... Tak. proszę przyjść. Trzecie piętro, pokój 310.

Usiadła na łóżku. Już wiedziała, jakie to wiadomości.

Wkrótce rozległo się pukanie. Otworzyła drzwi, wpuszczając młodego człowieka, kory uściskał jej rękę z należyтым szacunkiem.

— Jest pan z Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

— Nazywam się Derek O'Connor. Szef polecił mi przyjść, zanim ktokolwiek to pani zakomunikuje.

— Proszę mi powiedzieć. Zginął. Tak?

— Tak jest. Wyleciał z Ramatu z księciem Alim Yusufem i rozbili się w górach.

— Dlaczego nic nie słyszałam? Dlaczego nie zadeszowano na statek?

— Do niedawna brakowało potwierdzenia wiadomości. Wiadomo było, że samolot zginął, to wszystko. W tych okolicznościach można było jeszcze mieć nadzieję. Teraz jednak znaleziono wrak samolotu... Na pewno będzie pani łatwiej, kiedy usłyszysz pani, że śmierć była natychmiastowa.

— Księżę zginął również?

— Tak.

— Nie jestem zaskoczona — powiedziała pani Sutcliffe. Jej głos zadrżał lekko, ale panowała nad sobą. — Wiedziała, że Bob umrze młodo. Był pełen brawury, pracował jako oblatywacz, wypróbowywał nowe figury akrobatyczne. Niewiele wiedziała o nim przez ostatnie cztery lata. Cóż, ludzi nie można zmienić, prawda?

— Istotnie — odpowiedział jej gość. — Obawiam się, że nie.

— Henryk zawsze mówił, że on roztrzaska się prędzej czy później — powiedziała pani Sutcliffe. Zdawała się znajdować pewnego rodzaju melancholijną satysfakcję ze spełnienia proroctwa męża. Łza stoczyła się po jej policzku, zaczęła więc szukać chusteczki. — To szok — tłumaczyła się.

— Wiem, ogromnie mi przykro.

— Oczywiście Bob nic mógł uciec sam. Był pilotem księcia. Nie życzyłby sobie, abym wtrącała się w jego sprawy. Był dobrym lotnikiem. Jestem pewna, że jeśli wpakował się w góry, to nie z własnej winy.

— Nie — odparł O'Connor. — To na pewno nie była jego wina. Jediną nadzieją na wydostanie księcia był lot bez względu na warunki. Było to niebezpieczne przedsięwzięcie i nie powiodło się.

Pani Sutcliffe skinęła głową. — Rozumiem. Dziękuję, że zechciał mnie pan zawiadomić.

— Chodzi o coś jeszcze. Muszę panią o to zapytać. Czy brat powierzył pani coś w celu przewiezienia do Anglii?

— Powierzył mi coś? Co pan ma na myśli?

— Może wręczył pani pakunek, małą paczuszkę, żeby przywieźć tu i wręczyć komuś?

Potrząsnęła głową ze zdumieniem. — Nie. Dlaczego pan tak uważa?

— Sądzimy, że brat musiał komuś powierzyć ważny pakunek, żeby go dostarczyć do kraju. Wpadł do pani hotelu tego dnia; mam na myśli dzień wybuchu rewolucji.

— Wiem. Zosłał mi list. Ale tam nie było nic takiego, tylko jakieś głupstwa o graniu nazajutrz w tenisa czy golfa. Przypuszczam, że pisząc ten list, nie miał pojęcia o odlocie z księciem właśnie tego popołudnia.

— To wszystko, co tam było?

— W liście? Tak.

— Zachowała go pani?

— Ten liścik, który zostawił? Nie, oczywiście nie. Był zupełnie błahy. Podarłam go i wyrzuciłam. Po co miałabym go zachować?

— Nie było powodu — rzeki O'Connor. — Po prostu byłem ciekaw.

— Ciekaw czego? — spytała pani Sutcliffe gniewnie.

— Czy mogło tam coś być. Może ukryta jakaś wiadomość. Mimo wszystko — zaśmiał się — są takie rzeczy jak atrament sympatyczny.

— Atrament sympatyczny! — wykrzyknęła pani Sutcliffe z niesmakiem. — Ma pan na myśli tę rzecz, której używają w szpiegowskich historyjkach?

— Obawiam się, że tak — odparł O'Connor ze skruchą.

— Co za bzdura — oświadczyła pani Sutcliffe. — Jestem pewna, że Bob nic użyłby nigdy czegoś podobnego. W jakim celu miałby to robić? Był kochanym, trzeźwo myślącym chłopcem. — Znowu ła stoczyła się po jej policzku. — O Boże, gdzie jest moja torebka. Muszę mieć chusteczkę. Może zostawiłam ją w drugim pokoju.

— Przyniosę pani.

Wszedł do pokoju i zatrzymał się gwałtownie, widząc jak młody człowiek, pochylony nad walizką, przestraszony wyprostował się na jego widok.

— Elektryk — powiedział pośpiesznie. — Coś nie w porządku ze światłem.

O'Connor przekreślił kontakt.

— Wydaje się, że wszystko działa — powiedział uprzejmie.

— Musiałem pomylić numer pokoju — rzeki elektryk.

Zganiał swoją torbę z narzędziami i wymknął się szybko na korytarz.

O'Connor zmarszczył się, zabrał torebkę pani Sutcliffe i wrócił do niej.

— Przepraszam — powiedział biorąc słuchawkę. — Tu pokój 310. Wysyłali państwo elektryka, żeby sprawdził światło w apartamencie? Tak... Tak, wyłączam się.

Czekał chwilę.

— Nie? Nie, nie trzeba. Nie, wszystko w porządku. Odłożył słuchawkę i zwrócił się do pani Sutcliffe.

— Światło w tym pokoju jest w porządku. I nikt nie przysyłał elektryka.

— Co zatem robił ten człowiek? To złodziej?

— Możliwe,

Pani Sutcliffe zajrzała szybko do torebki. — Nie zabrał niczego. Pieniądze są.

— Czy jest pani pewna, absolutnie pewna, że brat nie dał pani nic do zabrania do kraju, co mogłoby znajdować się w pani bagażach?

— Jestem zupełnie pewna — odparła pani Sutcliffe.

— A może pani córce? Ma pani córkę, prawda?

— Tak. Pije herbatę na dole.

— Może pani brat jej coś wręczył?

— Nie, na pewno.

— Jest inna możliwość — rzeki O'Connor. — Mógł ukryć coś w bagażu, kiedy czekał w pani pokoju.

— Ale po co? To brzmi absurdalnie.

— To nie jest taka bzdura, jak się wydaje. Możliwe, że książę dał bratu coś na przechowanie i brat pomyślał, że będzie to bezpieczniejsze w pani posiadaniu niż u niego.

— Wydaje mi się to nieprawdopodobne.

— Ciekaw jestem, czy miałyby pani coś przeciwko poszukaniu?  
— Ma pan na myśli przeszukanie moich bagaży? Rozpakowanie wszystkiego? — w głosie pani Sulcliffe zabrzmiał lament.  
— Wiem — powiedział szybko O'Connor. — To okropne prosić panią o coś takiego. Ale to może okazać się bardzo ważne. Mógłbym pani pomóc — przekonywał. — Często pakowałem rzeczy mojej matki. Twierdziła, że robię to dobrze.  
Użył całego swego wdzięku, stanowiącego według pułkownika Pikeawaya główny jego atut.  
— Och, dobrze — ustąpiła pani Sulcliffe — Wydaje mi się... Jeżeli pan tak mówi... Mam na myśli, jeżeli to takie ważne...  
— Może okazać się bardzo ważne — rzekł Derek. — No to zaczynajmy.

## II

Trzy kwadranse później Jennifer wróciła z podwieczorku. Rozejrzawszy się po pokoju wydała okrzyk zdziwienia.  
— Mamusiu, a cóż ty robisz?  
— Rozpakowaliśmy rzeczy — powiedziała matka gniewnie. — A teraz pakujemy na powrót. To jest pan O'Connor. Moja córka Jennifer.  
— Ale po co pakujesz i rozpakowujesz?  
— Nie pytaj mnie — warknęła matka. — Powstał pomysł, że wuj Bob włożył coś do moich bagaży, żeby przywieźć to do domu. Przypuszczam, że nie dał niczego tobie?  
— Wuj Bob miał mi coś dać, żebym przywozła z powrotem? Nie. Mam rozpakować moje rzeczy również?  
— Zrobiliśmy to już. — powiedział Derek pogodnie. — Nie znaleźliśmy niczego i teraz, pakujemy. Myślę, że powinna pani wypić herbatę albo coś takiego. Mogę zamówić? Może brandy i wodę sodową?  
— Nie miałabym nie przeciwko dobrej herbacie.  
— Zjadłam bombowy podwieczorek — oświadczyła Jennifer. — Chleb z masłem i sandwiche, i ciasto, a polem kelner przyniósł mi jeszcze trochę sandwiczów, ponieważ spytałam go, czy nie ma nie przeciw temu, a on powiedział, że nie. To było cudowne.  
O'Connor zamówił herbatę, polem skończył pakowanie dobytku pani Sutcliffe ze sprawnością i starannością, które zmusiły ją do niechętnego podziwu.  
— Matka dobrze wytrenowała pana w pakowaniu.  
— Och, mam wiele przydatnych umiejętności — powiedział Derek śmiejąc się.  
Jego matka od dawna nie żyła, a wprawę w pakowaniu zdobył wyłącznie w służbie pułkownika Pikeawaya.  
— Jeszcze jedna sprawa, pani Sutcliffe. Chcielibyśmy, żeby pani bardzo uważała na siebie.  
— Uważać na siebie? W jaki sposób?  
— Cóż — O'Connor zostawił problem nie rozwiązany. — Rewolucje to niebezpieczne sprawy. Mają mnóstwo powiązań. Jak długo zatrzyma się pani w Londynie?  
— Jutro jedziemy na wieś. Mąż nas zawiezie.  
— A więc w porządku. Proszę jednak nic ryzykować. Jeżeli coś w najmniejszym stopniu odbiegnie od codzienności, proszę natychmiast dzwonić pod 999.  
— Oooh! — powiedziała Jennifer z najwyższym zachwytem. — Dzwonić pod 999. Zawsze tego pragnęłam.  
— Nie bądź głupia, Jennifer — skarciła ją matka.

### III

Fragment relacji z lokalnej gazety. „Przed sądem stanął wczoraj pewien mężczyzna oskarżony o włamanie do rezydencji pana Henry’ego Sutcliffe’a w zamiarze dokonania kradzieży. W czasie gdy członkowie rodziny byli na niedzielnej mszy, sypialnia pani Sutcliffe została przetrząśnięta i zostawiona w okropnym nieładzie. Personel kuchenny, przygotowujący południowy posiłek, nie słyszał niczego. Policja aresztowała sprawcę w czasie ucieczki z domu. Najwyraźniej spłoszony, zbiegł nie zabierając niczego.

Podał nazwisko Andrew Bali, bez stałego miejsca zamieszkania i przyznał się do winy. Twierdził, że będąc bez pracy, szukał pieniędzy. Biżuteria pani Sutcliffe, z wyjątkiem paru noszonych przez nią klejnotów, jest przechowywana w banku”.

— Mówiłem ci, żebyś pilnowała zamykania francuskiego okna w salonie — brzmiał komentarz pana Sutcliffe’a w rodzinnym gronie.

— Mój drogi — odparła żona — nie zdajesz sobie sprawy, że przez ostatnie trzy miesiące byłam za granicą. A ponadto czytałam gdzieś, że włamywacze zawsze dostają się tam, gdzie chcą.

Spojrząwszy jeszcze raz do gazety, zauważyła ze smutkiem:

— Jak to wspaniale brzmi „personel kuchenny”. Zupełnie odmiennie od rzeczywistości, od starej, głuchej pani Ellis, ledwie trzymającej się na nogach i głupkowatej córki Bardwellsów, która przychodzi pomóc w niedzielne przedpołudnia.

— Nie rozumiem, skąd policja dowiedziała się o włamaniu i zdążyła złapać złodzieja — zauważyła Jennifer.

— Zdziwiające, że nic wziął niczego — zastanowiła się jej matka.

— Jesteś zupełnie pewna, Joan? — zapytał mąż.

— Początkowo miałaś wątpliwości. Pani Sutcliffe westchnęła z irytacją.

— Nie można było odpowiedzieć natychmiast. Ten bałagan w mojej sypialni, rzeczy rozrzucone wszędzie, zawartość szuflad wysypana i poprzewracana. Musiałam wszystko przejrzeć, żeby się upewnić. Choć teraz, jak się zastanowię, to nie pamiętam, bym widziała mój najlepszy szal od Jacquara.

— Przykro mi, mamusiu, ale to ja. Został zdmuchnięty za burtę na Morzu Śródziemnym. Pożyczyłam go sobie. Miałam ci o tym powiedzieć, ale zapomniałam.

— Doprawdy, Jerinifer, ile razy mam ci mówić, żebyś nie brała moich rzeczy bez pytania?

— Czy mogę zjeść jeszcze trochę puddingu? — zapytała Jennifer, odwracając uwagę matki.

— Myślę, że tak. Rzeczywiście pani Ellis ma cudownie lekką rękę. Warto do niej chwilę powrzeszczyć. Mam jednak nadzieję, że w szkole nic będą cię uważać za żarłoka. Pamiętaj, że Meadowbank nie jest zwykłą szkołą.

— Nie jestem pewna, czy rzeczywiście chcę tam pójść — powiedziała Jennifer. — Znam dziewczynę, której kuzynka chodziła tam i mówiła, że było okropnie. Cały czas mówią ci, jak wsiadać i wysiadać z rolls-royce’a i jak zachować się na lunchu u królowej.

— Dostyc, Jennifer — rzekła matka. — Nic zdajesz sobie sprawy, jakie to wspaniałe, że zostałaś przyjęta do Meadowbank. Zapewniam cię, że panna Bulstrode nie przyjmuje każdej dziewczyny. Zawdzięczasz to wyłącznie pozycji twego ojca i wpływom ciotki Rosamond. Masz niezwykle szczęście. A jeżeli — dodała — zostaniesz kiedyś zaproszona na lunch z królową, to musisz wiedzieć, jak się zachować.

— No dobrze — zgodziła się Jennifer. — Przypuszczam, że królowa często zaprasza na lunch ludzi, którzy nie wiedzą, jak się zachować: afrykańskich wodzów, dżokejów czy szejków.

— Afrykańscy wodzowie mają znakomite maniery — oświadczył jej ojciec, który ostatnio wrócił z podróży w interesach do Ghany.

— Podobnie jak szejkowie — dodała matka. — Są naprawdę wytworni.

— Pamiętasz, jak poszliśmy na ucztę do szejka? I jak on wydłubał oko owcy i poczęstował nim ciebie, a wuj Bob trącał cię łokciem, żebyś nie robiła problemów i zjadła? Uważam, że gdyby szejk zrobił tak z pieczonym jagnięciem w pałacu Buckingham, królowa przeżyłaby niezły wstrząs, prawda?

— Wystarczy, Jennifer — powiedziała matka, zamykając dyskusję.

## IV

Kiedy Andrew Ball, bez stałego miejsca zamieszkania, został skazany na trzy miesiące za włamanie. Derek O'Connor, zajmujący skromne miejsce w tyle sali sądowej, połączył się telefonicznie z pewnym numerem centrali Muzeum.

— Nie znaleziono niczego przy facecie, kiedy go zwinęliśmy — powiedział. — A daliśmy mu masę czasu.

— Kto to był? Ktoś, kogo znamy?

— Chyba jeden z bandy Gacko. Drobną plotką. Został wynajęty do takiej roboty. Nic ma za dużo rozumu, ale mówiono, że jest sumienny.

— I przyjął wyrok potulnie? — po drugiej stronie linii pułkownik Pikeaway uśmiechnął się szeroko.

— Tak. Znakomity obraz głupiego faceta, który zszedł z prostej drogi. Nigdy nie powiązały go pan z grubszą sprawą. Na tym, rzecz jasna, polega jego wartość.

— I nie znalazł niczego — zadumał się pułkownik. — I ty również nic znalazłeś niczego. Wygląda, jakby nie było nic do znalezienia. Nasz pomysł, że Rawlinson schował coś w rzeczach siostry, okazał się chyba mylny.

— Tamci zdają się myśleć podobnie.

— To trochę zbyt oczywiste... Może powinniśmy zarzucić przynętę.

— Istotnie. A inne możliwości?

— Mnóstwo. Towar może być jeszcze w Ramacie, ukryty gdzieś w hotelu Rilz, Savoy. Albo Rawlinson przekazał go komuś w drodze na lotnisko. A może jest coś w aluzji pana Robinsona o kobiecie, która mogła dostać to w swoje ręce. Albo też pani Sutcliffe nieświadomie wyrzuciła to do morza z niepotrzebnymi szpargałami, i to — dociał w zamyśleniu — mogłoby być najlepsze.

— Ależ to jest warte mnóstwo pieniędzy, sir.

— Ludzkie życie jest również wiele warte — odparł pułkownik.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### LISTY Z MEADOWBANK

Julia Upjohn do matki:

Kochana Mamusiu,

już się zainstalowałam i bardzo mi się na razie podoba. Jest tutaj dziewczynka, która też jest nowa, nazywa się Jennifer i trzymamy się razem. Obie uwielbiamy tenis. Ona gra dość dobrze. Ma naprawdę miążdzący serwis, ale nie zawsze jej wychodzi. Mówi, że jej rakietą zwichrowała się podczas pobytu nad Zatoką Perską. Tam jest bardzo gorąco. Jennifer była tam, kiedy zaczęła się la rewolucja. Powiedziałam, że to bardzo podniecające, ale ona mówi, że nie widziała w ogóle nic. Zabrali je do ambasady, czy gdzieś tam i wszystko ją ominęło.

Panna Bulstrode jest łagodna, ale można się jej też bać. Kiedy jesteś nowa, próbuje cię uspokoić. Za plecami wszyscy nazywają ją Buli albo Bully. Angielskiej literatury uczy nas panna Rich, która jest fantastyczna. Kiedy się naprawdę zdenerwuje, włosy spadają jej na oczy. Ma dziwną, ale ciekawą twarz, a kiedy czyta kawałki Szekspira, wszystko jest jasne i prawdziwe. Któregoś dnia opowiadała nam o Jagonie i o tym, co czuł. Mówiła dużo o zazdrości, o tym jak cię pożera i jak cierpisz aż do szaleństwa, jak chcesz zranić kochaną osobę. Przechodziły nas dreszcze — z wyjątkiem Jennifer, ponieważ jej nic nie porusza. Panna Rich uczy nas również geografii, przedmiotu nudnego — ale nie z panną Rich. Dziś rano opowiadała nam o handlu korzeniami i że ludzie musieli używać przypraw, ponieważ jedzenie łatwo się psuło.

Zaczęłam uczyć się historii sztuki z panną Laurie. Przychodzi dwa razy w tygodniu i zabiera nas także do Londynu na zwiedzanie galerii malarstwa. Francuski mamy z *mademoiselle* Blanche. Ona nie daje sobie rady z klasą. Jennifer powiada, że Francuzi tego nie potrafią. Nie gniewa się na nas, tylko gędzi. Mówi: enfin, *vous m'ennuiez mes enfants!*\* Panna Springer jest okropna. Jest od gimnastyki i wychowania fizycznego. Ma rude włosy i czuć ją, jak się spoci. Jest jeszcze panna Chadwick (Chaddy), która pracuje tu od początku istnienia szkoły. Uczy matematyki, trochę zrzędzi, ale jest miła. I jeszcze panna Vansittart, która uczy historii i niemieckiego. Coś w rodzaju panny Bulstrode, ale bez temperamentu.

Mamy tu dużo cudzoziemek: dwie Włoszki, kilka Niemek, wesołą Szwedkę (jest księżniczką, czy kimś podobnym) i dziewczynę, która jest pół Turczynką, pół Persjanką, i twierdzi, że miała poślubić księcia Alego Yusufa, zabitego w katastrofie samolotowej, ale Jennifer mówi, że to nieprawda, że Shaista tak tylko gada, ponieważ on był jej kuzynem, a tam u nich zwykle wychodzi się za mąż za kuzyna. Jennifer mówi, że on wcale nie miał takiego zamiaru. Podobał mu się ktoś inny. Jennifer wie mnóstwo rzeczy, ale zwykle nie chce powiedzieć.

Pewnie wyjeżdżasz wkrótce na swoją wycieczkę. Nie zapomnij paszportu, jak ostatnio!!! I weź apteczkę pierwszej pomocy, bo może się zdarzyć wypadek.

Uściski od Julii

Jennifer Sutcliffe do matki:

Kochana Mamusiu,

tu rzeczywiście nie jest źle. Podoba mi się bardziej, niż się spodziewałam. Pogoda jest ładna. Miałyśmy napisać wypracowanie na temat: „Czy dobry charakter może prowadzić do

---

\* fr. Martwicie mnie dzieci!

przesady?” Nie mogłam nic wymyślić. W przyszłym tygodniu temat brzmi: „Kontrast postaci Julii i Desdemony”. Też wydaje się głupi. Czy sądzisz, że mogłabym dostać nową rakietę tenisową? Wiem, że moja miała robiony nowy naciąg zeszłej jesieni, ale chyba jest niedobra. Może zwichrowała się. Chciałabym się uczyć greki, mogę? Kilka z nas jedzie w przyszłym tygodniu do Londynu na balet *Jezioro łabędzie*. Jedzenie tutaj jest fajne. Wczoraj jadłyśmy kurczęta na lunch i świetne, domowe ciasto do herbaty. Nie mogę wymyślić więcej nowin — czy zdarzyły się jakieś nowe włamania?

Kochająca córka Jennifer

Margaret Gore–West, uczennica ostatniej klasy, do matki:

Kochana Mamusiu,

mam niewiele nowości. W tym trymestrze uczę się niemieckiego z panną Vansittart. Słysząc pogłoski o przejściu panny Bulstrode na emeryturę i przejściu szkoły przez pannę Vansittart, ale mówiono o tym już rok temu i jestem pewna, że to nieprawda. Zapytałam pannę Chadwick (rzecz jasna nie śmiałabym spytać panny Bulstrode!) i odpowiedziała mi całkiem wyraźnie, że na pewno nie i żeby nie słuchać plotek. Byłyśmy we wtorek na balecie *Jezioro łabędzie*. Tego się nie da opowiedzieć!

Księżniczka Ingrid jest dosyć miła. Ma bardzo niebieskie oczy, ale nosi klamerkę na zębach. Mamy dwie nowe Niemki. Mówią po angielsku zupełnie dobrze.

Panna Rich wróciła i wygląda doskonale. Brakowało nam jej w zeszłym trymestrze. Nowa gimnastyczka nazywa się panna Springer. Jest strasznie apodyktyczna i nikt jej nic lubi. Ale treningi tenisowe prowadzi świetnie. Myślę, że jedna z nowych dziewcząt, Jennifer Sutcliffe zapowiada się naprawdę dobrze. Ma trochę za słaby bekhend. Jej najbliższa przyjaciółka nazywa się Julia. Nazywamy je Jolki! Nie zapomnij wyciągnąć mnie dwudziestego, dobrze? Dzień Sportu jest dziewiętnastego czerwca.

Twoja kochająca Margaret

Ann Shapland do Dennisa Rathbone’a:

Drogi Dennisie.

Będę miała wolne dopiero w trzecim tygodniu okresu. Bardzo chciałabym pójść wtedy z tobą na obiad. Mogłoby to być w sobotę lub w niedzielę. Zawiadomię cię.

Praca w szkole wydaje mi się zabawna. Dziękuję jednak Bogu, że nie jestem nauczycielką. Na pewno zwariowałabym.

Zawsze twoja  
Ann

Panna Johnson do siostry:

Kochana Edyto,

tutaj wszystko jest jak zwykle. Letni trymestr bywa zawsze przyjemny. Ogród wygląda pięknie i dostałyśmy nowego ogrodnika do pomocy Briggsowi — młodego i silnego. Niestety jest trochę zbyt przystojny. Dziewczęta są takie niemądre.

Panna Bulstrode nie mówi nic o przejściu na emeryturę, więc mam nadzieję, że porzuciła tę myśl. Panna Vansittart — to nie byłoby to samo. Nie sądzę, żebym została tutaj.

Pozdrów serdecznie Dicka i dzieci i kłaniaj się ode mnie Oliwerowi i Kate, kiedy ich zobaczysz.

Elsbeth

*Mademoiselle* Angele Blanche do René Duponta, *poste restante*, Bordeaux.

Kochany René

tutaj wszystko w porządku, choć nie mogę powiedzieć, żebym się dobrze czuła. Dziewczęta nie mają szacunku, ani nie zachowują się dobrze. Myślę jednak, że lepiej nie skarżyć się pannie Bulstrode. Kiedy ma się z nią do czynienia, trzeba mieć się na baczności.

Na razie nie mam ci nic ciekawego do powiedzenia.

Mouche

Panna Vansittart do przyjaciółki:

Kochana Glorio,

letni trymestr rozpoczął się gładko. Mamy bardzo satysfakcjonującą grupę nowych dziewcząt. Cudzoziemki zaaklimatyzowały się dobrze. Nasza mała księżniczka (ta ze Środkowego Wschodu, nie Skandynawka) nie jest zbyt pilna, ale tego można się było spodziewać. Zachowuje się bardzo miło.

Nowa gimnastyczka, panna Springer nie jest sukcesem. Dziewczęta nie lubią jej, a ona jest w stosunku do nich zbyt arbitralna. Ostatecznie to nie jest zwyczajna szkoła. Nasza egzystencja nie zależy od wychowania fizycznego! Jest także bardzo wścibska, zadaje zbyt dużo osobistych pytań. Takie sprawy mogą być bardzo irytujące i są dowodem złego wychowania. *Mademoiselle* Blanche, Francuzka, jest całkiem sympatyczna, ale nie dorasta do poziomu *mademoiselle* Depuy.

Uniknęliśmy przykrości w pierwszym dniu trymestru. Lady Veronica Carlton–Sandways zjawiała się kompletnie pijana! Gdyby nie panna Chadwick, która zorientowawszy się zawróciła ją, mogłyśmy mieć bardzo nieprzyjemny incydent. A bliźniaczki są takie miłe.

Panna Bulstrode nie powiedziała jeszcze nic ostatecznego na temat przyszłości — ale z jej sposobu bycia wnioskuję, że podjęła już decyzję. Meadowbank jest naprawdę pięknym osiągnięciem i będę dumna kontynuując jej tradycje.

Zawsze Twoja Eleanor

List do pułkownika Pikeawaya, wysłany zwykłymi kanałami:

„Wystawić człowieka na takie niebezpieczeństwo! Jestem jedynym zdolnym do służby wojskowej męskim osobnikiem, pośród, z grubsza licząc, stu dziewięćdziesięciu osób płci żeńskiej.

Jej wysokość przybyła z fasonem. Błękitno–różowy cadillac, z dostojnym szejkiem w burnusie, żoną jak z paryskiego żurnala i jej młodszą edycją (jej książęca wysokość).

Ledwie ją poznałem następnego dnia w szkolnym mundurku. Nie będzie trudności w nawiązaniu przyjaznych stosunków. Już ona tego dopilnuje. Pytała mnie niewinnie o nazwy różnych kwiatów, kiedy zjawiała się piegowata Gorgona, rada i obdarzona głosem derkacza, i odwołała ją. Dziewczyna nie chciała iść. Byłem przekonany, że te panienki z Orientu są wychowywane skromnie, pod kocem. Ta jednak musiała zdobyć trochę doświadczenia życiowego podczas pobytu w szwajcarskiej szkole.

Gorgona, alias panna Springer, nauczycielka gimnastyki, wróciła, żeby mnie objechać. Ogrodnikom nie wolno rozmawiać z wychowankami itd., itd. Wyraziłem prostoduszne zdziwienie: »Przepraszam panią. Młoda dama pytała mnie o te kwiatki. Pewnie nie rosną Tam. skąd przyjechała«. Gorgona została łatwo spacyfikowana i na koniec zaczęła się prawie wdzięczyć. Mniej sukcesów miałem z sekretarką panny Bulstrode. To jedna z tych rzeczowych dziewcząt ze wsi. Nauczycielka francuskiego była bardziej chętna do współpracy. Skromna i nieśmiała, ale naprawdę wcale nie taka myszka. Zaprzyjaźniłem się też z trzema chichotkami, Pamelą, Lois i Mary, o nieznanym nazwiskach, ale pochodzeniu



arystokratycznym. Bystra, zaprawiona w bojach panna Chadwick ma niestety oko na mnie, więc uważam, żeby się nie skompromitować.

Mój szef stary Briggs jest stetryczalym typem, który rozmawia głównie o dawnych, dobrych czasach, kiedy był. jak podejrzewam, czwartym z pięcioosobowego personelu. Utyskuje na rzeczy i ludzi, ale ma wielki respekt dla samej panny Bulstrode. Podobnie zresztą jak ja. Zamieniła ze mną bardzo miło parę słów, ale cały czas miałem okropne uczucie, że widzi mnie na wylot i wie o mnie wszystko.

Na razie brak oznak czegoś złowieszczonego — ale nie tracę nadziei”.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY PIERWSZE DNI

### I

W pokoju nauczycielskim wymieniano nowiny. Zagraniczne podróże, widziane spektakle, zwiedzone galerie sztuki. Fotografie krążyły dookoła. Groźba wyświetlania kolorowych przezroczy wisiała w powietrzu. Wszystkie entuzjastki chciały pokazać własne zdjęcia, ale nie miały ochoty oglądać cudzych.

Niebawem rozmowa stała się mniej osobista. Nowy pawilon sportowy był w równym stopniu podziwiany co krytykowany. Przyznawano, że jest to ładny budynek, ale każda z pań pragnęłaby naturalnie poprawić jego wygląd w ten czy inny sposób. Dokonano krótkiego przeglądu nowych dziewcząt i ogólny werdykt był pomyślny.

Zagadywano sympatycznie dwie nowe członkinie zespołu. Czy *mademoiselle* Blanche była już w Anglii? A z jakiej części Francji pochodzi?

*Mademoiselle* Blanche odpowiadała grzecznie, lecz z rezerwą.

Panna Springer była bardziej chętna. Mówiła rezolutnie i z emfazą. Można by powiedzieć, że miała wykład. Temat: doskonałość panny Springer. Jak wysoko ceniono ją jako koleżankę. Jak dyrektorka przyjmowała jej rady z wdzięcznością i zmieniała plany stosownie do nich.

Panna Springer nie będąc osobą wrażliwą, nie dostrzegała zniecierpliwienia audytorium. Pannie Johnson pozostawało tylko zapytać łagodnym tonem:

— Mimo wszystko, przypuszczam, że pani pomysły nie zawsze były przyjmowane tak, jak... ee... powinny.

— Trzeba być przygotowanym na niewdzięczność — odparła panna Springer. Jej głos, wystarczająco donośny, stał się jeszcze głośniejszy. — Kłopot polega na tym, że ludzie są tchórzliwi: nie potrafią stawić czoła faktom. Wolą często nie widzieć, co mają przed nosem. Nie lubię tego. Niejednokrotnie wyciągałam paskudny skandal, wydobywałam go na światło dzienne. Mam dobrego nosa, jak już wpadnę na trop. I nie porzucam go, aż dopadnę moją ofiarę. — Wybuchnęła głośnym śmiechem. — Według mnie, w szkole nie powinni uczyć ludzi, których życie nie jest otwartą księgą. Jeśli ktoś ma coś do ukrycia, można się szybko dowiedzieć. Och! Byłybyście zdumione, gdybym powiedziała wam parę rzeczy, których dowiedziałam się o ludziach. Rzeczy, o których nikomu się nie śniło.

— Bawiło to panią? — spytała *mademoiselle* Blanche.

— Ależ nie. Spełniłam tylko swój obowiązek. Nie uzyskałam jednak poparcia. Skandaliczna niedbałość. Wobec tego odeszłam, żeby zaprotestować.

Rozejrzała się wokoło i wybuchnęła znowu dziarskim śmiechem:

— Mam nadzieję, że lulaż nikt nic ma nic do ukrycia! Panie nie czuły się ubawione. Panna Springer nie należała jednak do osób, które to dostrzegają.

### II

— Czy mogę z panią porozmawiać, panno Bulstrode? Przełożona odłożyła pióro i spojrzała na zarumienioną twarz opiekunki internatu, panny Johnson.

— Tak, proszę.

— Chodzi o tę dziewczynę, Shaistę, Egipcjankę czy coś takiego.

— Tak?

— Ta jej... ee... bielizna.

Brwi panny Bulstrode uniosły się ze zdziwienia.

— Jej... noo... jej stanik.

— Co się dzieje z jej biustonoszem?

— No... nie jest zwyczajny... mam na myśli, że nie leży dobrze. Wypycha jej piersi do góry... ee... zupełnie zbytecznie.

Panna Bulstrode zagryzła wargi wstrzymując uśmiech, co zdarzało się jej często w rozmowie z panną Johnson.

— Może lepiej pójdę i rzucę na to okiem — rzekła poważnie.

Odbyło się zatem śledztwo z haniebnym urządzeniem trzymanym przez pannę Johnson; Shaista przyglądała się scenie z żywym zainteresowaniem.

— To jest jakby drut i... ee... urządzenie usztywniające — powiedziała panna Johnson z dezaprobatą.

Shaista przerwała, wyjaśniając żywo.

— Bo widzi pani. moje piersi nie są bardzo duże, nie są nawet średnic. Nie wyglądam jak kobieta. A to jest bardzo ważne dla dziewczyny, pokazać, że jest kobietą, a nie chłopcem.

— Jest jeszcze wiele czasu. Masz dopiero piętnaście lat — wyjaśniła pani Johnson.

— Piętnaście — to oznacza kobietę! I ja wyglądam na kobietę, prawda?

Zwróciła się do panny Bulstrode, która skinęła poważnie.

— Tylko moje piersi są marne. Więc chcę, żeby wyglądały lepiej. Rozumie pani?

— Rozumiem bardzo dobrze — odparła panna Bulstrode. — Pojmuję twój punkt widzenia. Ale w tej szkole jesteś wśród dziewcząt, które przeważnie są Angielkami, a angielskie dziewczyny rzadko bywają kobietami w wieku piętnastu lat. Lubię, jak moje wychowanki malują się dyskretnie i noszą suknie odpowiednie do stopnia ich rozwoju. Proponuję, żebyś nosiła swój biustonosz, kiedy wybierasz się na przyjęcie czy jedziesz do Londynu, ale nie codziennie w szkole. Mamy tu dużo sportu i gier, i dlatego twoje ciało nic powinno być skrepowane, abyś mogła ruszać się swobodnie.

— Ciągłe to bieganie i skakanie — powiedziała Shaista nadąsana. — I to wychowanie fizyczne. Nie lubię panny Springer. Wciąż mówi „szybciej, szybciej, nic leniuchuj”. To mnie męczy.

— Musisz to robić, Shaisto — powiedziała panna Bulstrode, a jej głos zabrzmiał rozkazująco. — Twoja rodzina przysłała cię tu, żebyś nauczyła się angielskich zwyczajów. Wszystkie te ćwiczenia będą bardzo dobre dla twojej figury i dla powiększenia twego biustu.

Odprawiwszy Shaistę uśmiechnęła się do przejętej panny Johnson.

— To święta prawda. Ta dziewczyna jest w pełni dojrzała. Z wyglądu można jej dać ponad dwadzieścia lat. I tak właśnie się czuje. Nie może pani oczekiwać, że będzie się czuła jak, na przykład, Julia Upjohn. Intelktualnie Julia znacznie wyprzedza Shaistę. Fizycznie — mogłaby jeszcze nosić dziecięcy kaftanik.

— Chciałabym, żeby wszystkie dziewczynki były takie jak Julia.

— A ja nie — powiedziała panna Bulstrode z ożywieniem. — Szkoła pełna jednakowych dziewcząt byłaby nudna.

Nudna — pomyślała — kiedy wróciła do poprawiania wypracowań na temat *Pisma Świętego*. To słowo powtarzała w myślach od pewnego czasu. Nudna...

Jeśli w jej szkole czegoś brakowało, to nudy. Jako dyrektorka nigdy się nie nudziła. Zdarzały się trudności do przewycięzania, nieprzewidziane kryzysy, konflikty z rodzicami, z dziećmi: przeżycia domowe. Radziła sobie z zagrażającymi katastrofami, zmieniając je w triumf. A wszystko to było podniecające, ekscytujące, opłacało się w najwyższym stopniu. I nawet teraz, kiedy już powzięła decyzję, nie chciała myśleć o odejściu.

Zdrowie miała znakomite, zupełnie jak w tych dniach, gdy ona i Chaddy (wierna Chaddy!) rozpoczynały to wielkie przedsięwzięcie z garstką dzieci i poparciem bardzo przewidującego

bankiera. Akademickie odznaczenia Chaddy były lepsze niż jej, ale właśnie ona miała wizję stworzenia szkoły tak niezwyklej, że stała się głośna w całej Europie. Nigdy nie obawiała się eksperymentu, gdy Chaddy wystarczało nauczanie, solidne acz nieciekawe. Największe osiągnięcie Chaddy, to być na właściwym miejscu, pod ręką: po prostu wierna opiekunka, zawsze chętna do udzielenia pomocy. Tak jak w przypadku incydentu z lady Veroniką w dniu rozpoczęcia nauki. To właśnie na jej solidności, pomyślała panna Bulstrode, został zbudowany ten godny podziwu gmach.

Cóż, z materialnego punktu widzenia obie kobiety mogły się wycofać. Gdyby przeszły na emeryturę, były dobrze zabezpieczone na resztę życia. Panna Bulstrode była ciekawa, czy Chaddy chciałaby odejść, kiedy ona sama to zrobi. Prawdopodobnie nie. Dla niej szkoła była domem. Pracowałyby dalej, wierna i odpowiedzialna, wspierając następczynię panny Bulstrode.

Dyrektorka podjęła już decyzję — więc następczyni musi się znaleźć. Najpierw połączą się we wspólnym działaniu, a potem będzie rządzić samodzielnie. Trzeba umieć wybrać moment odejścia — to wielka życiowa konieczność. Odejść zanim straci się siły, zanim odczuje się zmęczenie, niemożność podejmowania ciągłego wysiłku.

Panna Bulstrode skończyła poprawianie wypracowań i zanotowała, że mała Upjohn ma oryginalne poglądy. Jennifer Sutcliffe jest zupełnie pozbawiona wyobraźni, ale posiada bardzo zdrowe podejście do faktów. Maria Vyse, oczywiście, była klasową erudytką — wspaniała, wszystko zachowująca pamięć. Ale jaka nudna dziewczynka! Nudna — znowu to słowo. Panna Bulstrode wyrzuciła je z pamięci i zadzwoniła po sekretarkę. Zaczęła dyktować listy.

„Droga lady Valence. Jane ma kłopoty z uszami. Załączam opinię lekarza — Ud.”

„Drogi baronie von Eisenger. Oczywiście zorganizujemy dla Hedwig wyjście do opery z okazji występu pani Hellstern w roli Izoldy”.

Godzina minęła szybko. Panna Bulstrode rzadko przerywała, aby znaleźć odpowiednie słowo. Ołówek Ann Shapland biegał po notatniku.

Bardzo dobra sekretarka, pomyślała panna Bulstrode. Lepsza niż Vera Lorrimer. To była nieznośna dziewczyna. Tak nagle rzucić pracę. Powiedziała, że to z powodu załamania nerwowego. Pewnie coś związanego z mężczyzną. Zwykle chodziło o mężczyznę.

— To wystarczy — powiedziała panna Bulstrode, podyktowawszy ostatnie słowo. Westchnęła z ulgą.

— Trzeba robić tyle nudnych rzeczy — zauważyła. — Pisanie listów do rodziców przypomina karmienie psów. Włożyć trochę uspokajających banałów w każdą czekającą paszczę.

Ann zaśmiała się. Jej chlebodawczyni popatrzyła na nią taksujące.

— Jak to się stało, że zostałam sekretarką?

— Właściwie nie wiem. Nie miałam pociągu do niczego szczególnego, a to jest zawód, który łatwo opanować.

— Nie wydaje ci się monotony?

— Chyba miałam szczęście. Trafiały mi się bardzo różne posady. Pracowałam u sir Mervyna Todhuntera, archeologa, potem u sir Andrewa Petersa w koncernie Shella. Przez jakiś czas byłam u Moniki Lord, aktorki. To naprawdę było szaleństwo! — zaśmiała się do swoich wspomnień.

— Taki jest dzisiaj los dziewcząt. Ciągłe zmiany i wahania. — W głosie panny Bulstrode brzmiała dezaprobata.

— Rzeczywiście nie potrafię robić niczego zbyt długo. Mam chorą matkę. Ona... no cóż, czasem sprawia kłopoty. Wtedy muszę wrócić do domu i zajmować się nią.

— Rozumiem.

— Obawiam się jednak, że sama potrzebuję zmiany i urozmaicenia. Nie posiadam daru stałości. Zmiany są mniej nudne.

— Nudne... — mruknęła panna Bulstrode, którą znowu uderzyło to słowo  
Ann popatrzyła na nią zdziwiona.

— Nie zwracaj na mnie uwagi. Czasem jakieś słowo wciąż mi się nasuwa. A jakby ci się podobało zostać nauczycielką? — spytała z pewną ciekawością.

— Boję się, że nie zniosłabym tego — odparła Ann szczerze.

— Dlaczego?

— Wydaje mi się to okropnie nudne — och, przepraszam.

Przerwała skonsternowana.

— Uczenie nie jest bynajmniej nudne — powiedziała panna Bulstrode z zapalem. — Może stać się najbardziej ekscytującą rzeczą na świecie. Będzie mi tego ogromnie brak, kiedy przejdę na emeryturę.

— Ależ chyba... — Ann gapiała się na nią. — Pani myśli o emeryturze?

— Tak, to już zdecydowane. Och, zostanę jeszcze przez rok, albo nawet dwa lata.

— Ale, dlaczego?

— Ponieważ dałam tej szkole wszystko co najlepsze i dostałam od niej to samo. Nie chcę tego powtarzać.

— Szkoła będzie działać dalej?'

— Tak. Mam dobrą następczynię.

— Pewnie pannę Vansittart?

— Wymieniłaś ją automatycznie? — Panna Bulstrode spojrzała bystro. — To interesujące.

— Nie, przyznam, że nic zastanawiałam się nad tym. Słyszałam rozmowę personelu. Myślę, że poprowadzi szkołę dobrze, zgodnie z pani tradycją. Wygląda przy tym doskonale: przystojna i ma odpowiednią prezencję.

— Tak. Jestem pewna, że Eleanor Vansittart jest właściwą osobą.

— Podejmie pracę lam, gdzie pani ją przerwie — rzekła Ann, zbierając swoje rzeczy.

— Czy rzeczywiście tego właśnie pragnę? — spytała panna Bulstrode sama siebie, po wyjściu sekretarki. Podejmie przerwana pracę. Tak właśnie robi Eleanor. Żadnych eksperymentów, nic rewolucyjnego. Nie w taki sposób stworzyłam Meadowbank. Ryzykowałam. Niepokoiłam wiele osób. Straszylam, przymilałam się i odmówiłam naśladowania doświadczeń innych szkół. Może nie chce kontynuowania tego? Pragnę kogoś, kto tchnie nowe życie w szkołę? Kogoś dynamicznego... jak... Eileen Rich?

Ale Eileen jest za młoda, nie ma dosyć doświadczenia... Działa pobudzająco, potrafi uczyć. Ma pomysły. Nigdy nie będzie nudna. Bzdura, muszę wyrzucić to słowo ze swojej świadomości. Eleanor Vansittart nie jest nudna...

Spojrzała na wchodzącą pannę Chadwick.

— Och, Chaddy — powiedziała. — Jak miło cię zobaczyć!

Panna Chadwick wydawała się trochę zaskoczona.

— Dlaczego? Czy coś się stało?

— Mnie się coś stało. Nie wiem, czego chcę.

— To niepodobne do ciebie, Honorio.

— Prawda? Jak idą zajęcia, Chaddy?

— Myślę, że dobrze. — W głosie panny Chadwick brzmiała niepewność.

Panna Bulstrode drgnęła.

— Zaraz. Nie powstrzymuj się. Coś jest nie w porządku?

— Nic. Naprawdę, Honorio, zupełnie nic. To tylko... — panna Chadwick zmarszczyła czoło i wyglądała jak zmartwiony pies bokser. — Jakieś wrażenie. Naprawdę nic, do czego można by się przyczepić. Nowe dziewczęta wydają się miłe. Nie podoba mi się zbytnio *mademoiselle* Blanche. Ale nie lubiłam także Genowefy Depuy. Spryciara.

Panna Bulstrode nie zwróciła uwagi na tę krytykę. Panna Chadwick zwykle oskarżała Francuzki o chytryść.

— Nie jest dobrą nauczycielką — powiedziała panna Bulstrode. — Zaskakujące. Miała takie dobre świadectwa.

— Francuzi nie potrafią uczyć. Nie utrzymują dyscypliny. A znowu panna Springer to za wiele dobrego! Przechodzi samą siebie. Skoczek w rzeczywistości i z nazwiska...

— Zna swoją robotę.

— O tak, znakomicie.

— Nowi pracownicy zwykle drażnią.

— Tak — zgodziła się chętnie panna Chadwick. — Jestem pewna, że nie ma nic więcej. Nawiasem mówiąc, nowy ogrodnik jest bardzo młody. To niezwykle w dzisiejszych czasach. Młodych ogrodników po prostu nie spotyka się. Szkoda, że jest taki przystojny. Musimy mieć oczy szeroko otwarte.

Obie damy skinęły zgodnie głowami. Nikt nie znał lepiej spustoszeń, jakie czyni przystojny młody człowiek w sercach dorastających dziewcząt.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY SŁOMKA NA WIETRZE

### I

— Całkiem nieźle, chłopcze — powiedział stary Briggs mrukliwie. — Naprawdę nieźle.

W ten sposób wyrażał aprobatę dla skopania kawałka ziemi przez swojego nowego pomocnika.

— Zapamiętaj — ciągnął — żebyś nie rzucał się na robotę. Pracuj solidnie, zawsze to mówię. Solidność, o to właśnie chodzi.

Młody człowiek zrozumiał, że tempo pracy Briggsa nie wypada korzystnie w zestawieniu z jego szybkością.

— Teraz stąd dotąd — kontynuował ogrodnik — posadzimy ładne astry. ONA nie lubi astrów, ale ja nie zwracam na to uwagi. Baby mają swoje fochy, ale jeśli się nic przejmujesz, na pewno nic nie zauważą. Choć muszę przyznać, że ONA na ogół spostrzega wszystko. A można by pomyśleć, że prowadząc taką szkołę ma dosyć na głowie.

Adam pojął, że zaimek „ona”, występujący tak często w wypowiedziach Briggsa, odnosi się do panny Bulstrode.

— Aż kim to rozmawiałeś przed chwilą — zapytał podejrzliwie Briggs. — Kiedy poszedłeś do szopy, nie wiadomo po co?

— Och, to była jedna z młodych panienek — odparł Adam.

— Aa, chyba jedna z dwóch Włoszek. Bądź jednak ostrożny, mój chłopcze. Nie daj się wpłatać w żadne afery z Włoszkami, wiem, co mówię. Poznałem Włoszki w czasie pierwszej wojny i gdybym wiedział wtedy to, co teraz, bardziej bym uważał. Jasne?

— Nie było w tym nic złego — oświadczył Adam zachmurzywszy się. — Tylko krótka wymiana zdań; zapytała mnie o nazwy kilku kwiatów.

— Musisz jednak mieć się na baczności. To nie jest twój interes rozmawiać z panienkami. JEJ by się to nic podobało.

— Nie zrobiłem nic złego i nie mówiłem czego nie trzeba.

— Nic powiadam, że zrobiłeś coś złego, chłopcze. Jest tu jednak kupa młodych dziewczuch, którym w głowie tylko nauczyciel rysunków — no, lepiej uważaj. To wszystko. Ach, idzie tu ta Stara. Ręczę, że wymyśliła coś trudnego.

Panna Bulstrode zbliżyła się szybkim krokiem. — Dzień dobry, Briggs — powiedziała. — Dzień dobry...

ec...

— Adam, proszę pani.

— A tak. Adam. Widzę, że skopaliście ten kawałek znakomicie. Siatka odgradzająca kort tenisowy oderwała się, Briggs. Zajmijcie się tym.

— Tak, psze pani. Dopilnuję tego.

— Co sadzicie tu na przedzie'?

— Pomyślałem, psze pani...

— Tylko nie astry — powiedziała panna Bulstrode, nie dając mu dokończyć. — Dalie — i oddaliła się żwawo.

— Przychodzi i rozkazuje — rzekł Briggs. — Nie znaczy, że się nie zna. Zaraz widzi, jeśli nie zrobiłeś czegoś jak należy. I pamiętaj, chłopcze, co ci powiedziałem, bądź ostrożny, I z Włoszkami, i z innymi.

— Jeżeli ona ma mi coś do zarzucenia, wiem co mam zrobić — oświadczył Adam chmurnie. — Jest mnóstwo różnych zajęć.

— Wy młodzi, tacy już jesteście w dzisiejszych czasach. Nie przyjmujecie uwag od nikogo. Powiadam tylko: uważaj, co robisz.

Adam nadal był nadąsany, ale pochylił się nad robotą. Panna Bulstrode szła ścieżką w kierunku szkoły. Była trochę zasepiona.

Z przeciwka nadeszła panna Vansittart.

— Jakże upalne popołudnie — zauważyła.

— Tak, jest bardzo parno i duszno — panna Bulstrode zmarszczyła brwi. — Zwróciłaś uwagę na tego młodego człowieka, tego ogrodnika?

— Nie bardzo.

— Wydaje mi się... no... trochę dziwny. Nie taki, jakich tu widzimy.

— Może przyjechał z Oxfordu, żeby zarobić nieco pieniędzy.

— Jest przystojny. Dziewczęta to widzą.

— Zwykły problem.

Panna Bulstrode uśmiechnęła się. — Miałas na myśli połączenie swobody dla dziewcząt ze ścisłym nadzorem?

— Tak.

— Potrafimy tego dokonać.

— Naprawdę potrafimy. Nigdy nie miałaś skandalu w Meadowbank, prawda?

— Raz czy dwa niewiele brakowało — odparła panna Bulstrode. — Zaśmiała się. — Prowadzenie szkoły nigdy nie bywa nudne. Czy tutejsze życie wydaje ci się monotonne?

— Rzeczywiście nie — powiedziała panna Vansittart. — Uważam, że praca tutaj jest podniecająca i przynosi satysfakcję. Musisz być bardzo dumna i szczęśliwa z osiągniętego sukcesu, Honorio.

— Sądzę, że zrobiłam tu dobrą robotę — powiedziała panna Bulstrode w zamyśleniu. — Oczywiście nic nie przebiega tak, jak się wydaje na początku... Powiedz, Eleanor — zapytała nieoczekiwanie — jeśli będziesz zarządzać tą szkołą zamiast mnie, jakie zmiany wprowadzisz? Nie krępuj się. Interesuje mnie to.

— Nie sądzą, żebym chciała coś zmieniać. Wydaje mi się, że duch szkoły i jej organizacja są niemal doskonałe.

— Zachowasz tę samą linię działania?

— Tak. Nie sądzą, żeby coś dało się ulepszyć. Panna Bulstrode milczała chwilę. Ciekawe, czy ona powiedziała to, by sprawić mi przyjemność, pomyślała. Z ludźmi nigdy nie wiadomo, nawet jeśli żyjesz z nimi blisko przez całe lata. Na pewno myśli inaczej. Każdy człowiek z twórczym usposobieniem musi pragnąć zmian. To prawda, choć przyznanie się do tego mogłoby się wydać nietaktem... A takt jest niezmiernie ważny. Ważny w stosunkach z rodzicami, z dziewczętami, z personelem. Eleanor zawsze była taktowna.

Głośno powiedziała: — Trzeba jednak wprowadzać udoskonalenia. Mam na myśli nowe pomysły i zmianę ogólnych warunków.

— Oczywiście — odparła panna Vansittart. — To przychodzi z czasem. Ale to twoja szkoła, Honorio, ty ją stworzyłaś i twoje tradycje są jej istotą. Bardzo cenię tradycje.

Panna Bulstrode nie odpowiedziała. Wahała się przed wypowiedzeniem słów. Propozycja zawarcia spółki wisiała w powietrzu. Choć dobre wychowanie panny Vansittart pozwalało jej udawać nieświadomość, musiała sobie zdawać sprawę z bliskości takiego pytania. Panna Bulstrode nie wiedziała, co ją powstrzymało. Dlaczego czuła niechęć do postawienia wszystkiego na jedną kartę?

Prawdopodobnie, przyznała ponuro, nie umiała znieść myśli o oddaniu kontroli nad szkołą. W duchu chciała zostać, nadal prowadzić swoje dzieło. Z pewnością nikt nie byłby lepszym następcą od Eleanor. Taka odpowiedzialna, zasługująca na zaufanie. Oczywiście, jest jeszcze kochana, niezawodna Chaddy. A jednak nie można było sobie jej wyobrazić na stanowisku dyrektorki znakomitej szkoły.



— Czego ja chce? — spytała panna Bulstrode sama siebie. — Jestem nieznośna! Do chwili obecnej niezdecydowanie nie należało do moich przywar.

W dali zadźwięczał dzwonek.

— Moja lekcja niemieckiego — rzekła panna Vansittart. — Muszę iść. — Ruszyła żwawo, choć godnie w kierunku szkolnego budynku. Idąc za nią trochę wolniej panna Bulstrode omal nie zderzyła się z Eileen Rich, wybiegającą z bocznej ścieżki.

— Och, bardzo przepraszam, panno Bulstrode. Nie zauważyłam pani. — Jej włosy jak zwykle wyslizgiwały się z niedbale upiętego koka. Panna Bulstrode zauważyła jeszcze raz brzydką, ale interesującą, zniewalającą entuzjazmem twarz młodej kobiety.

— Ma pani lekcję?

— Tak. Angielski...

— Lubi pani uczyć, prawda?

— Uwielbiam. To najbardziej fascynująca rzecz na świecie.

— Dlaczego?

Eileen Rich zamarła nieruchomo. Przesunęła ręką po włosach. Zmarszczyła brwi, myśląc usilnie.

— To ciekawe. Chyba nigdy nie zastanawiałam się nad tym. Dlaczego lubi się uczyć? Żeby czuć się wspaniałym i ważnym? Nie, nie... chyba tak źle nie jest. To jest bardziej podobne do łowienia ryb. Nigdy nie wiadomo, co się złowi, co wyciągnie się z morza. To rodzaj powołania. Gdy przyjdzie, jest pasjonujące. Oczywiście nie zdarza się często.

Panna Bulstrode przytaknęła. Miała rację! Ta dziewczyna ma w sobie coś.

— Przypuszczam, że kiedyś będzie pani prowadzić własną szkołę.

— Mam nadzieję, że tak. Pragnę tego ponad wszystko.

— Masz już pomysł, jaka powinna być ta szkoła?

— Myślę, że każdy ma jakieś pomysły — powiedziała Eileen Rich. — Przypuszczam, że w większości są fantastyczne i całkowicie błędne. Oczywiście trzeba podjąć ryzyko. Trzeba te pomysły wypróbować. Muszę zdobywać doświadczenie... Okropne, jeśli nie potrafi się korzystać ze zdobyczy innych ludzi.

— Niekoniecznie — odparła panna Bulstrode. — W życiu musi się popełniać własne błędy.

— W życiu, tak. W życiu można się pozbierać i zacząć od nowa. — Eileen zacisnęła pięści. Jej twarz była zawzięta. Nagle rozjaśniła się. — Jeżeli jednak szkoła, którą się prowadzi, rozpadnie się, niełatwo ją pozbierać i zacząć od nowa.

— Gdybyś prowadziła taką szkołę jak Meadowbank, próbowałabyś wprowadzić zmiany, eksperymentować?

Eileen Rich wydawała się zakłopotana. — Bardzo... bardzo trudno o tym mówić.

— Chcesz powiedzieć, że tak. Nie krępuj się, moje dziecko.

— Sądzę, że zawsze chciałoby się wykorzystać własne pomysły. Nie wiem, czy się powiodą. Może się nie udać.

— Ale warto podjąć ryzyko?

— Zawsze warto zaryzykować, prawda? — powiedziała Eileen. — Oczywiście jeżeli pragnienie jest wystarczająco silne.

— A więc nie masz nic przeciwko ryzyku w życiu...

— Chyba zawsze prowadziłam ryzykowne życie. — Cięń przeszedł przez twarz dziewczyny. — Muszę iść. Będą na mnie czekać — oddaliła się pośpiesznie.

Panna Bulstrode stała, patrząc za nią. Tak zamyśloną odnalazła panna Chadwick.

— Oo! Jesteś nareszcie. Wszędzie cię szukałam. Właśnie dzwonił profesor Andersen. Chce wiedzieć, czy mógłby zabrać Meroe na przyszły weekend. Wie, że to niezgodne z naszymi zasadami, ale wyjeżdża niespodziewanie do — to brzmi jakby do Jasser Pendżabu.

— Azerbejdżanu — poprawiła automatycznie panna Bulstrode, ciągle pogrążona we własnych myślach. — Za mało doświadczenia — mruknęła do siebie. — To ryzykowne. Co mówiłaś, Chaddy?

Panna Chadwick powtórzyła wiadomość.

— Prosiłam pannę Shapland o przekazanie, że zadzwonimy do niego i wysłałam ją na poszukiwanie ciebie.

— Powiedz mu, że zgadzamy się. Przyznaję, że to wyjątkowa sytuacja.

Panna Chadwick popatrzyła na nią bystro:

— Coś cię dręczy, Honorio.

— Nie jestem pewna własnej decyzji. To rzadko mi się zdarza i niepokoi mnie... Wiem, co chciałabym zrobić, ale czuję, że zwrócenie się do kogoś nie mającego koniecznego doświadczenia, mogłoby zaszkodzić szkole.

— Mogłabyś zrezygnować z myśli o emeryturze. Tu jest twoje miejsce. Meadowbank potrzebuje ciebie.

— Meadowbank znaczy dla ciebie dużo, prawda, Chaddy?

— W całej Anglii nie ma podobnej szkoły — powiedziała panna Chadwick. — Możemy być dumne, że założyłyśmy ją.

Panna Bulstrode objęła ją czule ramieniem.

— Rzeczywiście możemy czuć się dumne. A ty jesteś moją podporą. Wiesz o Meadowbank wszystko. Troszczysz się o nią tak samo jak ja. A to wiele, moja droga.

Panna Chadwick zarumieniła się z zadowolenia. Honorio Bulstrode tak rzadko przełamывała swoją rezerwę.

## II

— Po prostu nic mogę grać tym paskudztwem. Jest do niczego.

Jennifer w rozpacz cisnęła raketę na ziemię.

— Och. Jennifer, robisz tyle szumu.

— Chodzi o balans. — Jennifer podniosła raketę i wykonała zamach. — Nie jest dobrze wyważona.

— Jest o wiele lepsza niż ten mój stary rupieć — Julia porównała obie rakiety. — Moja jest jak gąbka. Posłuchaj — szarpnęła napiętą strunę. — Zamierzałyśmy dać ją do naciągnięcia, ale mamusia zapomniała.

— Mimo wszystko, wołałabym twoją. — Jennifer wykonała parę zamachów.

— No, a ja wołałabym raczej twoją. Potrafiłabym naprawdę w coś trafić. Możemy się zamienić, jeśli chcesz.

— Dobra, zamieniamy się.

Dziewczynki odkleiły kawałki plastra z napisanymi nazwiskami i przytwierdziły je do zamienionych raket.

— Nie zamierzam robić więcej wymian — ostrzegła Julia. — Narzekanie, że nie podoba ci się moja stara gąbka, nic ci nie pomoże.

## III

Adam gwizdał wesoło, przytwierdzając drucianą siatkę wokół tenisowego kortu. Drzwi pawilonu sportowego otworzyły się i wyrzła *mademoiselle* Blanche, mała, niepozorna

nauczycielka francuskiego. Widok Adama jakby ją przestraszył. Po chwili wahania cofnęła się do środka.

— Ciekaw jestem, co ona tam robi — powiedział Adam do siebie. Nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie zachowanie panny Blanche. Miała wygląd osoby na czymś przyłapanej, co natychmiast wzbudziło jego podejrzliwość. Niebawem wyszła znowu, zamykając drzwi. Mijając go zatrzymała się, aby porozmawiać.

— Widzę, że naprawia pan siatkę.

— Tak, proszę pani.

— Bardzo ładne są tutejsze korty i basen, no i ten pawilon. Och! *le sport!* W Anglii myślicie dużo o sporcie, prawda?

— Tak, chyba tak, proszę pani.

— A pan gra w tenisa? — oszacowała go wzrokiem w typowo kobiecy sposób, z lekką zachętą w spojrzeniu. Adam zdziwił się ponownie. Odnosił wrażenie, że *mademoiselle* Blanche była niezbyt odpowiednią nauczycielką dla Meadowbank.

— Nie — odparł niezgodnie z prawdą. — Nic gram w tenisa. Nie mam dość czasu.

— A w krykieta?

— Och, grywałem jako chłopiec. Większość facetów to robi.

— Nie miałam czasu, żeby obejrzeć pawilon — powiedziała panna Blanche. — Dopiero dzisiaj. Zrobiło się tak ładnie, że pomyślałam, aby pójść i obejrzeć go.

Chcę opisać budynek w liście do moich przyjaciół, którzy prowadzą szkołę.

Adam poczuł się znowu zaintrygowany. Aż tyle niepotrzebnych tłumaczeń. Wyglądało to prawie tak, jakby *mademoiselle* Blanche pragnęła usprawiedliwić swoją obecność w pawilonie. Po co to robiła? Miała prawo poruszać się po terenach należących do szkoły, gdzie tylko miała ochotę. A już na pewno nie potrzebowała tłumaczyć się z tego przed młodszym ogrodnikiem. To wzbudziło wątpliwości w jego umyśle. Co ta młoda kobieta robiła w pawilonie sportowym?

Popatrzył w zamyśleniu na *mademoiselle* Blanche. Może dobrze byłoby wiedzieć o niej trochę więcej. Bardzo delikatnie, z namysłem, zmienił sposób bycia. Jego postawa była nadal pełna szacunku, ale jakby nieco mniej unizona. Pozwolił sobie powiedzieć jej spojrzeniem, że jest atrakcyjną, młodą kobietą.

— Praca w szkole dla dziewcząt musi się pani czasem wydawać trochę nudna — zauważył.

— Rzeczywiście, nie bawi mnie zbytnio.

— Przypuszczam jednak, że miewa pani wolne? Nastąpiła króciutka pauza, jakby Francuzka walczyła ze sobą. Potem, z pewnym żalem odczuł, że dystans między nimi został rozmyślnie zwiększony.

— O tak, mam wystarczającą ilość wolnego czasu. Warunki pracy są tutaj znakomite. — Skinęła głową

— Do widzenia. — Poszła w kierunku szkoły.

— A jednak coś tu kombinowałaś — powiedział Adam do siebie. — Tu, w pawilonie.

Począł, aż kobieta zniknie z pola widzenia, potem zostawiwszy pracę podszedł do pawilonu i zajrzał do środka. Na pierwszy rzut oka wszystko było na miejscu.

— Niemniej coś tu robiła.

Wyszedłszy, nieoczekiwanie stanął oko w oko z Ann Shapland.

— Wiecie, gdzie jest panna Bulstrode? — spytała.

— Sądzę, że wróciła do budynku, proszę pani. Dopiero co rozmawiała z Briggsem.

Ann zmarszczyła brwi.

— Co robicie w pawilonie sportowym?

Adam zmieszał się lekko. Była paskudnie podejrzliwa. Powiedział z pewną zuchwałością:

— Pomyślałem sobie, że mógłbym rzucić okiem na obiekt. Patrzenie nie robi szkody, prawda?

— Nie powinniście zajmować się swoją robotą?

— Właśnie prawie kończyłem przybijanie siatki wokół kortu. — Obrócił się, patrząc na budynek za nim. — Jest nowy, prawda? Musiał kosztować kupę forsy. Dla młodych pańienek wszystko co najlepsze.

— Płacą za to — powiedziała Ann sucho.

— Słyszałem, że płacą słono — zgodził się Adam. Odczuwał niezrozumiałe pragnienie, aby urazić ją lub sprawić jakąś przykrość. Zawsze była taka zimna, taka niezależna. Naprawdę ucieszyłby się, widząc ją rozgniewaną.

Ann jednak nie dała mu tej satysfakcji. Powiedziała tylko:

— Skończone lepiej przybijanie siatki — i poszła w kierunku domu. W połowie drogi zwolniła i obejrzała się. Adam był zajęty robotą. Przeniosła wzrok na pawilon, przyglądając mu się z ciekawością.

## ROZDZIAŁ ÓSMY MORDERSTWO

### I

Sierżant Green, pełniący nocny dyżur w komisariacie w Hurst St. Cyprian, ziewnął. Rozległ się dzwonek telefonu i policjant sięgnął po słuchawkę. W chwilę później jego zachowanie zmieniło się gruntownie. Zaczął spieszenie notować.

— Tak? Meadowbank? Tak — a nazwisko? Proszę przeliterować. S-P-R-I-N-G — jak Genowefa? —E-R. Springer. Tak. Tak, proszę pilnować, żeby nic nie zostało ruszone. Zaraz ktoś tam przyjedzie.

Szybko i sprawnie przystąpił do uruchamiania procedury.

— Meadowbank? — powiedział inspektor Kelsey, kiedy nadeszła jego kolej. — To szkoła dla dziewcząt, prawda? Kogo zamordowano?

— Śmierć nauczycielki gimnastyki — powtórzył w zamyśleniu. — Brzmi jak tytuł thrillera z kiosku na dworcu.

— Jak pan myśli, kto ją załatwił? To wydaje się jakieś nienormalne — zauważył sierżant Green.

— Nawet nauczycielki gimnastyki mają życie miłosne — rzekł Kelsey. — Mówili, gdzie znaleziono ciało?

— W sportowym pawilonie. To pewnie elegancka nazwa sali gimnastycznej.

— Możliwe. Śmierć nauczycielki gimnastyki w sali gimnastycznej. Bardzo sportowa zbrodnia. Mówiłeś, że została zastrzelona?

— Tak.

— Znaleziono pistolet?

— Nie.

— Ciekawe — rzeki inspektor Kelsey i zgromadziwszy ekipę wyszedł pełnić swe obowiązki.

### II

Przez otwarte drzwi frontowe w Meadowbank padała struga światła. Inspektor Kelsey został przyjęty przez samą pannę Bulstrode. Znał ją z widzenia, jak większość ludzi w sąsiedztwie. Nawet teraz, w chwili zamieszania i niepewności, panna Bulstrode była sobą, panowała nad sytuacją i personelem.

— Inspektor Kelsey, proszę pani.

— Co chciałby pan zrobić najpierw, inspektorze? Życzy pan sobie pójść do pawilonu sportowego, czy usłyszeć szczegóły?

— Jest ze mną lekarz — powiedział inspektor. — Jeżeli wskaże pani drogę jemu i paru moim ludziom, to tymczasem chętnie porozmawiałbym z panią.

— Oczywiście. Proszę do mego gabinetu. Panno Rowan, zechce pani zaprowadzić doktora i pozostałych panów? Jedna z, moich pracownic jest na miejscu, pilnując, by niczego nie dotykano — dodała.

— Dziękuję pani.

Kelsey podążył za panną Bulstrode do gabinetu. — Kto znalazł ciało?

— Opiekunka internatu, panna Johnson. Jedną z dziewczynek bolało ucho i panna Johnson zajmowała się nią. W tym czasie zauważyła, że zasłona w oknie nie jest dobrze zaciągnięta i

chciała ją poprawić. Robiąc to, dostrzegła światło w pawilonie sportowym, a o pierwszej po północy nie powinno się tam świecić.

— Na pewno — potwierdził Kelsey. — A gdzie jest teraz panna Johnson?

— Jest tutaj, jeśli chce pan ją zobaczyć?

— Zaraz. Zechce pani kontynuować.

— Panna Johnson obudziła inną naszą pracownicę, pannę Chadwick. Zdecydowały pójść i sprawdzić, co się dzieje. Kiedy wyszły przez boczne drzwi, usłyszały odgłos strzału, po czym pobiegły tak szybko, jak mogły, do pawilonu. Po przybyciu tam...

Inspektor przerwał jej. — Dziękuję, panno Bulstrode. Jeżeli, jak pani mówi, panna Johnson jest osiągalna, chciałbym usłyszeć ciąg dalszy od niej. Najpierw jednak może opowie pani coś o zamordowanej kobiecie.

— Nazywa się Grace Springer.

— Pracowała tu długo?

— Nie. Przyszła dopiero w tym okresie. Poprzednia nauczycielka gimnastyki wyjechała do pracy w Australii.

— A co pani wie o tej pannie Springer?

— Jej świadectwa były znakomite.

— Nie znała jej pani osobiście przed rozpoczęciem pracy?

— Nic.

— I nie ma pani pojęcia, co mogło spowodować tę tragedię? Może była nieszczęśliwa? Albo wplątała się w coś?

— Panna Bulstrode potrząsnęła głową. — O niczym takim mi nie wiadomo. Mogę powiedzieć, że wydaje mi się to nieprawdopodobne. Ona nie należała do kobiet tego typu.

— No, mogłaby się pani zdziwić... — powiedział ponuro inspektor.

— Chciałby pan, żebym sprowadziła teraz pannę Johnson?

— Proszę bardzo. Po wysłuchaniu jej relacji, pójdę do są... do, jak to nazywacie, pawilonu sportowego.

— To jest budynek postawiony w tym roku — wyjaśniła panna Bulstrode. — Przylega do basenu pływackiego i obejmuje kort do squasha i inne urządzenia. Przechowuje się tam rakietki tenisowe i kije hokejowe, jest też pomieszczenie do suszenia kostiumów kąpielowych.

— Czy jest jakiś powód, dla którego panna Springer mogłaby znajdować się w pawilonie sportowym w nocy?

— Nie ma żadnego — odparła panna Bulstrode zdecydowanie.

— Dobrze więc. Teraz chcę porozmawiać z panną Johnson.

Panna Bulstrode wyszła i wróciła wkrótce, prowadząc opiekunkę internatu. Panna Johnson wypila sporą porcję brandy, zaleconą jej dla opamiętania się po odkryciu ciała. Rezultatem była wzmożona elokwencja.

— To jest inspektor Kelsey — powiedziała panna Bulstrode. — Opanuj się, Elspeth i opowiedz mu dokładnie, co się stało.

— To okropne — oświadczyła panna Johnson. — Naprawdę okropne. Nic podobnego nie zdarzyło mi się w ciągu całego życia. Nigdy! Nie mogę w to uwierzyć, naprawdę nie mogę. I do tego ta panna Springer.

Inspektor Kelsey był spostrzegawczy. Chętnie odstępował od rutyny, jeżeli jakaś uwaga uderzała go jako niezwykła lub warta wykorzystania.

— A więc wydaje się pani dziwne, że zamordowano właśnie pannę Springer?

— No cóż, rzeczywiście, inspektorze. Ona była taka twarda, taka mocna. Kobieta, którą można sobie wyobrazić, jak ujmuje samodzielnie włamywacza, albo nawet dwóch.

— Włamywacza? — powtórzył inspektor. — Hm.

Czy w pawilonie można coś ukraść?

— Naprawdę nie wiem, co by to mogło być. Kostiumy kąpielowe, przybory sportowe.

— Tego rodzaju rzeczy mógłby zabrać drobny złodziejasek. Trudno pomyśleć, że po to się włamano. Nawiasem mówiąc, było włamanie?

— Szczerze mówiąc nic pomyślałam, żeby popatrzeć. To znaczy, kiedy dotarliśmy tam, drzwi były otwarte i...

— Drzwi nie były wyłamane — wtrąciła panna Bulstrode.

— Rozumiem — powiedział inspektor. — Użyto klucza. Popatrzyl na pannę Johnson. — Czy panna Springer była lubiana?

— No, nie potrafię powiedzieć. Mam na myśli, że przecież nie żyje.

— A więc nie lubiła jej pani — zauważył Kelsey bystro, ignorując delikatność panny Johnson.

— Nie wydaje mi się, żeby była zbyt lubiana. Wie pan, była bardzo kategoryczna. Nic zwracała po prostu uwagi na ludzi mających inne zdanie. Była bardzo kompetentna i traktowała pracę niezwykle poważnie, nieprawdaż, panno Bulstrode?

— Na pewno.

Kelsey zawrócił z bocznej ścieżki, w którą się zapuścił. — A teraz, panno Johnson, posłuchajmy, co się zdarzyło.

— Jane, jednej z naszych uczennic, dokuczało ucho. Zbudziła się z silnym bólem i przysłała do mnie. Podałam jej lekarstwa, a kiedy kładłam ją do łóżka, zobaczyłam, że zasłony w oknie trzepoczą i postanowiłam zamknąć okno, ponieważ wiało raczej w tym kierunku. Oczywiście dziewczynki zawsze śpią przy otwartych oknach. Mamy czasem trudności z cudzoziemkami, ale ja twierdze, że...

— To nie jest istotne — przerwała jej panna Bulstrode. — Nasze zasady higieny nie interesują inspektora.

— Jasne, że nie — zgodziła się panna Johnson. — Więc, jak mówiłam, poszłam zamknąć okno i ku mojemu zdziwieniu zobaczyłam światło w pawilonie sportowym. Było zupełnie wyraźne, nic mogłam się mylić. Poruszało się.

— Chce pani powiedzieć, że nie było to zapalone światło elektryczne, tylko blask latarki albo flesza?

— Tak. tak to właśnie wyglądało. Pomyślałam „ojej, a cóż to ktoś robi w pawilonie o tej porze?” Oczywiście nie sądziłam, że to włamywacz. To byłby dziwny pomysł, jak pan zauważył.

— A co pani przypuszczała?

Panna Johnson rzuciła szybkie spojrzenie na swoją przełożoną.

— Nie wiem, czy miałam na myśli coś konkretnego, uważam, że... naprawdę trudno mi...

Panna Bulstrode wtrąciła się. — Sądzę, że pannie Johnson przyszło do głowy, iż któraś z naszych wychowanek mogła tam pójść na spotkanie. Mam rację. Elspeth?

Panna Johnson złapała oddech. — Tak. wówczas właśnie to przyszło mi na myśl. Na przykład któraś z naszych Włosek. Cudzoziemki dojrzewają znacznie wcześniej niż Angielki.

— Nie bądź taka wyspiarska. Miałyśmy mnóstwo angielskich dziewcząt, które próbowały umawiać się na randki. To oczywiste, że taka myśl przyszła ci do głowy. Ja również pomyślałabym o tym.

— Proszę dalej — powiedział inspektor.

— Uznałam, że najlepiej byłoby obudzić pannę Chadwick, żeby poszła ze mną zobaczyć, co się tam dzieje.

— Dlaczego właśnie pannę Chadwick? — spytał Kelsey. — Z jakiego powodu wybrała pani właśnie tę nauczycielkę?

— Nie chciałam niepokoić panny Bulstrode. Mamy zwyczaj zwracać się do panny Chadwick, kiedy nie chcemy zwracać głowy przełożonej. Pracuje tutaj tak długo i ma ogromne doświadczenie.

— W każdym razie poszła pani do panny Chadwick i obudziła ją. Tak?

— Tak jest. Zgodziła się ze mną, że musimy tam pójść natychmiast. Nie chciałyśmy się nawet ubierać, włożyłyśmy tylko swetry i płaszcze i wyszłyśmy przez boczne drzwi. I właśnie gdy znalazłyśmy się na ścieżce, usłyszałyśmy strzał w pawilonie. Pobieglyśmy najszybciej, jak się dało. Dosyć głupio zrobiłyśmy nie biorąc latarki, bo trudno było zobaczyć drogę. Potknęłyśmy się parę razy, ale dotarłyśmy tam dosyć szybko. Drzwi były otwarte. Zaświeciłyśmy światło i...

Kelsey przerwał jej. — Kiedy panie dobiegły, w pawilonie było ciemno? Nie było latarki ani innego oświetlenia?

— Nic. Budynek był zupełnie ciemny. Zapaliłyśmy światło i ona tam leżała. Ona...

— To wystarczy — powiedział inspektor życzliwie.

— Nie musi pani niczego opisywać. Zaraz tam pójde i zobaczę sam. Biegając tam nie natknęły się panie na kogoś?

— Nie.

— A może słyszałyście, jak ktoś biegnie?

— Nie. Nie było nic słyhać.

— Czy ktoś jeszcze w budynku szkolnym usłyszał wystrzał? — zapytał Kelsey, patrząc na pannę Bulstrode.

Potrząsnęła głową. — Nie. O ile mi wiadomo, nikt o tym nie wspominał. Pawilon stoi w pewnej odległości i wątpię, czy strzał był słyszalny.

— Może w pokoju położonym w bocznej części budynku, z oknami wychodzącymi na pawilon?

— Wątpię, chyba że ktoś nasłuchiwał specjalnie. Jestem pewna, że nie był dosyć głośny, aby obudzić kogokolwiek.

— Cóż, dziękuje pani. Pójde teraz do pawilonu.

— Idę z panem — oświadczyła panna Bulstrode.

— Chce pan, żebym poszła również? — spytała panna Johnson. — Jeśli pan sobie życzy, pójde. Uważam, że nie należy uchylać się od spełnienia obowiązku. Zawsze byłam zdania, że należy stawiać czoło przeciwnościom...

— Dziękuję — odparł inspektor. — To nie jest konieczne. Nie chciałbym narażać pani na dalszy stres.

— To okropne — powiedziała panna Johnson — tym bardziej, że nie lubiłam jej zbytnio. Zaledwie ostatniego wieczoru pokłóciłyśmy się w pokoju nauczycielskim. Upierałam się, że nadmiar zajęć z wychowania fizycznego nie służy niektórym dziewczętom, tym bardziej delikatnym. Panna Springer powiedziała, że to bzdura, że właśnie tego im trzeba. Działa wzmacniająco i robi z nich zupełnie nowe kobiety, tak mówiła. Odpowiedziałam, że nie zna się na wszystkim, choć tak się jej wydaje. Mam wykształcenie zawodowe i wiem znacznie więcej o wrażliwości i chorobie niż panna Springer, choć nie wątpię, że panna Springer wie wszystko o poręczach, skokach przez kozioł i trenowaniu tenisa. Teraz jednak, po tym co się stało, chciałabym, żeby te słowa nigdy nie padły. Chyba każdy czuje podobnie, kiedy wydarzy się coś strasznego. Naprawdę, czuję się winna.

— Usiądź teraz tutaj, kochanie — rzekła panna Bulstrode, sadowiając ją na sofie. — Siedź sobie, wypoczywaj i nie zwracaj uwagi na małe sprzeczki. Życie byłoby bardzo nudne, gdybyśmy się zgadzali na każdy temat.

Panna Johnson usiadła potrząsając głową, a potem ziewnęła. Panna Bulstrode wyszła za inspektorem do hallu.

— Dałam jej dość dużo brandy — powiedziała ze skrucą. — Dlatego zrobiła się taka gadatliwa. Chyba jednak nic nie poplątała?

— Nie — odparł Kelsey. — Złożyła jasną relację z tego, co zaszło.

Panna Bulstrode poprowadziła go do bocznych drzwi.



— To tędy wyszła panna Johnson z panną Chadwick?

— Tak. Widzi pan, tędy idzie się prosto do ścieżki wśród rododendronów, wychodzącej na pawilon sportowy.

Inspektor miał silną latarkę i wkrótce dotarli do obiektu błyszczącego teraz światłami.

— Ładny budynek.

— Kosztował nas sporo — powiedziała panna Bulstrode. — Możemy sobie jednak na to pozwolić — dodała pogodnie.

Otwarte drzwi prowadziły do sporego pomieszczenia. Znajdowały się w nim szafki z nazwiskami dziewcząt na drzwiach. Na końcu pokoju umieszczono stojak na rakiety tenisowe i kije do hokeja na trawie. Drzwi w jednej ze ścian prowadziły do pryszniców i przebieralni. Kelsey zatrzymał się przed wejściem. Dwaj jego ludzie pracowali w środku. Fotograf właśnie skończył, zaś drugi mężczyzna, zdejmujący odciski palców, spojrzał mówiąc:

— Może pan przejść prosto po podłodze... Nie skończyliśmy jeszcze tej części.

Kelsey podszedł do lekarza klęczącego przy zwłokach. Ten popatrzył na inspektora:

— Została zastrzelona z odległości około czterech stóp. Kula przebiła serce. Śmierć musiała nastąpić niemal natychmiast.

— Tak. Jak dawno to się stało?

— Mniej więcej godzinę temu.

Kelsey skinął głową. Obrzucił spojrzeniem wysoką postać panny Chadwick, stojącą nieugięcie jak pies łańcuchowy pod jedną ze ścian. Jakieś pięćdziesiąt pięć lat. ocenił, szerokie czoło, uparte usta, niedbale uczesane włosy, ani śladu hysterii. Pomyślał, że na tej kobiecie można polegać w momentach kryzysu, a przeoczyć ją w życiu codziennym.

— Panna Chadwick? — zapytał.

— Tak.

— Przyszła pani z panną Johnson i znalazła ciało?

— Tak. Wyglądała dokładnie tak, jak w tej chwili. Była martwa.

— Która była godzina?

— Kiedy panna Johnson obudziła mnie, popatrzyłam na zegarek. Była za dziesięć pierwsza.

Kelsey skinął głową. To zgadzało się z czasem podanym przez opiekunkę internatu. Spojrzał w zamyśleniu na martwą kobietę. Jej jasnorude włosy były krótko przycięte. Miała piegowatą twarz, z wystającym podbródkiem i szczupłą, wysportowaną figurę. Była ubrana w tweedową spódnicę i gruby, ciemny sweter. Gołe nogi tkwiły w butach do golfa.

— Ani śladu broni? — spytał Kelsey. Jeden z jego ludzi potwierdził: — Ani śladu.

— A co z latarką?

— Jest. Leży w tym kącie.

— Odciski palców?

— Owszem. Należą do zmarłej.

— A więc to ona miała latarkę — powiedział Kelsey z namysłem. — Przyszła tu z latarką, ale dlaczego? — pytał częściowo siebie, częściowo swoich ludzi i nauczycielki. Ostatecznie skoncentrował się na pannie Chadwick. — Ma pani jakiś pomysł?

Panna Chadwick potrząsnęła głową. — Nie mam pojęcia. Może zostawiła tu coś, zapomniała po południu albo wieczorem i przyszła po to. Ale w środku nocy to mało prawdopodobne.

— Musiałoby to być coś bardzo ważnego — rzekł Kelsey.

Rozejrzał się dookoła. Wydawało się, że nie ruszono niczego z wyjątkiem stojaka na rakiety tenisowe na końcu pokoju. Wyglądał jakby pociągnięto go gwałtownie do przodu. Kilka raket leżało na podłodze.

— Oczywiście — powiedziała panna Chadwick — mogła tu ujrzyć światło, jak później panna Johnson i przyjść dla sprawdzenia. To wydaje mi się możliwe.

— Myślę, że ma pani rację — rzekł inspektor. — Jest jeszcze jeden drobiazg. Przyszła tu sarna?

— Tak — odparła panna Chadwick bez wahania

— Panna Johnson — przypomniał jej Kelsey — obudziła panią.

— Wiem. Tak samo zrobiłabym ja, widząc światło. Obudziłabym pannę Bulstrode, albo pannę Vansittart lub kogoś jeszcze innego. Ale nie panna Springer. Była pewna siebie; wolała przyłapać intruza na własną rękę.

— Jeszcze coś. Wyszły panie przez boczne drzwi. Były otwarte?

— Tak jest.

— Przypuszczalnie otworzyła je panna Springer?

— To naturalny wniosek — rzekła panna Chadwick.

— Zakładamy więc, że panna Springer spostrzegła światło w sali... w pawilonie sportowym, czy jak tam to nazywacie, wyszła zbadać sprawę i ktoś ją zastrzelił. — Inspektor obrócił się do panny Bulstrode, stojącej bez ruchu w drzwiach. — Czy według pani to się zgadza?

— Wcale nie — odparła dyrektorka. — Ma pan rację tylko w pierwszej części. Przypuśćmy, że panna Springer zobaczyła światło i przyszła przeprowadzić osobiście śledztwo. To bardzo prawdopodobne. Ale żeby zaskoczona osoba miała ją zastrzelić, to zupełnie mi nie pasuje. Jeżeli był tu ktoś, kto nic powinien być, to raczej uciekłby albo próbował uciec. Po co miałby przychodzić tutaj w nocy z pistoletem? To śmieszne, właśnie tak. Śmieszne! Nic ma tu niczego, co oplaciłoby się ukraść. A już z pewnością nic, co byłoby warte morderstwa.

— Uważa pani, że panna Springer przeszkodziła rac/ej w jakimś spotkaniu?

— To naturalne i najbardziej możliwe do przyjęcia wyjaśnienie — powiedziała panna Bulstrode. — Nie tłumaczy jednak faktu morderstwa. Dziewczęta w mojej szkole nic noszą pistoletów, a również wątpliwe jest, by mógł go mieć młody człowiek, który przyszedłby na spotkanie.

Kelsey zgodził się. — Mógłby mieć najwyżej nóż sprężynowy. Jest jeszcze alternatywa — ciągnął. — Powiedzmy, że panna Springer wyszła na spotkanie z mężczyzną...

Panna Chadwick zachichotała nieoczekiwanie.

— Och, nie — powiedziała. — Nie panna Springer.

— Niekoniecznie musiała to być miłosa randka — powiedział sucho inspektor. — Sugeruję, że morderstwo mogło zostać popełnione z premedytacją, że ktoś zamierzał zamordować pannę Springer, że doszło do spotkania i ten ktoś zastrzelił ją.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY KOT WŚRÓD GOŁĘBI

### I

Jennifer Sutcliffe do matki:

Kochana Mamusiu,

miałyśmy tu ostatniej nocy morderstwo. Panna Springer, gimnastyczka. Zdarzyło się to w środku nocy i przyjechała policja i dziś rano wypytywała wszystkich.

Panna Chadwick poleciła nam, żebyśmy nikomu o tym nie mówiły, ale pomyślałam, że wolałabym wiedzieć.

Ucałowania Jennifer

### II

Meadowbank była zakładem wystarczająco ważnym, by zwrócić osobistą uwagę komisarza policji. Kiedy rutynowe śledztwo biegło swoim torem, panna Bulstrode nie pozostawała bierna. Zadzwoiła do pewnego magnata prasowego i do ministra spraw wewnętrznych, którzy byli jej przyjaciółmi. W rezultacie tych zabiegów bardzo niewiele wiadomości na temat ostatniego zdarzenia dotarło do gazet. Nauczycielkę gimnastyki znaleziono martwą w sali gimnastycznej. Została zastrzelona, a czy był to wypadek, czy nie, jeszcze nie ustalono. Większość notatek była utrzymana w tonie niemal przeprasającym, jakby było nietaktem ze strony nauczycielek gimnastyki dawać się zastrzelić w takich okolicznościach.

Ann Shapland była cały dzień zajęta pisaniem listów do rodziców. Panna Bulstrode nie traciła czasu na prośenie wychowanek, aby nie opowiadały o wydarzeniu. Wiedziała, że byłoby to daremne. Mniej lub bardziej sensacyjne relacje zostały już na pewno przekazane rodzicom i opiekunom. Zdecydowała więc, że jej własne, bardziej wyważone i rozsądne sprawozdanie dotyczące tragedii powinno dotrzeć do nich w tym samym czasie.

Późnym popołudniem siedziała na poufnej naradzie z komisarzem policji panem Stone i inspektorem Kelseyem. Policja była skłonna wyciszać prasę, ile się tylko da. To umożliwiło prowadzenie śledztwa spokojnie i bez ingerencji.

— Ogromnie mi przykro z tego powodu, naprawdę — oświadczył komisarz. — Przypuszczam, że to bardzo niekorzystne dla pani.

— Morderstwo zawsze szkodzi szkole, to prawda — rzekła panna Bulstrode. — Ale nie ma sensu rozwodzić się teraz nad skutkami. Przetrywamy to. bez wątpienia, jak przetrwaliśmy inne burze. Spodziewam się jedynie, że sprawa zostanie wyjaśniona szybko.

— Nie wiem, czemu nie miałyby tak być — powiedział Stone i popatrzył na Kelseya, który odparł: — Pomogłoby nam, gdybyśmy poznali przeszłość panny Springer.

— Naprawdę tak pan sądzi? — spytała sucho panna Bulstrode.

— Ktoś musiał mieć z nią na pieńku.

Panna Bulstrode nic odpowiedziała.

— Myśli pan, że sprawa wiąże się ze szkołą? — spytał komisarz.

— Inspektor Kelsey naprawdę tak uważa — rzekła panna Bulstrode. — Usiłuje tylko oszczędzić moje uczucia.

— Myślę, że to łączy się z Meadowbank — powiedział wolno Kelsey. — Mimo wszystko, panna Springer miała czas wolny, jak reszta personelu. Mogła umówić się z kim tylko chciała, w dowolnie wybranym miejscu. Dlaczego wybrała salę gimnastyczną w środku nocy?

— Nie sprzeciwia się pani przeszukaniu terenu całej szkoły? — upewnił się komisarz.

— Bynajmniej. Szukają panowie pewnie pistoletu, rewolweru, czy czegoś takiego, prawda?

— Tak. To mały pistolet, wyprodukowany za granicą.

— Za granicą — podkreśliła panna Bulstrode.

— O ile pani wiadomo, nikt z personelu ani uczennic nie posiada pistoletu?

— Nie, o ile wiem. Jestem całkowicie pewna wychowanek. Ich rzeczy po przyjeździe rozpakowuje personel i taki przedmiot zostałby zauważony, zapamiętany i spowodowałby sporo komentarzy. Ale proszę bardzo, inspektorze, proszę robić, co pan sobie życzy. Rozumiem, że pańscy ludzie mają przeszukać teren szkoły dzisiaj?

Inspektor przytaknął: — Chciałbym także przeprowadzić rozmowy z pozostałymi członkami pani zespołu. Ktoś mógł usłyszeć jakąś uwagę panny Springer, która da nam klucz. Mógł też zauważyć coś dziwnego w jej zachowaniu.

Przerwał i po chwili dodał: — To samo dotyczy pani wychowanek.

— Miałam plan, żeby zwrócić się krótko do dziewcząt dziś wieczór, po modlitwie. Jeśli mają jakieś informacje, które mogą łączyć się ze śmiercią panny Springer, powinny przyjść i przekazać je mnie.

— Dobry pomysł — rzekł komisarz.

— Muszą panowie jednak pamiętać, że niektóre z dziewcząt będą próbowały dowartościować się przez wyolbrzymienie jakiegoś incydentu, a nawet wymyślenie go. Dziewczynki robią bardzo dziwne rzeczy, ale panowie poradzą sobie z tą formą ekshibicjonizmu.

— Zetknąłem się z tym — rzekł Kelsey. — A teraz proszę dać mi listę nauczycielek i służby.

### III

— Przejrzałem wszystkie szafki w pawilonie, sir.

— I znalazłeś coś?

— Nie, sir, nic ważnego. Trochę zabawnych rzeczy, ale nic po naszej linii.

— Żadna z szafek nie była zamknięta?

— Nie, choć można je zamknąć. Są klucze do nich, ale nikt nie zamyka.

Kelsey popatrzył na gładką podłogę. Rakiety i kije zostały znowu umieszczone na stojakach.

— Dobrze — powiedział. — Idę teraz do domu pogadać z personelem.

— Myśli pan, że to sprawa wewnętrzna?

— To możliwe — powiedział Kelsey. — Nikt nie ma alibi z wyjątkiem dwóch nauczycielek, Chadwick i Johnson, i tej dziewczynki, Jane, którą bolało ucho. Teoretycznie wszyscy byli w łóżkach, śpiąc, ale nie ma nikogo, kto by to potwierdził. Panienki mają oddzielne pokoje i personel również. I każda z nich, nie wyłączając panny Bulstrode, mogła wyjść i spotkać się z panną Springer, albo iść za nią aż tutaj. Potem, po zastrzeleniu nauczycielki, sprawca mógł przekraść się przez krzaki do bocznych drzwi i grzecznie leżeć w łóżku do chwili podniesienia alarmu. Trudność stanowi motyw. Tak, chodzi o motyw. Jeżeli nie dzieje się tu coś, o czym nie wiemy, to motywu brakuje.

Wyszedł z pawilonu i skierował się wolno do budynku szkolnego. Choć godziny pracy już minęły, stary Briggs zajmował się jakąś drobną robotą przy klombie i wyprostował się na widok przechodzącego inspektora.

— Pracuje pan do późna — zauważył Kelsey uśmiechając się.

— Ach — powiedział Briggs. — Ci młodzi nic mają pojęcia, co to jest ogrodnictwo. Przyjść o ósmej, skończyć o piątej, to wszystko, o czym myślą. A tu trzeba studiować pogodę — w pewne dni można się nie fatygować do ogrodu, a znowu kiedy indziej możesz pracować od siódmej rano do ósmej wieczór. Tak jest. jeśli kochasz swój ogród i szcycisz się nim.

— Z tego powinien być pan dumny — powiedział Kelsey. — W dzisiejszych czasach nie widziałem lepiej utrzymanego ogrodu.

— Co do dzisiejszych czasów to prawda — rzeki Briggs. — Ale ja mam szczęście. Dostałem do pomocy silnego, młodego faceta. Kilku chłopaków też, ale ci nie są wiele warcii. Większość tych chłopców i młodych ludzi nic chce zajmować się tą robotą. Wszyscy idą do fabryk albo zostają urzędnikami i pracują w biurze. Nie podoba im się brudzenie rąk najbardziej uczciwą ziemią. Ale, jak powiedziałem, mam szczęście. Dostałem dobrego pracownika, który przyszedł i zgłosił się sam.

— Ostatnio? — zapytał Kelsey.

— Na początku trymestru. Nazywa się Adam. Adam Goodman.

— Chyba go nie widziałem — rzekł inspektor.

— Prosił dziś o wolne. Dałem mu. Nie wydaje mi się, żeby można było wiele zrobić, kiedy pańscy ludzie pętają się wszędzie.

— Ktoś powinien mi o nim powiedzieć — rzucił inspektor ostro.

— Co pan ma na myśli?

— Nie ma go na mojej liście. Liście ludzi zatrudnionych tutaj.

— Och. może go pan zobaczyć jutro, sir. Nic sędzę, że coś panu powie.

— Nigdy nie wiadomo — odparł inspektor. Silny, młody człowiek, który zgłasza się do pracy na początku okresu? To wydało się Kelseyowi pierwszą rzeczą odbiegającą trochę od szablonu, z jaką się tu spotkał.

## IV

Dziewczęta zebrały się jak zwykle w hallu na modlitwę, po której panna Bulsrode mchem ręki zatrzymała je przed rozejściem się.

— Mam wam coś do powiedzenia. Jak wiecie, panna Springer została ostatniej nocy zastrzelona w pawilonie sportowym. Jeżeli któraś z was widziała lub słyszała coś w ostatnim tygodniu, coś co było zaskakujące, a dotyczyło panny Springer. coś co powiedziała czy też powiedziano do niej. co uderzyło was, chciałabym o tym usłyszeć. Możecie przyjść do mojego gabinetu w każdym momencie dzisiejszego wieczoru.

— Och — westchnęła Julia Upjohn, kiedy dziewczynki wyszły. — Jak bym chciała, żebyśmy wiedziały o czymś! Ale nie wiemy, prawda, Jennifer?

— Nie — odparła przyjaciółka. — Jasne, że nie.

— Panna Springer wyglądała zawsze tak bardzo przeciętnie — rzekła Julia. — Zbyt przeciętnie, by, zginąć w tajemniczy sposób.

— Nie przypuszczam, żeby to było coś tajemniczego — powiedziała Jennifer. — Po prostu włamywacz.

— Pewnie zamierzał ukraść nasze rakiety — zauważyła Julia sarkastycznie.

— Może ktoś ją szantażował — rzekła jedna z dziewcząt z nadzieją w głosie.

— Z jakiego powodu? — spytała Jennifer.

Nikt jednak nie umiał wymyślić jakiegokolwiek przyczyny szantażowania panny Springer.

## V

Inspektor Kelsey zaczął przesłuchiwanie personelu od panny Vansittart. Przystojna kobieta, pomyślał oceniając ją. Czterdzieści lat. może trochę więcej, wysoka, dobrze zbudowana, siwe włosy ładnie uczesane. Była godna, opanowana i miała poczucie własnej wartości. Przypominała trochę pannę Bulstrode: typ prawdziwej nauczycielki. Jednakże, zastanowił się, panna Bulstrode posiadała coś, czego brakowało pannie Vansittart — wysoką klasę i trudne do przewidzenia reakcje. Czuł, że panna Vansittart nie mogłaby nikogo zaskoczyć.

Pytania i odpowiedzi padały zgodnie z procedurą. W istocie panna Vansittart nie widziała niczego, nie zauważyła niczego, a także niczego nie słyszała. Panna Springer pracowała znakomicie. Tak, sposób bycia miała odrobinę szorstki, ale według niej nie przesadnie. Owszem, nie była pociągająca zewnątrz, ale w przypadku nauczycielki gimnastyki nie ma takiej konieczności. Nawet lepiej nie mieć przystojnych nauczycielek, gdyż to nie pobudza dziewczynek emocjonalnie. Panna Vansittart wyszła, nie powiedziawszy nic pożytecznego.

— Nie widzieć zła, nie słyszeć zła, nie myśleć o niczym złym. Zupełnie jak te małpy — zauważył sierżant Percy Bond, pomagający inspektorowi.

— Jesteś bliski prawdy, Percy.

— Jest w nauczycielkach coś. co mnie denerwuje — rzekł sierżant. — Panicznie się ich bałem, będąc dzieciakiem. Znałem jedną, która była wcielonym diabłem. Taka zarozumiała i pretensjonalna, że nigdy nie można było pojąć, czego właściwie chce nas nauczyć

Z kolei zjawiała się Eileen Rich. Brzydka jak siedem grzechów głównych, pomyślał natychmiast inspektor. Potem jednak stwierdził, że posiada pewien urok. Rozpoczął zadawanie rutynowych pytań, lecz odpowiedzi, wbrew jego oczekiwaniom, odbiegały od szablonu. Powiedziawszy, że nie słyszała ani nic zauważyła niczego szczególnego, co ktoś powiedziałby o pannie Springer, lub co ona sama powiedziała, Eileen Rich zaskoczyła go kolejną odpowiedzią. Kiedy zapytał:

— Czy nic wie pani o kimś. kto miałby do niej osobistą urazę?

— Och, nic — odpowiedziała szybko. — Nikt nie mógł mieć. Myślę, że to była jej tragedia. Że była osobą, której nie można było zniechęcić.

— Co pani przez to rozumie, panno Rich?

— Chcę powiedzieć, że nie była osobą, którą ktokolwiek chciałby zniszczyć. Wszystko, co robiła i czym była, znajdowało się na powierzchni. Irytowała ludzi. Często padały pod jej adresem ostre słowa, ale to było bez znaczenia. Nic istotnego. Jestem pewna, że nie została zabita z powodu siebie, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

— Nie jestem tego pewien.

— Chcę powiedzieć, że gdyby zdarzył się napad na bank, ona mogłaby łatwo być zastrzeloną kasjerką, ale zostałaby zabita jako kasjerka, a nie jako Grace Springer. Nikt nie kochał jej ani nienawidził wystarczająco, by zapragnąć ją usunąć. Sądzę, że wyczuwała to nieświadomie i dlatego była taka natrętna. To znaczy, usiłowała szukać winnych, zmuszać ludzi do przestrzegania zasad, dowiadywać się, co robią zakazanego i udowadniać im to.

— Śledzenie bliźnich?

— Nie. nic o to chodzi — zastanowiła się Eileen Rich. — Nie skradała się w tenisówkach ani nic w tym rodzaju. Ale jeśli stwierdziła, że dzieje się coś, czego nie pojmuje, była zdecydowana dotrzeć do sedna. I osiągała to.

— Rozumiem — milczał chwilę. — Pani sama nie lubiła jej zbyt?

— Chyba nigdy nic myślałam o niej. Była tylko nauczycielką gimnastyki. Och! To okropne, powiedzieć tak o kimkolwiek! Tylko to, tylko tamto! Ale tak właśnie podchodziła do swojej pracy. Było to zajęcie i miała ambicję wykonywać je dobrze. Nie cieszyło jej. Nic

czuła entuzjazmu znalazłszy dziewczynkę, która zapowiadała się dobrze w tenisie lub w innej dziedzinie sportu. Nic radowała się ani nie triumfowała.

Kelsey popatrzył na nią z zaciekawieniem. Pomyślał, że to dziwna młoda osoba.

— Ma pani własne poglądy na większość spraw.

— Tak, chyba tak.

— Jak długo pracuje pani w Meadowbank?

— Już ponad półtora roku.

— Do tej pory nie było tu kłopotów?

— W Meadowbank? — w jej głosie zabrzmiało zdziwienie.

— Tak.

— Ależ nie. Aż do obecnego trymestru wszystko szło gładko.

Kelsey rzucił się na zdobyecz.

— A co się stało niedobrego w obecnym okresie? Nie ma pani na myśli morderstwa, prawda? Chodzi pani o coś jeszcze...

— Ja nie... — przerwała. — Tak, być może... To wszystko jest takie niejasne.

— Proszę dalej.

— Ostatnio panna Bulstrode nie była w dobrym nastroju — powiedziała wolno Eileen. — To jedna sprawa. Nie sądzę, że ktoś to zauważył. Ale ja zauważyłam. I to nie tylko ona ma zły humor. Nie o to jednak zapewne panu chodzi? To są ludzkie odczucia. Coś, co się czuje, kiedy ludzie są stłoczeni razem i myślą za dużo o jakiejś sprawie. Pan ma na myśli, czy było coś w tym trymestrze, co odbiegało od normy, prawda?

— Tak — odparł Kelsey, przyglądając się jej ciekawie. — O to mi chodzi.

— Wydaje mi się, że jest tu coś złego — rzekła Eileen z namysłem. — Tak, jakby między nami był ktoś, kto do nas nie należy. — Spojrzała na niego, uśmiechnęła się, prawie roześmiała i powiedziała. — Kot wśród gołębi, to właśnie takie wrażenie. My wszystkie jesteśmy gołębiami, a między nami jest kot. My jednak nie potrafimy go dostrzec.

— Bardzo to niejasne, proszę pani.

— Prawda? Brzmi całkiem idiotycznie. Sama to czuję. Wydaje mi się, że jest coś, jakiś drobiazg, który zauważyłam, ale nie zdaję sobie sprawy, co to jest.

— To dotyczy kogoś konkretnego?

— Właśnie panu tłumaczę. Nic wiem, o kogo chodzi. Jedyne co potrafię powiedzieć, to że chodzi o kogoś stąd. Jest tu jakaś osoba, nie wiem kto, która wzbudza mój niepokój. Nie wtedy, gdy na nią patrzę, lecz kiedy ona patrzy na mnie, kimkolwiek jest. Och, jestem jeszcze bardziej chaotyczna niż zwykle. W każdym razie to tylko wrażenie. Nie tego panu trzeba. To nie jest dowód.

— Nie. To nie jest dowód. Jeszcze nie. Ale to interesujące i jeśli pani odczucie stanie się bardziej określone, rad będę usłyszeć o tym.

Skinęła głową. — Tak, ponieważ chodzi o poważną sprawę, prawda? Ktoś został zabity, a nie wiemy dlaczego. Zabójca może być daleko stąd, a z drugiej strony, może być w szkole. A jeżeli tak, to pistolet czy rewolwer znajduje się tutaj nadal. To nic jest przyjemna myśl.

Skinęła lekko głową i wyszła. Sierżant Bond powiedział:

— Ma fioła. A może pan jest innego zdania?

— Nic sądzę, że to wariatka — rzekł Kelsey. — Myślę, że ona jest nadwrażliwa. Wiesz, są ludzie, którzy wiedzą, że w pokoju jest kot, znacznie wcześniej, nim go zobaczą. Gdyby urodziła się w afrykańskiej wiosce, mogłaby zostać znachorką.

— Oni chodzą i węszą zło? — zapytał sierżant.

— Właśnie, Percy. Dokładnie to samo. co ja próbuję robić. Nikt nic przynosi konkretnych faktów, wobec tego muszę węszyć. Weźmiemy teraz tę Francuzkę.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### DZIWNA HISTORIA

Panna Blanche miała na oko trzydzieści pięć lat. Była bez makijażu, ciemnobrązowe włosy uczesane miała porządnie, lecz nietwarzowo. Nosila solidny kostium.

Wyjaśniła, że to jej pierwszy trymestr w Mcadowbank. Nie jest pewna, czy będzie chciała zostać dłużej.

— Nie jest miło pracować w szkole, w której zdarzają się morderstwa — powiedziała z dezaprobatą.

A przy tym, nie widziała nigdzie w budynku instalacji alarmowej, to bardzo niebezpieczne.

— Tu nie ma nic cennego, co przyciągnęłoby włamywacza.

*Mademoiselle* Blanche wzruszyła ramionami.

— Skąd można wiedzieć? Niektóre z dziewcząt mają bogatych ojców. Mogą mieć przy sobie coś bardzo cennego. Włamywacz wie o tym i przychodzi tu, ponieważ myśli, że stąd łatwiej coś ukraść.

— Gdyby dziewczyna miała przy sobie coś wartościowego, nie trzymałaby tego w sali gimnastycznej.

— Skąd pan wie? — spytała nauczycielka. — Przecież mają tam szafki...

— Do przechowywania przyborów sportowych i podobnych rzeczy.

— A tak, tak się uważa. Ale dziewczyna może schować coś w czubku sportowego pantofla, zawinąć w stary sweter albo w szalik.

— Jaką rzecz mianowicie?

*Mademoiselle* Blanche nie miała pojęcia.

— Nawet najbardziej pobłażliwi ojcowie nie dają córkom brylantowych naszyjników do szkoły — zauważył inspektor.

Francuzka znowu wzruszyła ramionami.

— To może być coś wartościowego z innych względów. Powiedzmy, skarabeusz, albo coś, za co kolekcjoner zapłaciłby masę pieniędzy. Ojciec jednej z dziewcząt jest archeologiem.

Kelsey uśmiechnął się. — Nie wydaje mi się to prawdopodobne.

*Mademoiselle* ponownie wzruszyła ramionami. — Cóż, to tylko taka sugestia.

— Uczyla pani także w innych angielskich szkołach?

— Jakiś czas temu, na północy Anglii. Przeważnie pracowałam w Szwajcarii i Francji. W Niemczech również. Postanowiłam przyjechać do Anglii, żeby doskonalić język. Mam tu przyjaciółkę. Zachorowała i zaproponowała mi, abym wzięła jej posadę, a panna Bulstrode będzie rada, znajdując kogoś tak szybko. Więc przyjechałam. Jednak nie bardzo mi się tu podoba. Jak mówiłam, wątpię, czy tu zostanie.

— Dlaczego? — dążył uparcie Kelsey.

— Nie przepadam za miejscami, gdzie odbywają się strzelaniny — odparła *mademoiselle* Blanche. — A dzieci też nie są posłuszne.

— One nie są już dziećmi, prawda?

— Niektóre zachowują się jak dzieciaki, inne mogłyby mieć dwadzieścia pięć lat. Są tu różne rodzaje dziewczyn. Mają za dużo swobody. Wolę zakłady prowadzone bardziej formalistycznie.

— Znała pani dobrze pannę Springer?

— Praktycznie nie znałam jej wcale. Miała fatalne maniery i starałam się rozmawiać z nią jak najmniej.

Była koścista, piegowata i miała paskudny, krzykliwy głos. Wyglądała jak karykatura Angielki. Często była dla mnie niegrzeczna i to mi się nie podobało.



— Z jakiego powodu była niegrzeczna?

— Nie lubiła, jak przychodziłam do jej pawilonu sportowego. Wygląda na to, że uważała ten pawilon za swoją własność! Poszłam tam któregoś dnia, ponieważ byłam ciekawa. To nowy budynek i nigdy nie byłam w środku. Wydaje się ładnie zaprojektowany i urządzony, i właśnie oglądałam go, kiedy przyszła panna Springer i powiedziała: „Czego pani tu szuka? Nic ma pani tu nic do roboty”. Tak odezwać się do mnie, do mnie, która jestem nauczycielką w tej szkole! Za kogo mnie wzięła, za uczennicę?

— Tak, rzeczywiście to bardzo irytujące — rzekł Kelsey łagodząco.

— Zwyczajna świnia, oto czym była. A potem krzyknęła: „Proszę nie zabierać klucza”. Zdenerwowała mnie. Kiedy otwierałam drzwi, klucz wypadł i podniosłam go. Zapomniałam włożyć go do zamka, ponieważ obraziła mnie. I wtedy zaczęła na mnie krzyczeć, jakbym zamierzała ukraść klucz. Zapewne był to jej klucz, tak samo jak jej pawilon sportowy.

— Trochę to dziwne, że odnosiła się tak do sali gimnastycznej, nieprawdaż? — spytał inspektor. — Zupełnie jakby to była jej prywatna własność, jakby obawiała się, że ludzie znajdą coś, co tam ukryła — rzucił tę uwagę na próbę, ale Angèle Blanche tylko się roześmiała.

— Ukryć coś w pawilonie! Co można schować w takim miejscu? Myśli pan, że przechowywała tam miłosne listy? Jestem pewna, że nigdy nie dostała takiego listu! Inne nauczycielki są przynajmniej grzeczne. Panna Chadwick jest staroświecka i robi zamieszanie. Panna Vansittart jest bardzo miła, grandę damę, sympatyczna. Panna Rich może troszkę zwariowana, ale przyjazna. A młodsze nauczycielki są zupełnie przyjemne.

Po jeszcze kilku mało ważnych pytaniach, Angèle Blanche została odprawiona.

— Przewrażliwiona — powiedział Bond. — Wszyscy Francuzi są drażliwi.

— A jednak to interesujące — rzekł Kelsey. — Panna Springer nie lubiła ludzi płaczących się po jej sali gimnastycznej czy sportowym pawilonie, nie wiem, jak to nazywać. Dlaczego?

— Może uważała, że Francuzka ją szpieguje?

— No dobrze, ale czemu tak myślała? Mam na myśli, że nic powinno to jej obchodzić, chyba że obawiała się panny Blanche? Kto nam pozostał? — dodał.

— Dwie młode nauczycielki: panna Blake i panna Rowan oraz sekretarka panny Bulstrode.

Panna Blake, młoda i poważna, miała okrągłą, dobroduszną twarz. Uczyła botaniki i fizyki. Nie miała do powiedzenia nic istotnego. Widywała pannę Springer bardzo niewiele i nie miała pojęcia, co mogło doprowadzić do jej śmierci.

Panna Rowan, jak przystało na osobę mającą doktorat z psychologii, chętnie wyrażała swoje poglądy. Było wysoce prawdopodobne, oświadczyła, że panna Springer popełniła samobójstwo.

Inspektor Kelsey podniósł brwi.

— Ale dlaczego miałyby to zrobić? Była nieszczęśliwa?

— Była agresywna — rzekła panna Rowan, pochylając się do przodu i patrząc poważnie spoza grubych szkielek. — Bardzo agresywna. Uważam to za znamienne. Jest to mechanizm obronny, pokrywający kompleks niższości.

— Wszystko, co do tej pory słyszałem, wskazuje, że była osobą bardzo pewną siebie.

— Zbyt pewną siebie — oświadczyła panna Rowan tajemniczo. — A kilka rzeczy, które powiedziała, potwierdza moje przypuszczenia.

— Na przykład?

— Robiła aluzje, że ludzie bywają „inni, niż na to wyglądają”. Wspomniała, że w szkole, gdzie ostatnio pracowała, „zdemaskowała” kogoś. Jednak dyrektorka, nastawiona nieprzychylnie, odmówiła słuchania o odkryciu. Również kilka innych nauczycielek było, jak to określiła, „przeciwko niej”. Wie pan, co to oznacza, inspektorze? — panna Rowan omal

nie spadła z krzesła, pochylając się w podnieceniu do przodu. Pasma prostych, ciemnych włosów opadły jej na twarz. — Początek manii prześladowczej.

Inspektor Kesey stwierdził grzecznie, że panna Rowan ma zapewne rację, ale on nie może zaakceptować teorii samobójstwa, chyba, że wyjaśni mu ona, jak pannie Springer udało się strzelić do siebie z odległości co najmniej czterech stóp i spowodować zniknięcie pistoletu.

Panna Rowan odparowała kwaśno, że policja jest znana ze swoich uprzedzeń do psychologii.

Potem ustąpiła miejsca Ann Shapland.

— No, panno Shapland — powiedział inspektor Kelsey, patrząc z sympatią na jej ujmującą i poważną postać. — Jakie światło potrafi pani rzucić na tę sprawę?

— Obawiam się, że żadne. Mam własny gabinet i nie widuję nauczycielek często. Cała historia wydaje się nie do wiary.

— W jakim sensie nie do wiary?

— Po pierwsze, że panna Springer została w ogóle zastrzelona. Powiedzmy, że ktoś włamał się do sali gimnastycznej, a ona poszła zobaczyć, kto to jest. W porządku, ale kto miałby ochotę włamywać się do sali gimnastycznej?

— Może paru miejscowych chłopców chciało wziąć sobie jakiś sprzęt sportowy, albo ktoś, kto zrobił to dla kawału?

— Jeśli tak, to nie mogę się oprzeć uczuciu, że panna Springer powinna była powiedzieć: — A cóż wy tutaj robicie? Już was nie ma! A oni poszliby sobie.

— Czy zauważyła pani kiedykolwiek, że panna Springer ma szczególny stosunek do pawilonu sportowego?

— Szczególny stosunek?

— Chodzi mi o to, czy traktowała go jako swój własny teren i nie lubiła, jak inni ludzie tam chodzili?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego miałyby to robić? To jest po prostu część szkolnych budynków.

— Sama pani niczego nie zauważyła? Nie stwierdziła pani, że obecność pani w pawilonie gniewa ją, nic w tym rodzaju?

Ann Shapland potrząsnęła głową. — Byłam tam zaledwie parę razy. Nic mam na to czasu. Poszłam tam raz czy dwa z poleceniem panny Bulstrode dla jednej z dziewcząt. To wszystko.

— Nie wiedziała pani, że panna Springer nie życzyła sobie obecności panny Blanche w pawilonie?

— Nie, nie słyszałam o tym. Zaraz, chyba jednak tak. *Mademoiselle* Blanche pewnego dnia była rozgniewana z jakiegoś powodu, ale ona jest trochę nadwrażliwa. Słyszałam coś o scysji z nauczycielką rysunków, która zrobiła jej uwagę na temat przeszkadzania w lekcji. Oczywiście, panna Blanche nie ma wiele pracy. Uczy tylko jednego przedmiotu, francuskiego, więc ma dużo wolnego czasu. Wydaje mi się — zawahała się — wydaje mi się, że jest trochę wścibska.

— Uważa pani za możliwe, że poszła do pawilonu sportowego i myszkowała w szafkach?

— W szafkach uczennic? No, nie wykluczyłabym tego. Mogłaby się bawić w ten sposób.

— Panna Springer miała tam również szafkę?

— Naturalnie.

— A gdyby *mademoiselle* Blanche została przyłapana na szperaniu w rzeczach swojej koleżanki, ta rozgniewałaby się na nią?

— No pewnie!

— Czy wiadomo pani coś o prywatnym życiu panny Springer?

— Chyba nikt nic nie wie — odparła Ann. — Ciekawe, czy w ogóle miała prywatne życie?

— Może jest jeszcze coś, coś związanego z pawilonem sportowym, czego mi pani nie powiedziała?

— Cóż... — Ann zawahała się.

— Śmiało, panno Shapland.

— To właściwie nic takiego — powiedziała wolno Ann. — Chodzi o jednego z ogrodników — nie o Briggsa, o tego młodego. Pewnego dnia widziałam, jak wychodził z pawilonu, a nie miał żadnego powodu, żeby tam pójść. Oczywiście, to pewnie ciekawość z jego strony, a może wymówka, żeby trochę migać się od pracy: przybijał właśnie siatkę dookoła kortu tenisowego. Przypuszczam, że nic w tym nic ma.

— A jednak wspomniała pani o tym — zauważył inspektor. — Dlaczego?

— Myślę... — zmarszczyła brwi. — Chyba dlatego, że zachowywał się nieco dziwnie. Był wyzywający. I zadrwił na temat wielkich pieniędzy wydanych dla dziewcząt.

— A, postawa tego rodzaju... Rozumiem.

— Nie sądzę, żeby miało to jakieś znaczenie.

— Prawdopodobnie nie, ale jednak zanotuję to sobie.

— No i dookoła Wojtek — powiedział Bond, kiedy Ann wyszła. — Wątkuje się wciąż te same rzeczy! Na miłość boską, miejmy nadzieję, że wydostaniemy coś ze służby.

Ale od służby uzyskali niewiele.

— Nie ma mnie po co pytać, młody człowieku — oświadczyła pani Gibbons, kucharka. — Po pierwsze nie słyszę, co mówisz, a po drugie nic nie wiem. Poszłam spać wieczorem i spałam bardzo mocno. W ogóle nie słyszałam całego zamieszania. Nikt nie obudził mnie, żeby mi powiedzieć. — Wydawała się obrażona. — Dowiedziałam się dopiero dziś rano.

Kelsey rzucił kilka pytań i uzyskał odpowiedzi, które nic nie wniosły.

Panna Springer była nowa i nie była tak lubiana, jak jej poprzedniczka, panna Jones. Panna Shapland jest też nowa, ale to bardzo miła młoda pani. *Mademoiselle* Blanche przypomina inne Francuzki, wyobraża sobie, że pozostałe nauczycielki są przeciwko niej, i pozwala, żeby młode panienki traktowały ją na lekcjach lekceważąco. — Nie należy do tych krzykliwych — przyznała pani Gibbons. — Pracowałam w takich szkołach, gdzie Francuzki miały zwyczaj okropnie wrzeszczeć!

Większość służby przychodziła wyłącznie na dzień. Tylko jedna służąca sypiała w budynku i okazała się równie mało przydatna, choć zdolna usłyszeć, co do niej mówiono. Była pewna, że nie wie nic. Panna Springer była troszkę szorstka. Ona sama nie wie nic o pawilonie sportowym, ani co w nim się trzyma. Nigdy nie widziała nic podobnego do pistoletu.

Potok negatywnych informacji został przerwany przez pannę Bulstrode. — Jedna z dziewcząt chciałaby porozmawiać z panem, inspektorze.

Kelsey spojrział na nią bystro. — Naprawdę? Wie o czymś?

— Jeśli idzie o to, raczej wątpię, ale lepiej niech pan pomówi z nią sam. To jedna z naszych cudzoziemskich uczennic. Księżniczka Shaista, siostrzenica emira Ibrahima. Ma skłonność do uważania siebie za ważną osobistość. Rozumie pan?

Kelsey przytaknął. Następnie panna Bulstrode wyszła, a zamiast niej pojawiła się szczupła, ciemnowłosa dziewczyna, średniego wzrostu.

Popatrzyła na nich migdałowymi oczami i zawahała się.

— Jesteście policją?

— Tak — uśmiechnął się Kelsey. — Jesteśmy policją. Zechce pani usiąść i powiedzieć mi, co wiadomo pani o panie Springer?

— Tak. Opowiem.

Usiadła, pochyliła się naprzód i dramatycznie ściszyła głos.

— Są ludzie, którzy obserwują szkołę. Nie pokazują się, ale są tutaj.

Kiwnęła głową znacząco.

Inspektor Kelsey pomyślał, że pojmuje, co panna Bulstrode miała na myśli. Ta dziewczyna dramatyzowała siebie i bawiła się tym.

— A po co szkoła miałaby być obserwowana?

— Z mojego powodu! Chcą mnie porwać. Kelsey spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego.

Jego brwi uniosły się.

— Dlaczego mieliby panią porwać?

— Żeby dostać okup. rzecz jasna. Zmusiliby moich krewnych, żeby zapłacili bardzo dużo pieniędzy.

— Ee... no... być może — rzekł inspektor z powątpiewaniem. — Ale... ee... jeśli nawet tak, co to ma wspólnego ze śmiercią panny Springer?

— Musiała coś wykryć — powiedziała Shaista. — Może zawiadomiła ich o tym. Może zaczęła im grozić. A oni obiecali jej pieniądze, jeżeli nic nie powie i ona im uwierzyła. Poszła do pawilonu, gdzie mieli jej dać pieniądze i tam ją zastrzelili.

— Ale panna Springer z pewnością nie przyjęłaby pieniędzy za szantaż?

— Pan wyobraża sobie, że to takie zabawne być nauczycielką, nauczycielką gimnastyki? — spytała Shaista z pogardą. — Nie sądzi pan, że byłoby przyjemniej mieć pieniądze, podróżować, robić co się chce? Zwłaszcza takiemu komuś jak panna Springer, która nie była piękna i na którą mężczyźni nie chcieli nawet popatrzeć? Nie sądzi pan, że pieniądze pociągały ją bardziej niż innych ludzi?

— No... ee... — zaczął Kelsey. — Nie wiem właściwie, co powiedzieć. — Tego punktu widzenia mu nie przedstawiano.

— Czy to pani własny pomysł? — spytał. — Panna Springer nic mówiła pani niczego?

— Panna Springer nie mówiła nigdy niczego, oprócz „skłon i wyprost” i „szybciej”, i „nie zwalnij” — odparta Shaista z urazą.

— Tak, rozumiem. Jest pani pewna, że nie wymyśliła sobie tego wszystkiego o uprowadzeniu?

Shaisla natychmiast zdenerwowała się:

— Niczego pan nie rozumie! Książę Ali Yusuf z Ramatu był moim kuzynem. Został zabity w czasie rewolucji, a przynajmniej podczas ucieczki przed rewolucją. Wiadomo było, że jak dorosnę, wyjdę za niego. Widzi pan więc, że jestem ważną osobą. To mogą być komuniści. Może nic chodzi im o porwanie. Może zamierzają mnie zamordować.

Inspektor patrzył z coraz większym niedowierzaniem.

— To chyba przesada?

— Myśli pan, że takie rzeczy nie zdarzają się? Ja twierdzę, że tak. Komuniści są bardzo, bardzo źli! Wszyscy o tym wiedzą.

Ponieważ Kelsey w dalszym ciągu patrzył niepewnie, ciągnęła.

— A może oni uważają, że ja wiem, gdzie są kamienie!

— Jakie kamienie?

— Mój kuzyn miał klejnoty. Tak samo jak jego ojciec. Moja rodzina zawsze miała zapas klejnotów. Na wszelki wypadek, rozumie pan — mówiła to bardzo rzeczowo.

Kelsey gapił się na dziewczynę.

— Ale co to ma wspólnego z panią albo z panną Springer?

— Przecież już panu mówiłam! Może wydaje im się, że wiem, gdzie są te kamienie. Więc chcą mnie uwięzić i zmusić do mówienia.

— A wie pani, gdzie są?

— Nie, jasne, że nie wiem. Zniknęły podczas rewolucji. Może komuniści zabrali je. A może nie.

— Do kogo one należą?

— Teraz, kiedy mój kuzyn nie żyje, do mnie. W tej rodzinie nie ma więcej mężczyzn. Jego ciotka, moja matka, nie żyje. On życzyłby sobie, żeby należały do mnie. Gdyby nie umarł, ożeniłby się ze mną.

— Była taka umowa?

— Miałam go poślubić. Rozumie pan, był moim kuzynem.

— I dostałaby pani te kamienie po ślubie?

— Nie, dostałabym nowe. Od Cartiera z Paryża. Tamte zostałyby zachowane na jakiś nagły przypadek.

Inspektor Kelsey przymrużył oczy, pozwalając, by ten orientalny sposób ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków dotarł do jego świadomości.

Shaista mówiła z coraz większym ożywieniem:

— Myślę, że właśnie tak się to stało. Ktoś wywiózł klejnoty z Ramatu. Może ktoś dobry, może zły. Dobra osoba przyniosłaby je do mnie i powiedziała: „Są twoje”, a ja wynagrodziłabym ją — skinęła głową po królewsku, grając swoją rolę.

„Mała aktorka”, pomyślał inspektor.

— Ale zła osoba zatrzymałaby klejnoty sobie, albo przysłaby mówiąc: „Co mi dasz, jeśli ci je oddam?” I jeśli opłaciłoby jej się, przyniosłaby je, ale jeżeli nie, nie oddałaby ich!

— Ale w rzeczywistości nikt pani nic nie powiedział?

— Nie — przyznała Shaista. Inspektor pogodził się z tym.

— Myślę, wie pani — powiedział uprzejmie — że nagadała pani furę nonsensów.

Shaista rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

— Mówię to, co wiem i to wszystko — odparła nachmurzona.

— Tak, to bardzo miło z pani strony, zachowam to w pamięci.

Podniósł się i otworzył drzwi, kiedy wychodziła.

— Baśnie z tysiąca i jednej nocy — rzekł wracając do siołu. — Porwanie i legendarne klejnoty! Co jeszcze?

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### KONFERENCJA

Kiedy inspektor Kelsey wrócił do komisariatu, sierżant pełniący służbę powiedział:

— Czeka tu na pana Adam Goodman, sir.

— Adam Goodman? Ach tak, ten ogrodnik. Młody człowiek wstał z szacunkiem. Był wysoki, ciemnowłosy, przystojny. Nosił poplamione sztruksowe spodnie ściągnięte starym paskiem i jaskrawo niebieską koszulę, rozpiętą pod szyją.

— Słyszałem, że życzy pan sobie mnie widzieć. Głos miał prostacki i jak u wielu młodych ludzi w dzisiejszych czasach, trochę zaczepny. Kelsey powiedział tylko:

— Tak, chodźmy do mojego pokoju.

— Nie wiem nic o morderstwie — oświadczył Goodman chmurnie. — Nic mam z tym nic wspólnego. Ostatniej nocy byłem w domu i leżałem w łóżku.

Kelsey skinął dyplomatycznie głową.

Usiadł przy biurku i wskazał młodemu człowiekowi stojące naprzeciw krzesło. Miody policjant w cywilnym ubraniu wszedł dyskretnie i usiadł trochę dalej.

— A teraz — rzekł Kelsey. — Jesteście Goodman... — zajrzał do notatki na biurku — Adam Goodman.

— Tak jest, sir. Ale najpierw chciałbym pokazać panu to.

Sposób bycia Adama zmienił się. Nie było w nim zaczepności ani nadąsania. Stał się spokojny i pełen szacunku. Wyjął coś z kieszeni i podał inspektorowi przez biurko. Kiedy ten studiował dokument, jego brwi uniosły się lekko. Potem podniósł głowę.

— Nie będę cię potrzebował, Barber — powiedział. Dyskretny młody policjant wyszedł. Starał się nie wyglądać na zdziwionego, ale jednak był.

Kelsey popatrzył na Adama z widocznym zainteresowaniem. — A więc jest pan... Ale chciałbym wiedzieć, co u diabła, robi pan...

— ...w żeńskiej szkole? — skończył za niego młody człowiek. Jego głos był jeszcze pełen szacunku, ale mimowolnie wyszczerzył zęby. — Na pewno pierwszy raz dostałem takie zadanie. Nie wyglądam na ogrodnika?

— W tej okolicy nie bardzo. Ogrodnicy są zwykle wiekowi. Wie pan cokolwiek na temat ogrodnictwa?

— Nawet sporo. Mam matkę, która należy do zapalonych ogrodniczek. Angielska specjalność. Dzięki niej stałem się dobrym pomocnikiem.

— A co właściwie dzieje się w Meadowbank — co pana tam sprowadziło?

— W tej chwili nie wiemy. Moje zadanie polegało na obserwacji. A raczej tak było do ostatniej nocy. Morderstwo nauczycielki gimnastyki. Trochę to odbiega od programu szkolnego.

— Mogło się zdarzyć — rzekł inspektor. Westchnął. — Wszystko może się zdarzyć. Tego się nauczyłem. Muszę jednak przyznać, że ta sprawa nie mieści się w schematach. Co się za tym kryje?

Adam opowiedział. Kelsey słuchał z zainteresowaniem.

— Byłem niesprawiedliwy dla tej dziewczyny — zauważył. — Przyzna pan jednak, że brzmiało to zbyt fantastycznie. Kosztowności warte ponad pół miliona funtów? I, jak pan powiada, do kogo należą?

— To jest niezłe pytanie. Odpowiedź, nawet jeśli zapędzi pan do roboty stado międzynarodowych prawników, będzie trudna, gdyż niełatwo będzie się im pogodzić. Można argumentować na wiele sposobów. Przed trzema miesiącami kamienie należały do jego wysokości, księcia Alego Yusufa z Ramatu. Ale teraz? Gdyby zostały odkryte w Ramacie,

zostałyby uznane za własność obecnego rządu. Ali Yusuf chciał je, być może, komuś podarować. Wiele zależy od tego, jak ta wola została wyrażona i czy można to udowodnić. Mogą należeć do jego rodziny. Istota rzeczy polega jednak na tym, że jeśli pan lub ja znajdziemy je na ulicy i włożymy do kieszeni, praktycznie będą należały do nas. Rodzina mogłaby oczywiście próbować odzyskać skarb, ale zawiłości prawa międzynarodowego są zupełnie niewiarygodne...

— Praktycznie znalazca może je sobie przywłaszczyć? — zapytał inspektor. Potrząsnął głową z dezaprobatą. — To niezbyt przyjemne.

— Tak — powiedział Adam stanowczo. — Nieprzyjemne. Toteż szuka ich niejedna banda. Wszystkie pozbawione skrupułów. Wiadomości krążą. Może to prawda, a może plotka, że zostały wywiezione z Ramatu przed wybuchem rewolucji. Na temat tego jak, opowiada się tuzin historyjek.

— Dlaczego jednak Meadowbank? Z powodu tej mizdrzącej się małej księżniczki?

— Księżniczka Shaista, kuzynka Alego Yusufa. To prawda. Ktoś może próbować dostarczyć jej majątek lub skontaktować się z nią. W okolicy płaczą się osoby wątpliwe z naszego punktu widzenia. Na przykład pani Kolinsky, mieszkająca w Grand Hotelu. Jest wybitnym członkiem „międzynarodowego stowarzyszenia ludzi znikąd”, jak nazywamy tę salonową hołotę. Nie zahacza o zakres pańskich zainteresowań, pozostaje zawsze w zgodzie z prawem, obraca się w bardzo szacownych sferach, ale jest osobą gromadzącą użyteczne informacje. Jest jeszcze kobieta, która tańczyła w Ramacie, w nocnym lokalu. Donoszono, że pracowała dla pewnego obcego rządu. Nie wiadomo, gdzie znajduje się teraz, nie wiadomo nawet, jak wygląda, ale były pogłoski, że może przebywać w tych stronach. Czy nie wygląda to, jakby wszystko koncentrowało się wokół Meadowbank? A ostatniej nocy panna Springer dała się zabić. Kelsey skinął głową z namysłem.

— Prawdziwa gmatwanina — zauważył. Walczył z emocjami. — Widzi się takie rzeczy w telewizji... zawsze uważa się je za naciągane... Nie mogą się przecież zdarzyć. I nie zdarzają się normalnie.

— Tajni agenci, rabunek, przemoc, morderstwo, oszustwo — zgodził się Adam. — Wszystko to bzdury, a jednak ta strona życia istnieje.

— Ale nie w Meadowbank!

Te słowa inspektor wypowiedział z naciskiem.

— Rozumiem pana — rzekł Adam. — Obraza majestatu.

Zapadło milczenie i wreszcie Kelsey zapytał:

— Jak pan myśli, co się zdarzyło ostatniej nocy? Adam zastanawiał się chwilę, po czym powiedział wolno:

— Ta Springer była w pawilonie sportowym w środku nocy. Dlaczego? Musimy zacząć od tego. Nie ma sensu zadawać sobie pytania, kto ją zabił, dopóki nie zdecydujemy, co robiła w pawilonie o takiej porze. Przypuśćmy, że wbrew swemu niewinnemu i sportowemu trybowi życia nie sypiała dobrze i wyjrzawszy przez okno zobaczyła tam światło — okna jej pokoju wychodzą na tę stronę?

Kelsey przytaknął.

— Jako silna i odważna młoda kobieta wybrała się sprawdzić, co się dzieje. Przeszkodziła komuś — w czym? Nie wiemy. Był to jednak ktoś wystarczająco zdeterminowany, by ją zastrzelić.

Kelsey znowu skinął głową.

— Właśnie tak to widzieliśmy. Jednak ostatnie pańskie słowa zaniepokoiły mnie. Nie strzela się, aby zabić, nie przychodzi się gotowym na to, chyba że...

— Chyba, że kryje się za tym coś grubszego? Zgoda! Te sprawę można streścić: niewinna panna Springer zastrzelona podczas pełnienia obowiązków. Jest też inna możliwość. Panna Springer po otrzymaniu prywatnej informacji podejmuje pracę w Meadowbank albo zostaje

wysłana tu przez kogoś ze względu na swoje kwalifikacje. Czekają, aż nastanie odpowiednia noc, wślizguje się do pawilonu sportowego i tu znowu pojawia się nasze kłopotliwe pytanie — po co? Ktoś idzie za nią, a może już tam jest zaczajony z pistoletem, gotów do użycia go... Ale znowu — dlaczego? Po co? Szczerze mówiąc, co za czort kryje się w tym pawilonie sportowym? Trudno sobie wyobrazić, że w takim miejscu można coś schować.

— Mogę panu powiedzieć, że niczego tam nie schowano. Przeczesałobyśmy wszystko: szafki dziewcząt i panny Springer. Różne sportowe przyrządy, zupełnie normalne i sprawdzone. A budynek jest nowiutki! Nic było tam żadnej biżuterii.

— Cokolwiek to jest, mogło zostać zabrane przez mordercę — rzekł Adam. — Pawilon mógł też zostać wybrany na miejsce schadzki przez pannę Springer lub kogoś innego. Świetnie się do tego nadaje. Jest odpowiednio oddalony od domu. A każda osoba idąca tam w nocy ma prostą odpowiedź, że zauważyła światło itd., itd. Powiedzmy, że panna Springer wyszła, aby spotkać się z kimś, doszło do sprzeczki i została zabita. Albo, dla odmiany, zauważyła kogoś opuszczającego dom, poszła za nim i wtrąciła się w coś, czego nie powinna widzieć i słyszeć.

— Nigdy nie widziałem jej żywej — powiedział Kelsey — ale ze sposobu, w jaki o niej mówiono, odniosłem wrażenie, że była wścibska.

— Wydaje mi się, że to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie — zgodził się Adam. — Ciekawość zabiła kota. Tak, przypuszczam że to właśnie łączy pawilon sportowy ze sprawą.

— Jeśli jednak odbyło się tam jakieś spotkanie, to... — Kelsey przerwał.

Adam potwierdził żywo.

— Tak. Wygląda na to, że w szkole jest ktoś zasługujący na naszą uwagę. Kot wśród gołębi.

— Kot wśród gołębi — powtórzył Kelsey, uderzony tym sformułowaniem. — Jedną z nauczycielek, panna Rich, powiedziała dzisiaj coś podobnego.

Zastanawiał się przez chwilę.

— Wśród personelu są trzy nowe osoby. Sekretarka Shapland, nauczycielka francuskiego Blanche i sama panna Springer. Ona nie żyje i jest tym samym wykluczona. Jeśli wśród gołębi jest kot, tamie dwie są najbardziej obiecujące. — Spojrzał na Adama. — Nie przychodzi panu do głowy, która to z nich?

Adam zastanowił się.

— Przyłapałem kiedyś pannę Blanche wychodzącą z pawilonu. Była zmieszana, jakby robiła coś zakazanego. Mimo wszystko jednak głosowałbym na tę drugą. Na tę Shapland. To opanowana facetka i ma rozum. Na pana miejscu sprawdziłbym starannie jej przeszłość. Z czego, u licha, pan się śmieje?

Kelsey wyszczerzył zęby.

— Ona podejrzewa pana — powiedział. — Zauważyła pana wychodzącego z pawilonu i pomyślała sobie, że dziwnie się pan zachowuje.

— Coś podobnego! — oburzył się Adam — Cóż za bezczelność!

Inspektor Kelsey spoważniał:

— Rzecz w tym, że w tutejszych stronach Meadowbank cieszy się dobrą sławą. To świetna szkoła. Panna Bulstrode jest wybitną indywidualnością. Im wcześniej dotrzemy do sedna, tym lepiej dla wszystkich. Chcemy wyjaśnić sprawę i wydać szkole „świadectwo zdrowia”.

Przerwał patrząc w zamyśleniu na Adama.

— Sądzę, że musimy powiedzieć panie Bulstrode, kim pan jest. Będzie milczała, proszę się nie obawiać.

Adam zastanowił się chwilę. Potem skinął głową.

— Tak — rzekł. — Myślę, że w tych okolicznościach to nieuniknione.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY NOWA LAMPA ZA STARĄ

### I

Panna Bulstrode posiadała pewien dar, który dowodził jej przewagi nad większością kobiet. Umiała słuchać.

Wysłuchiwała w milczeniu inspektora Kelseya i Adama. Nie podniosła nawet brwi. Potem wypowiedziała tylko jedno słowo.

— Nadzwyczajne.

„To ty jesteś nadzwyczajna”, pomyślał Adam. ale nie powiedział tego głośno.

— A więc — rzekła panna Bulstrode, przechodząc jak zwykle wprost do rzeczy. — Czego panowie oczekują z mojej strony?

Inspektor odchrząknął.

— Doszliśmy do wniosku, że pani powinna być poinformowana o wszystkim, ze względu na szkołę.

Panna Bulstrode przytaknęła.

— Naturalnie, szkoła jest dla mnie najważniejsza. Odpowiadam za bezpieczeństwo moich wychowanek i w mniejszym stopniu, również mojego personelu. Chciałabym też dodać, że im mniejszy będzie rozgłos, związany ze śmiercią panny Springer, tym lepiej dla mnie. To całkowicie egoistyczny punkt widzenia, choć myślę, że szkoła jest ważna sama przez się, nie tylko dla mnie osobiście. Zdaję sobie sprawę, że gdy rozgłos będzie panom niezbędny, wówczas nie będziecie się wahać. A może właśnie już tak jest?

— Nie — odparł Kelsey. — W tym przypadku im mniej szumu, tym lepiej. Rozprawa zostanie odroczone i pozwolimy wszystkim sądzić, że to lokalna sprawa. Młodzi bandyci, czy też młodociani przestępcy, jak się ich dzisiaj nazywa, z bronią, gotowi do strzelaniny. Zwykle mają noże sprężynowe, ale niektórzy posiadają broń palną. Panna Springer zaskoczyła ich. Zastrzelili ją. Tyle chciałbym ujawnić, a potem możemy spokojnie pracować. Więcej nie da się ukryć przed prasą. Oczywiście ta szkoła jest słynna. Morderstwo w Meadowbank będzie szlagierem.

— W tej sprawie mogę pomóc — rzekła panna Bulstrode. — Mam pewne wpływy. — Uśmiechnęła się i wymieniła kilka nazwisk. Byli wśród nich ministrowie spraw wewnętrznych i oświaty, dwóch magnatów prasowych oraz biskup. — Zrobię, co będę mogła. — Spojrzała na Adama. — Pan się zgadza?

— Tak, oczywiście — powiedział prędko. — Lubimy załatwiać sprawy dyskretnie.

— Nadal zostanie pan moim ogrodnikiem?

— Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu. To zajęcie, które pozwala znajdować się dokładnie tam, gdzie chcę być i mogę mieć wszystko na oku.

Tym razem panna Bulstrode uniosła brwi.

— Mam nadzieję, że nie spodziewa się pan następnych morderstw?

— Ależ nie.

— Cieszy mnie to. Wątpię, czy szkoła mogłaby przeżyć dwa morderstwa w ciągu jednego trymestru.

Zwróciła się do Kelseya.

— Czy pańscy ludzie skończyli już z pawilonem? To kłopotliwe dla nas, kiedy nie możemy z niego korzystać.

— Skończyliśmy już. Czysty jak łąka, oczywiście z naszego punktu widzenia. Nie ma tam nic, co pomogłoby nam wyjaśnić przyczynę morderstwa. Jest to po prostu pawilon sportowy z normalnym wyposażeniem.

— W szafkach dziewcząt nie było niczego? Inspektor uśmiechnął się.

— Takie tam... Egzemplarz francuskiej książki... pod tytułem *Candide*... z... ee... ilustracjami. Kosztowna książka.

— Ach — powiedziała panna Bulstrode. — Więc tam ją trzymają. Zapewne szafka Giselle d'Aubray?

Szacunek inspektora dla panny Bulstrode wzrósł.

— Widzę, że niewiele rzeczy uchodzi pani uwagi.

— *Candide* nie przyniesie jej szkody — rzekła panna Bulstrode. — To jest klasyka. Niektóre formy pornografii konfiskuję. Wróćmy teraz do mojego pierwszego pytania. Uspokoił mnie panowie w kwestii rozgłosu wokół szkoły. Czy szkoła może pomóc panom? Czy ja sama mogę coś zrobić?

— W tej chwili chyba nie. Chcę tylko zapytać o jedną rzecz. Czy coś zaniepokoiło panią w tym trymestrze? Jakieś zdarzenie? Albo osoba?

Starsza pani milczała chwilę. Potem powiedziała wolno:

— Dokładna odpowiedź brzmi: nic wiem.

— Ma pani wrażenie, że coś nie jest w porządku? — zapytał szybko Adam.

— Tak, właśnie tak. Nic określonego. Nic potrafię wskazać żadnej osoby ani incydentu... chyba. że...

Przerwała na krótko.

— Czuję... czuję, że wówczas... przeoczyłam coś ważnego. Muszę to wyjaśnić.

Zrelacjonowała krótko wizytę pani Upjohn i nieoczekiwane a kłopotliwe zjawienie się lady Carlton-Sandways.

Adam zainteresował się.

— Proszę wyjaśnić mi to bliżej. Pani Upjohn patrząc przez okno wychodzące na podjazd, rozpoznała kogoś. To nic takiego. Ma pani ponad sto uczennic i bardzo możliwe, że pani Upjohn zobaczyła kogoś z rodziców czy krewnych, kogo znała. Pani jednak jest stanowczo przekonana, że była ona zaskoczona, że to była osoba, której nie spodziewała się ujrzeć w Meadowbank?

— Takie właśnie odniosłam wrażenie.

— I wtedy zobaczyła pani przez okno położone po przeciwnej stronie matkę jednej z wychowanek pijaną i to całkowicie odwróciło pani uwagę od słów pani Upjohn?

Panna Bulstrode przytaknęła.

— A ona mówiła dłuższą chwilę?

— Tak.

— Kiedy zwróciła pani ponownie na nią uwagę, opowiadała właśnie o szpiegostwie i pracy w wywiadzie w czasie wojny, przed zamążpójściem?

— Tak.

— To mogło się łączyć — powiedział Adam w zamyśleniu. — Ktoś, kogo znała w czasie wojny. Ktoś z rodziców lub krewnych jednej z dziewcząt, a może ktoś z pani pracowników.

— Wątpliwe, żeby był to ktoś z personelu — sprzeciwiła się panna Bulstrode.

— Ale to możliwe.

— Skontaktujmy się jak najszybciej z panią Upjohn — rzekł Kelsey. — Ma pani jej adres?

— Oczywiście. Wydaje mi się jednak, że w tej chwili jest za granicą. Proszę poczekać, zaraz się dowiemy.

Nacisnęła dwukrotnie brzęczyk na biurku, potem zniecierpliwiona poszła do drzwi i zatrzymała przechodzącą dziewczynkę.

— Możesz odnaleźć mi Julię Upjohn, Paulo?

— Tak, panno Bulstrode.

— Wyjdę lepiej, zanim dziewczyna przyjdzie — rzekł Adam. — To nie byłoby normalne, gdybym asystował przy śledztwie prowadzonym przez inspektora. Pozornie wezwał mnie tu, żeby dobrać mi się do skóry. Przekonawszy się, że nie może znaleźć nic przeciwko mnie, powiada mi, żebym się wynosił.

— Wynoś się i pamiętaj, że mam cię na oku — warknął Kelsey, uśmiechając się szeroko.

— Przy okazji — powiedział Adam do panny Bulstrode, stojąc już przy drzwiach — czy będzie w porządku, jeśli nadużyję swojej pozycji tutaj? Jeżeli, powiedzmy, zaprzyjaźnię się trochę z niektórymi członkami personelu?

— Z kim takim?

— No, na przykład z *mademoiselle* Blanche.

— Z *mademoiselle* Blanche? Myśli pan, że ona...

— Wydaje mi się, że nudzi się tutaj.

— Ach — Panna Bulstrode wyglądała na ubawioną.

— Może ma pan rację. A z kim jeszcze?

— Spróbuję się dobrze rozejrzeć — rzekł Adam wesoło. — Jeżeli stwierdzi pani, że niektóre z jej dziewcząt są niemądre i wykradają się na spotkania w ogrodzie, proszę uwierzyć, że moje intencje są czysto śledcze, jeśli można wyrazić się w ten sposób.

— Podejrzewa pan, że dziewczęta mogą coś wiedzieć?

— Każdy coś wie, nawet jeśli nie zdaje sobie z tego sprawy.

— Może pan mieć rację.

Rozległo się pukanie do drzwi i panna Bulstrode zawołała — Proszę.

Ukazała się Julia Upjohn, oddychająca ciężko.

— Wejdz, Julio.

— Możecie iść, Goodman — burknął inspektor.

— Wynoście się i bierzcie się do roboty.

— Powiedziałem panu, że nie wiem o niczym — rzekł Adam ponuro. Wyszedł mamrocząc — cholerne gestapo.

— Przepraszam, że jestem taka zdyszana, panno Bulstrode — usprawiedliwiła się Julia. — Biegłam całą drogę z kortu.

— W porządku. Chciałam cię tylko zapytać o adres matki. To znaczy, jak mogłabym się z nią skontaktować.

— Och! Musi pani napisać do cioci Isabel. Mamusia jest za granicą.

— Mam adres twojej ciotki. Muszę jednak skontaktować się z twoją matką osobiście.

— Nie mam pojęcia, jak się to pani uda — powiedziała Julia, marszcząc brwi. — Mamusia pojechała do Anatolii autobusem.

— Autobusem? — spytała panna Bulstrode zaskoczona. Julia przytaknęła energicznie.

— Ona lubi takie podróże — wyjaśniła. — Są bardzo tanie. Troszkę niewygodne, ale mamusi to nic przeszkadza. Wydaje mi się, że dotrze do jeziora Van mniej więcej za trzy tygodnie.

— Rozumiem. Powiedz mi, Julio, czy twoja matka wspomniała kiedykolwiek, że zobaczyła tu kogoś, kogo znała w czasie swojej wojennej służby?

— Nie, panno Bulstrode, nic sędę. Właściwie jestem pewna, że nie.

— Twoja matka pracowała w wywiadzie, prawda?

— O tak. Strasznie się jej to podobało. Mnie wcale nie wydaje się emocjonujące. Nigdy nic wysadzała niczego. Nie została złapana przez gestapo. Nie wrywali jej paznokci ani nic w tym rodzaju. Pracowała w Szwajcarii, jak mi się zdaje; a może to była Portugalia?

Dodała przepraszająco: — Te stare wojenne historie to straszne nudziarstwo; obawiam się, że nie zawsze słuchałam uważnie.

— Cóż, dziękuję Julio. To wszystko.

— Coś podobnego! — powiedziała panna Bulstrode, kiedy Julia odeszła. — Pojechała do Anatolii autobusem! Dziecko mówiło o tym właśnie tak, jakby matka wybrała się autobusem numer 73 do Marshalla i Shelgrove'a.

## II

„Jennifer wracała z kortu dosyć markotna, wymachując rakieta. Ilość złych serwów, które przydarzyły się jej tego ranka, przygnębiła ją. Z drugiej strony niemożliwy jest porządny serwis tą rakieta. Niemniej wydawało się jej, że ostatnio przestała panować nad swoim serwem. Natomiast jej bekhend zdecydowanie się poprawił. Trening panny Springer przydał się. Z wielu względów szkoda, że nie żyje.

Jennifer traktowała tenis bardzo poważnie. Była to jedna z rzeczy, nad którymi się zastanawiała.

— Przepraszam...

Jennifer spojrzała zaskoczona. Na ścieżce, kilka kroków przed nią stała kobieta o złotych włosach, trzymająca płaską paczkę. Jennifer nie rozumiała, dlaczego nie zauważyła jej wcześniej. Nie przyszło jej do głowy, że kobieta mogła ukryć się za drzewem albo w krzakach rododendronów i nagle wyjść na drogę.

Nieznajoma powiedziała z lekkim amerykańskim akcentem: — Nie wiem, czy mogłabyś powiedzieć mi, gdzie mogę znaleźć dziewczynkę nazywającą się — zajrzała do kartki — Jennifer Sutcliffe? Jennifer zdziwiła się.

— To ja.

— No nie! To zabawne! Co za zbieg okoliczności. W takiej wielkiej szkole szukam pewnej dziewczynki i pytam ją o nią samą. A powiadają, że takie rzeczy się nie zdarzają.

— Przypuszczam, że czasem zdarzają się — zauważyła Jennifer bez zainteresowania. — Przyjechałam tu na lunch do pewnych przyjaciół — ciągnęła kobieta — a wczoraj na koktajlu wspomniałam o tym wyjeździe i twoja ciotka, a może to była matka chrzestna? — mam taką okropną pamięć — podała mi swoje nazwisko, ale też zapomniałam. W każdym razie zapytała, czy mogłabym wpaść tutaj i zostawić ci rakieta. Mówiła, że prosiłaś o nową.

Twarz Jennifer rozjaśniła się. To zakrawało na cud.

— To musiała być moja matka chrzestna, pani Campbell. Nazywam ją ciocią Giną. To nie mogła być ciocia Rosamond. Ona nigdy nie dała mi niczego oprócz nędznych dziesięciu szylingów na Gwiazdkę.

— Tak, teraz sobie przypominam. Właśnie tak brzmiało nazwisko. Campbell.

Wyciągnęła rękę z paczką. Jennifer wzięła ją skwapliwie. Opakowanie było luźne. Kiedy rakieta wynurzyła się z futerału, dziewczynka wydała okrzyk zachwyty.

— Och, bombowa! Naprawdę znakomita. Tęskniłam do nowej rakiety. Nie można grać przyzwoicie, jeśli nic ma się porządnej rakiety.

— Domyślałam się, że nic.

— Dziękuję za jej przyniesienie — powiedziała Jennifer z wdzięcznością.

— To żaden kłopot. Przyznam się tylko, że byłam trochę onieśmielona. Szkoły zawsze na mnie tak działają. Tyle dziewcząt. Och, przy okazji miałam wziąć twoją starą rakieta.

Podniosła rakieta, upuszczoną przez Jennifer.

— Twoja ciocia, nie, matka chrzestna, powiedziała, że da ją do naciągnięcia. Bardzo tego potrzebuje, prawda?

— Nie sądzę, żeby było warto — odparła Jennifer, nie zwracając na nią większej uwagi.

Wciąż jeszcze badała zamach i balans swego nowego skarbu.

— Dodatkowa rakieta zawsze się przyda — powiedziała nieznajoma. Spojrzała na zegarek: Ojej, jest później niż myślałam. Muszę lecieć.

— Czy pani... może chce pani taksówkę? Mogłabym zatelefonować...

— Nie, dziękuję ci kochanie. Mój samochód jest przy bramie. Zostawiłam go tam, żeby nie nawracać na wąskiej przestrzeni. Do widzenia. Miło mi było cię poznać. Mam nadzieję, że rakieta sprawi ci radość.

Dosłownie pobiegła ścieżką w kierunku bramy. Jennifer zawołała za nią jeszcze raz: — Dziękuję bardzo!

Potem, rozkoszując się prezentem, ruszyła na poszukiwanie Julii.

— Patrz — machnęła malowniczo rakieta.

— No nie! Skąd ją wzięłaś?

— Moja matka chrzestna przysłała mi. Ciocia Giną. Nie jest moją ciocią, ale tak ją nazywam. Jest strasznie bogata. Pewnie mama powiedziała jej o moim narzekaniu na rakieta. Jest bombowa, prawda? Muszę pamiętać o napisaniu listu z podziękowaniem.

— No myślę! — rzekła Julia z zapalem.

— Cóż, wiesz przecież, jak się zapomina o różnych rzeczach. Nawet o tych, które naprawdę zamierza się zrobić. — Popatrz, Shaista — dodała, kiedy koleżanka zbliżyła się. — Mam nową rakieta. Czy nie jest piękna?

— Musi być bardzo droga — powiedziała Shaista, oglądając ją z szacunkiem. — Chciałabym grać dobrze w tenisa.

— Zawsze wpadasz na piłkę.

— Nigdy nie wiem, dokąd leci. Zanim wrócę do domu, muszę kupić naprawdę dobre szorty, szyte w Londynie. Albo taką tenisową sukienkę, jaką nosi amerykańska mistrzyni Ruth Allen. Wydaje mi się bardzo elegancka. Może dostanę jedno i drugie — uśmiechnęła się, ciesząc się z góry.

— Shaista zawsze myśli tylko o ciuchach — rzekła Julia pogardliwie, kiedy obie przyjaciółki odeszły. — Myślisz, że my też będziemy kiedyś takie?

— Pewnie tak — odparła Jennifer ponuro. — To będzie okropnie nudne.

Weszły do pawilonu sportowego, oficjalnie opuszczonego już przez policję i Jennifer umieściła rakieta troskliwie na stojaku.

— Czy nie jest śliczna? — spytała, głaszcząc ją czule.

— A co zrobiłaś ze starą?

— Och, ona zabrała.

— Kto?

— Kobieta, która przyniosła tę nową. Spotkała ciocię Ginę na koktajlu i ciocia poprosiła ją, żeby mi ją zawiozła, jak tu będzie i by wzięła starą do naciągnięcia.

— Rozumiem... — Julia wciąż się zastanawiała.

— Czego Bully chciała od ciebie?

— Bully? Och, nic ważnego. Tylko adres mamusi. Nie dostała go jednak, ponieważ ona jest w autobusie. Gdzieś w Turcji. Słuchaj, Jennifer. Twoja rakieta nie potrzebowała naciągnięcia.

— Ależ tak, Julio. Była jak gąbka.

— Wiem. Ale naprawdę to była moja rakieta. Przecież zamieniłyśmy się. To moja rakieta potrzebowała naciągnięcia. Twoja, to jest ta, którą mam teraz, nie wymagała tego. Sama mówiłaś, że twoja matka dała ją do naprawy przed wyjazdem za granicę.

— Tak, to prawda. — Jennifer wydawała się trochę zaskoczona. — Cóż, przypuszczam, że ta kobieta, kimkolwiek była, zobaczyła po prostu, że trzeba ją dać do naprawy. Powinnam była chyba zapytać ją o nazwisko, ale szalałam z radości.

— Ale powiedziałaś, że ona wspomniała o pomyśle twojej ciotki, aby przywieźć rakieta do naciągnięcia. A ciotce nie mogło to przyjść do głowy.

— Och — powiedziała Jennifer zniecierpliwiona.

— Przypuszczam... przypuszczam...

— Co mianowicie przypuszczasz?

— Może ciocia Gina pomyślała, że jeżeli potrzebuję nowej rakiety, to pewnie stara wymaga naprawy. A zresztą, o co chodzi?

— Sądzę, że o nic — powiedziała Julia wolno.

— Uważam jednak, że to dziwne. To tak, jak ofiarowanie nowej lampy za starą lampę Aladyna, rozumiesz?

Jennifer zachichotała.

— Wyobraź sobie, że pocierasz moją starą raketę — to znaczy twoją starą raketę i zjawia się dżin! Gdybyś potarła lampę i dżin się zjawiał, o co byś go poprosiła, Julio?

— O masę rzeczy — odparła Julia z ekstazą. — Magnetofon i owczarka alzackiego, a może doga i sto tysięcy funtów i czarną atlasową suknię wieczorową i mnóstwo innych rzeczy... A czego zapragnęłabyś ty?

— Nie wiem naprawdę — odparła Jennifer. — Kiedy dostałam tę bombową raketę, naprawdę nie chcę niczego więcej.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY KATASTROFA

### I

Trzeci weekend po otwarciu trymestru przebiegał według zwykłego planu. Był to pierwszy weekend, podczas którego rodzice mogli zabierać dziewczynki. W rezultacie Meadowbank prawie opustoszało.

Tej niedzieli na południowym posiłku w szkole było tylko dwadzieścia dziewcząt. Cześć personelu wyjechała i miała wrócić w niedzielę późnym wieczorem albo wcześniej rano w poniedziałek. Panna Bulstrode zamierzała również wyjechać. Była to wyjątkowa sytuacja, gdyż nie zwykła opuszczać szkoły podczas zajęć. Miała zatrzymać się u księżnej Welsham w Welsington Abbey. Księżna nalegała dodając, że będzie także Henry Banks. Był to prezes zarządu Meadowbank. Należał do czołowych przemysłowców kraju i był jednym z pierwszych sponsorów szkoły. Zaproszenie było zatem niemal rozkazem. Nie znaczy to, że panna Bulstrode pozwalała sobie rozkazywać, jeśli nic miała na coś ochoty. Tak się jednak stało, że przyjęła zaproszenie z zadowoleniem. Lubiła księżną Welsham, która była wpływową osobą, a córki kształciła w Meadowbank. Chętnie zaakceptowała też okazję do porozmawiania z Henrym Banksem o przyszłości szkoły i przedstawienia mu własnej relacji z niedawnej tragedii.

Dzięki stosunkom Meadowbank morderstwo panny Springer zostało potraktowane przez prasę taktownie i przedstawione bardziej jako fatalny przypadek niż tajemnicza zbrodnia. Sugerowano, choć nie zostało to powiedziane, że być może paru młodych bandytów włamało się do pawilonu sportowego i śmierć nauczycielki była raczej przypadkowa niż zaplanowana. Donoszono mętnie, że kilku młodych ludzi poproszono o przyście na komisariat i „udzielenie pomocy policji”. Pannie Bulstrode zależało na złagodzeniu nieprzyjemnego wrażenia, jakie mogli odnieść potężni opiekunowie szkoły. Wiedziała, że chcą też przedyskutować jej aluzje o przejściu na emeryturę. Oboje, księżna i Henry Banks, pragnęli jej to wyperswadować. Była to odpowiednia chwila, aby przedstawić Eleanor Vansittart, wykazać, jak wspaniałą jest osobą i jak dobrze zadba o tradycje Meadowbank. W sobotę rano panna Bulstrode kończyła właśnie pisanie listów z Ann Shapland, gdy zadzwonił telefon. Ann podniosła słuchawkę.

— To emir Ibrahim, panno Bulstrode. Przyjechał do Claridge’a i chciałby zabrać Shaistę jutro rano.

Panna Bulstrode wzięła słuchawkę i przeprowadziła krótką rozmowę z majordomusem emira. Można zabrać Shaistę w każdej chwili po jedenastej trzydzieści w niedzielę rano. Dziewczyna musi wrócić do godziny ósmej.

Skończywszy rozmowę, powiedziała:

— Pragnęłabym, żeby ci ludzie z Orientu byli trochę bardziej uważający. Uzgodniliśmy, że Shaista wyjedzie jutro z Gisłą d’Aubray. Teraz trzeba to odwołać. Skończyliśmy już z listami?

— Tak, panno Bulstrode.

— Dobrze, więc mogę wyjechać z czystym sumieniem. Przepisz je na maszynie i wyślij, a potem ty również jesteś wolna. Nie będę cię potrzebować aż do poniedziałkowego południa.

— Dziękuję, panno Bulstrode.

— Baw się dobrze, moje dziecko.

— Mam taki zamiar.

— Młody człowiek?

— No... tak — Ann zarumieniła się. — Ale to nic poważnego.

— A powinno być. Jeżeli zamierzasz wyjść za mąż, nie odkładaj tego, aż będzie za późno.  
— To tylko stary przyjaciel. Nic ekscytującego.  
— Ekscytacja nie zawsze jest dobrą podstawą pożycia małżeńskiego. Przyślij do mnie pannę Chadwick.

Panna Chadwick wpadła pośpiesznie.

— Ten emir Ibrahim, wuj Shaisty, zabiera ją jutro. Jeżeli zjawi się osobiście, powiedz mu, że dziewczyna robi postępy.

— Nie jest zbyt rozgarnięta.

— Jest niedojrzała intelektualnie — zgodziła się panna Bulstrode. — Ale pod innymi względami jest bardzo dojrzała. Czasem, kiedy się z nią rozmawia, można by sądzić, że ma dwadzieścia pięć lat. Przypuszczam, że to z powodu światowego życia, jakie pędziła. Paryż, Teheran, Kair, Istambuł i tak dalej. My mamy tendencję do przedłużania dzieciństwa naszych dzieci. Uważamy to za zaletę, mówiąc: „ona jest jeszcze dzieckiem”. To nie jest zaleta. To upośledzenie.

— Nic jestem pewna, czy zgadzam się w pełni z tobą. moja droga — rzekła panna Chadwick. — Pójdę i powiem teraz Shaście o jej wuju. Możesz wyjechać na swój weekend i nie martwić się o nic.

— Och, na pewno! To dobra okazja, aby zostawić Eleanor Vansittart na zastępstwie i zobaczyć, jak się zapowiada. Z tobą i z nią na straży nic złego nie może się stać.

— Mam taką nadzieję. Pójdę i znajdę Shaistę. Shaista była zaskoczona i wcale nie wydawała się ucieszona wiadomością o przyjeździe wuja do Londynu.

— Chce zabrać mnie jutro — sarknęła. — Ależ panno Chadwick, było zaplanowane, że jutro wyjadę z Giselle d’Aubray i jej matką.

— Obawiam się, że musisz to przełożyć.

— Ale ja wolę pojechać z Giselle — powiedziała Shaista nadaśana. — Mój wuj nie jest wcale zabawny. Je, a potem chrząka i to wszystko jest bardzo nudne.

— Nie możesz tak mówić. To niegrzeczne. Twój wuj jest w Anglii tylko tydzień, o ile mi wiadomo, i naturalnie chce się z tobą zobaczyć.

— Może zaplanował dla mnie nowe małżeństwo — twarz Shaisty ożywiła się. — Jeżeli tak, to byłoby zabawne.

— Niewątpliwie ci powie. Jesteś jednak jeszcze za młoda, żeby w tej chwili wychodzić za mąż. Musisz zakończyć edukację.

— Edukacja jest bardzo nudna — oświadczyła Shaista.

## II

Niedzielny ranek wstał jasny i pogodny. Ann Shapland wyjechała w sobotę, wkrótce po pannie Bulstrode. Panie Johnson, Rich i Blake wyjechały w niedzielę rano.

Panna Vansittart, panna Chadwick, panna Rowan i *mademoiselle* Blanche zostały, aby sprawować opiekę.

— Mam nadzieję, że dziewczęta nie będą gadały za wiele na temat biednej panny Springer — powiedziała panna Chadwick z powątpiewaniem.

— Miejmy nadzieję, że cała sprawa wkrótce pójdzie w zapomnienie — rzekła Eleanor Vansittart. Jeżeli jacyś rodzice mówią mi coś na ten temat, zniechęcam ich. Najlepiej będzie przyjąć twardą postawę.

Uczennice poszły do kościoła o dziesiątej, w towarzystwie panny Vansittart i panny Chadwick. Cztery dziewczynki, będące wyznania rzymskokatolickiego, zostały zaprowadzone do konkurencyjnej świątyni przez *mademoiselle* Blanche. O pół do dwunastej po podjeździe zaczęły się toczyć samochody. Panna Vansittart stała w hallu, pełna wdzięku i



godności, z podniesioną głową. Uśmiechnięta witała matki, przyprowadzając ich potomstwo i zrećnie przerywając wszelkie niepożądane wzmianki, dotyczące niedawnej tragedii.

— Straszne — mówiła. — Tak, okropne, ale, rozumie pani, nie wspominamy tutaj o tej sprawie. To młode umysły, szkoda je niepotrzebnie pobudzać.

Chaddy była także na stanowisku, witając zaprzyjaźnionych rodziców, omawiając plany wakacji i mówiąc czule o uczennicach.

— Uważam, że ciocia Isabel mogła przyjechać i zabrać mnie stąd — rzekła Julia, która wraz z Jennifer przyciskała nos do okna w jednej z klas, obserwując ruch samochodów na zewnątrz.

— Mamusia weźmie mnie w przyszłym tygodniu — odparła jej przyjaciółka. — Do tatusia przyjeżdżają jacyś ważni ludzie, więc dzisiaj nie mogła.

— Idzie Shaista — powiedziała Julia. — Odstawiona na Londyn. Uu-uu! Popatrz tylko na jej obcasy. Założę się, że starej Johnson nie podobają się.

Szofer w liberii otworzył drzwi wielkiego cadillaca. Shaista wsiadła i odjechała.

— Jeżeli chcesz, możesz wyjechać ze mną na następny weekend. Mówiłam mamusi, że mam przyjaciółkę, którą pragnęłabym przywieźć.

— Chciałabym bardzo — rzekła Julia. — Popatrz, jak Vansittart odstawia swoje kawałki.

— Strasznie jest miła, prawda?

— Nie wiem dlaczego, ale to mnie jakoś rozśmiesza. Ona jest jakby kopia panny Bulstrode. Dobrą kopia, ale w stylu Joyce Grenfell, albo jakiegoś imitatora.

— Jest mama Pam — powiedziała Jennifer. — Przywiozła ze sobą synków. Nie mam pojęcia, jak mieszczą się wszyscy w tym malutkim morrisie.

— Jadą na piknik. Popatrz na te wszystkie koszyki.

— Co chcesz robić dziś po południu? — spytała Jennifer. — Chyba nie muszę pisać do mamusi w tym tygodniu, skoro zobaczę ją w przyszłym?

— Nie palisz się do pisania listów.

— Nie potrafię wymyślić nic godnego uwagi.

— Ja potrafię — pochwaliła się Julia. — Umiem wymyślić mnóstwo rzeczy. Ale teraz nie mam do kogo pisać — dodała ponuro.

— A co z twoją matką?

— Mówiłam ci, że pojechała autobusem do Anatolii. Nie można pisać do ludzi, którzy jadą autobusem do Anatolii. Przynajmniej nie można do nich pisać stale.

— A kiedy już piszesz, to dokąd?

— Och, do różnych konsulatów. Mama zostawiła mi listę. Najpierw Istanbuł, potem Ankara i inne śmieszne nazwy. — Po chwili dodała: — Ciekawa jestem, dlaczego Bully chciała skontaktować się tak pilnie z mamusią? Wydawała się zdenerwowana, kiedy powiedziałam, dokąd wyjechała.

— Nie mogło chodzić o ciebie — rzekła Jennifer.

— Nie zrobiłaś nic strasznego, prawda?

— Przynajmniej nic o tym nie wiem. Może chciała zawiadomić ją o pannie Springer.

— Po co miałyby to robić? — powiedziała Jennifer.

— Pewnie jest bardzo zadowolona, że przynajmniej jedna matka nie wie o morderstwie.

— Uważasz, że matki mogą obawiać się o swoje córki?

— Sądzę, że z moją mamą nie jest aż tak źle — rzekła Jennifer. — Ale nieźle ją to trzepnęło.

— Jeżeli chciałabyś poznać moje zdanie — rzekła Julia, głęboko zamyślona — to jest mnóstwo rzeczy, których nam o pannie Springer nie mówią.

— Jakich rzeczy!

— Dzieją się dziwne historie. Na przykład, jak z twoją rakietą.

— Och, miałam ci powiedzieć. Napisałam do cioci Giny i dziś rano dostałam list. Cieszy się, że dostałam nową rakieta, ale ona jej nie wysłała.

— Mówiłam ci, że to szczególna sprawa — powiedziała Julia triumfująco. — A w domu u ciebie było włamanie, prawda?

— Tak, ale nic nie zabrali.

— To jeszcze bardziej interesujące. Uważam, że wkrótce zdarzy się prawdopodobnie drugie morderstwo.

— Och, Julio, dlaczego miałyby się zdarzyć?

— W książkach jest zwykle drugie morderstwo. Chyba musisz bardzo uważać, żeby nie zamordowano ciebie.

— Mnie? — zapytała Jennifer zdumiona. — Dlaczego ktoś miałby mnie mordować?

— Ponieważ jesteś w jakiś sposób w to wmieszana. Musimy popробować wydobyć coś z twojej matki w przyszłym tygodniu. Może ktoś dał jej w Ramacie jakieś tajne papiery.

— Jakie tajne papiery?

— Skąd mam wiedzieć — odparła Julia. — Plany czy wzór nowej bomby atomowej. Coś w tym rodzaju.

Jennifer nie wydawała się przekonana.

### III

Panna Vansittart i panna Chadwick siedziały w pokoju nauczycielskim, kiedy weszła panna Rowan mówiąc:

— Gdzie jest Shaista? Nie mogę jej nigdzie znaleźć. Przyjechał właśnie po nią samochód emira.

— Co takiego? — Chaddy spojrzała zdziwiona.

— Musiała zająć jakaś pomyłka. Samochód emira przyjechał po nią jakieś trzy kwadransy temu. Widziałam sama, jak wsiada i odjeżdża. Wyjechała jako jedna z pierwszych.

Eleanor Vansittart wzruszyła ramionami. — Przypuszczam, że zamówiono samochód dwukrotnie albo coś takiego.

Wyszła porozmawiać z szoferem. — Musiało zająć nieporozumienie. Panienska wyjechała do Londynu przed trzema kwadransami.

Szofer był zaskoczony. — Jeśli pani tak twierdzi, rzeczywiście musiało się coś pokręcić. Otrzymałem wyraźne polecenie, żeby pojechać do Meadowbank po młodą panią.

— Od czasu do czasu musi powstać zamieszanie — rzekła panna Vansittart.

Szofer wydawał się spokojny. — Stale się to zdarza. Przyjmują zlecenia telefoniczne, zapisują, zapominają o nich. Takie różne historie. Ale w naszej firmie szcycimy się tym, że nie popełniamy błędów. Oczywiście z tymi dżentelmenami ze Wschodu nigdy nie wiadomo. Miewają liczną służbę i polecenia mogą być przekazywane dwa lub trzy razy. Tak musiało zdarzyć się w tym przypadku. — Wprawnie zawrócił wielki samochód i odjechał.

Panna Vansittart zawahała się chwilę, lecz zdecydowała w końcu, że nie ma powodów do niepokoju i pomyślała z satysfakcją o zbliżającym się spokojnym popołudniu.

Po lunchu nieliczne dziewczęta, które pozostały, pisały listy lub spacerowały po terenach szkolnych. Grano w tenisa, a basen również cieszył się powodzeniem. Panna Vansittart usiadła z piórem i blokiem listowym w cieniu cedru. Kiedy o pół do piątej zadzwonił telefon, odebrała go panna Chadwick.

— Szkoła w Meadowbank? — powiedział głos dobrze wychowanego młodego Anglika. — Jest może panna Bulstrode?

— Panna Bulstrode jest dzisiaj nieobecna. Mówi panna Chadwick.

— Chodzi o jedną z państwa wychowanek. Mówię z hotelu Claridge'a. z apartamentu emira Ibrahima.

— Ach tak. Chodzi o Shaistę?

— Tak. Emir jest zaniepokojony, że nie dostał żadnej wiadomości.

— Wiadomości? Dlaczego miał dostać wiadomość?

— O tym, że Shaista nie mogła przyjechać ani nie przyjedzie.

— Nie przyjedzie! Chce pan powiedzieć, że nie przybyła?

— Nie, z całą pewnością nie przybyła. A więc opuściła Meadowbank?

— Tak. Samochód przyjechał po nią rano, chyba około pół do dwunastej i pojechała.

— Zdziwiająca, ponieważ tutaj jej nie ma... Zadzwoń lepiej do firmy, która dostarcza emirowi samochody.

— O Boże — powiedziała panna Chadwick. — Mam nadzieję, że nie zdarzył się wypadek.

— Nie zakładajmy najgorszego — oświadczył młody człowiek pogodnie. — Jeżeli doszłoby do wypadku, już usłyszałyby pani o nim. Albo przynajmniej my. Na miejscu pani nie niepokoilibym się.

Panna Chadwick była jednak niespokojna.

— To wydaje mi się bardzo dziwne.

— Przypuszczam... — młody człowiek zawahał się.

— Słucham?

— Nie jest to rzecz, którą chciałbym podsunąć emirowi, ale między nami mówiąc, czy nie plątał się tam jakiś chłopiec?

— Na pewno nie — odparła panna Chadwick z godnością.

— Nie, nie, nie myślę nic złego, ale z dziewczętami nigdy nie wiadomo, prawda? Byłaby pani zdumiona słysząc, z jakimi rzeczami się spotykałem.

— Mogę pana zapewnić, że coś takiego jest zupełnie niemożliwe.

Czy jednak było niemożliwe? Czy można było być pewnym dziewcząt?

Odłożyła słuchawkę i prawie bezwiednie udała się na poszukiwanie panny Vansittart. Nic było powodu sądzić, że panna Vansittart poradzi sobie lepiej z powstałą sytuacją niż ona sama, ale czuła, że musi się kogoś poradzić. Eleanor powiedziała natychmiast:

— Drugi samochód? Popatrzyły na siebie.

— Myślisz, że powinniśmy zawiadomić policję?

— Tylko nie policję — odparła panna Vansittart zgorszona.

— Widzisz, ona twierdziła, że ktoś może próbować ją uprowadzić.

— Uprowadzić? Bzdura! — odparła panna Vansittart ostro.

— Nie uważasz... — panna Chadwick była uparta.

— Panna Bulstrode zostawiła szkołę pod moją opieką i na pewno nie wyrażę zgody na coś podobnego. Nie potrzebujemy tutaj więcej kłopotów z policją.

Panna Chadwick popatrzyła na nią bez życzliwości. Pomyślała sobie, że panna Vansittart jest krótkowzroczna i głupia. Udała się z powrotem do budynku i połączyła się telefonicznie z rezydencją księżnej Welsham. Niestety nie zastała nikogo.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY PANNA CHADWICK NIE MOŻE USNAĆ

### I

Panna Chadwick była niespokojna. Przewracała się w łóżku licząc owce i próbowała innych tradycyjnych metod sprowadzania snu. Daremnie.

O ósmej, kiedy Shaista nie wróciła i nic było żadnych wieści o niej, panna Chadwick wzięła sprawę w swoje ręce, dzwoniąc do inspektora Kelseya. Ulżyło jej, kiedy stwierdziła, że nie traktuje tego zbyt poważnie. Zapewnił, że może zostawić całą rzecz jemu. Łatwo będzie sprawdzić, czy zdarzył się wypadek. Potem miał się skontaktować z Londynem. Zrobi wszystko, co trzeba. Może dziewczyna urządziła sobie wagary. Poradził pannie Chadwick, aby w szkole mówić o tym jak najmniej. Wszyscy powinni myśleć, że Shaista została na noc u wuja, w hotelu.

— Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujecie i jakiej potrzebuje panna Bulstrode, to jeszcze większy rozgłos — powiedział Kelsey. — To wręcz nieprawdopodobne, by dziewczyna została uprowadzona. Więc proszę się nie martwić, panno Chadwick. Proszę zostawić nam wszystko.

Panna Chadwick jednak niepokoiła się.

Kiedy leżała bezsennie, jej myśli pobiegły od domniemanego porwania do morderstwa.

Morderstwo w Meadowbank. To straszne! Nie do wiary! Meadowbank. Panna Chadwick kochała Meadowbank. Kochała szkołę może nawet bardziej niż panna Bulstrode, choć w nieco inny sposób. Było to wspaniałe, ryzykowne przedsięwzięcie. Wkraczając razem z przyjaciółką w tę hazardową imprezę, przeżywała panikę nie raz i nie dwa. Przypuśćmy, że cała sprawa padnie. Naprawdę nie miały wielkiego kapitału. Gdyby nie odniosły sukcesu, gdyby nie miały pokrycia w banku... Pannę Chadwick trapiły niespokojne myśli i całe listy niezliczonych „gdyby”. Pannę Bulstrode radowała przygoda, ryzyko przedsięwzięcia, ale Chaddy nic była taka. Czasami w paroksyzmie lęku błagała, by prowadzić szkołę w bardziej konwencjonalny sposób. To byłoby bezpieczniejsze, przekonywała. Panny Bulstrode jednak nie interesowało bezpieczeństwo, tylko jej własna wizja szkoły, toteż dążyła do niej bez lęku. I ta jej śmiałość była usprawiedliwiona. Jaką ulgę odczuła Chaddy, kiedy sukces stał się *fait accompli*\*. Kiedy Meadowbank została uznana za znakomitą angielską instytucję. Wówczas jej miłość do szkoły rozkwitła najbujniej. Wątpliwości, lęki, obawy opuściły ją. Nadszedł spokój i powodzenie. Rozkoszowała się sukcesem Meadowbank jak mruczający z, zadowolenia kocur.

Zatrwożyło ją, kiedy panna Bulstrode zaczęła mówić o przejściu na emeryturę. Emerytura teraz, kiedy wszystko ułożyło się tak pięknie? Cóż za szaleństwo! Przyjaciółka mówiła o podróżach, o wszystkich miejscach, które chciałyby zobaczyć. Chaddy to nie interesowało. Nic na świecie nie było nawet w połowie tak wspaniałe, jak Meadowbank. Wydawało się, że nic nie może zakłócić pomyślności szkoły. A tu nagle — morderstwo!

Groźne, brutalne słowo, przychodzące z zewnątrz jak zły, szalejący wiatr. Morderstwo — to słowo kojarzyło się pannie Chadwick wyłącznie z przestępcami noszącymi w kieszeni noże sprężynowe albo zbrodniczymi lekarzami, trującymi swoje żony. Ale morderstwo, w szkole, i to nie w pierwszej lepszej, tylko w Meadowbank! Nie do wiary.

Biedna panna Springer, rzecz jasna, nie była winna. Chaddy czuła jednak, całkiem nielogicznie, że w jakiś sposób ponosiła odpowiedzialność za to, co się stało. Nie знаła

---

\* fr. fakt dokonany.

tradycji Meadowbank. Nietaktowna kobieta. Musiała sprowokować morderstwo. Panna Chadwick przewróciła się w łóżku, obróciła poduszkę i powiedziała sobie: „Muszę przestać o tym myśleć. Lepiej wstanę i zażyję aspirynę. Spróbuję liczyć do pięćdziesięciu...”

Zanim doszła do pięćdziesięciu, jej myśli wróciły na ten sam tor. Irytujące. A jeśli wszystko to — możliwe, że uprowadzenie również — dostanie się do gazet? Rodzice przeczytają i rzucą się odbierać swoje córki...

Och, muszę się uspokoić i zasnąć. Która godzina? Zaświeciła lampę i spojrzała na zegarek. Już za piętnaście pierwsza. Właśnie o tej porze biedna panna Springer... Nie, nie chciała o tym myśleć. Jak głupio zrobiła panna Springer wychodząc samotnie, zamiast obudzić kogoś. „Och, powiedziała do siebie, muszę wziąć aspirynę”.

Wstała i podeszła do umywalki. Zażyła dwie aspiryny popijając wodą. Wracając odsunęła zasłonę i wyjrzała. Zrobiła to bardziej dla uspokojenia niż z jakiegokolwiek innego powodu. Chciała upewnić się, że oczywiście w pawilonie sportowym nie świeci się światło w środku nocy.

Ale właśnie świeciło się.

W jednej chwili Chaddy ruszyła do akcji. Wsunęła nogi w mocne buty, włożyła gruby płaszcz, wzięła latarkę i zeszła po schodach. Choć winiła pannę Springer za to, że nie zapewniła sobie ochrony, nie przyszło jej do głowy, aby to zrobić. Pragnęła tylko pójść do pawilonu i odkryć, kim jest intruz. Zatrzymała się, żeby wziąć broń — może niezbyt dobrą, ale jednak broń, potem wyszła przez boczne drzwi i poszła szybko ścieżką wiodącą przez krzewy. Była zadyszana, ale zdecydowana. Gdy jednak zbliżyła się do budynku, zwolniła i zaczęła się poruszać cicho. Drzwi były lekko uchylone. Popchnęła je i zajrzała do środka...

## II

Właśnie o tej godzinie, o której panna Chadwick wstawała z łóżka po aspirynę, Ann Shapland, wyglądająca ślicznie w czarnej wieczorowej sukni, siedziała przy stoliku w Le Nid Sauvage, jedząc potrawkę z kurczęcia i uśmiechając się do młodego człowieka naprzeciwko niej. „Kochany Dennis, pomyślała, zawsze taki sam. I to właśnie byłoby nie do zniesienia, gdybym wyszła za niego za mąż. Ale mimo wszystko jest słodki...” Głośno zauważyła:

— Co za uciecha, Dennis. Cudowna odmiana.

— Jaka jest ta twoja nowa praca?

— Cóż, na razie bawi mnie.

— Nie wydaje mi się w twoim stylu.

Ann zaśmiała się. — Trudno by mi było powiedzieć, co jest w moim stylu. Lubię zmiany.

— Nigdy nie zrozumiałem, czemu rzuciłaś posadę u starego sir Mervyna Todhuntera.

— Głównie z powodu samego sir Mervyna. Uwaga, jaką mi poświęcał, zaczęła niepokoić jego żonę. A moja polityka polega na tym, by nigdy nie niepokoić żon. Potrafią wyrządzić ci dużo złego.

— Zazdrosne kotki — rzekł Dennis.

— Och nie, naprawdę nie. Jestem raczej po stronie żon. Zawsze lubiłam lady Todhunter bardziej niż jej męża. Dlaczego moja nowa praca cię dziwi?

— No, jakaś szkoła. Powiedziałbym, że nie masz nauczycielskiego zacięcia.

— Nie znoszę uczenia w szkole. Nie znoszę siedzenia w kurniku. Życia w stadzie z gromadą kobiet. Jednak praca sekretarki w takiej szkole jak Meadowbank jest przyjemna. To naprawdę wyjątkowe miejsce. I panna Bulstrode jest wyjątkową osobą. Mogę cię zapewnić, że to naprawdę ktoś. Jej szare oczy przeszywają cię i widzą twoje najtajniejsze sekrety. I trzyma cię na baczność. Nienawidzę robienia błędów w listach, które piszę dla niej. O tak, ona jest kimś.

— Chciałbym, żebyś miała już dość tych wszystkich zajęć — powiedział Dennis. — Najwyższy czas. Ann, żebyś skończyła z tym uganianiem się za różnymi pracami i ustatkowała się.

— Jesteś bardzo miły, Dennis — odparła Ann dyplomatycznie.

— Razem mogłoby być przyjemnie.

— Chyba nie jestem jeszcze gotowa. Poza tym wiesz, że jest moja mama.

— Tak, zamierzałem z tobą pomówić na ten temat.

— O mojej mamie? Co takiego chciałeś powiedzieć?

— Wiesz, Ann, jesteś cudowna. Dostajesz ciekawą pracę, a palem rzucasz wszystko i jedziesz do domu, do niej.

— Muszę to robić od czasu do czasu, kiedy ma ciężki nawrót choroby.

— Wiem. Jak powiedziałem, to cudowne z twojej strony. Niemniej są obecnie miejsca, bardzo dobre zakłady, w których tacy ludzie jak twoja matka mogą mieć dobrą opiekę i wszystko co trzeba. Wcale nie jakieś domy wariatów.

— I kosztują majątek — odparta Ann.

— Ależ wcale nie. Nawet zakłady służby zdrowia...

W głosie Ann zadźwięczała gorycz. — Tak, przypuszczam, że kiedyś nadejdzie taki dzień. Tymczasem jednak mam miłą starą pannę, która mieszka z mamą i jakoś sobie radzi. Przez większość czasu mama jest zupełnie rozsądna. A kiedy przestaje być, ja wracam i pomagam.

— Czy ona... nigdy...?

— Chcesz spytać, czy bywa niebezpieczna? Masz niezwykle bujną wyobraźnię, Dennis. Nie. Moja kochana mama nigdy nie zagraża nikomu. Po prostu staje się zamroczona. Zapomina, gdzie jest i jak się nazywa, i chce wychodzić na długie spacerzy, a potem prawdopodobnie wskoczy do pociągu lub autobusu i pojedzie dokądś i widzisz, że to jest bardzo trudne. Czasami jedna osoba nie może sobie z nią poradzić. Ale jest zupełnie szczęśliwa, nawet w okresach zamroczenia. Czasem śmiesz ją to. Pamiętam, jak powiedziała: — Ann, kochanie, to naprawdę kłopotliwe. Wiedziała, że jadę do Tybetu i siedziałam w tym hotelu w Dover, nie mając pojęcia, jak się tam dostać. Wtedy pomyślałam, po co właściwie jadę do tego Tybetu? Doszłam do wniosku, że lepiej wrócić do domu. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak dawno go opuściłam. To takie przykre, kochanie, kiedy zapominasz wszystko. — Mamusię naprawdę to śmiesz. Chcę powiedzieć, że dostrzega swoją śmieszność.

— Nigdy jej nie spotkałem — zaczął Dennis.

— Nie zachęcam ludzi do tego — rzekła Ann. — To jedyna rzecz, jaką można zrobić dla swoich bliskich. Chronić ich przed ciekawością i krzywdą.

— To nie jest ciekawość, Ann.

— Wiem. Nie spodziewam się tego z twojej strony. Mogłoby to jednak ją skrzywdzić. Nie chce tego.

— Rozumiem.

— Jeśli myślisz, że przejmuję się tym, że od czasu do czasu rzucam pracę i jadę do domu na jakiś okres, to się mylisz. Nigdy nie zamierzałam wiązać się zbyt mocno. Nawet gdy dostałam pierwszą pracę, po ukończeniu kursu dla sekretarek. Doszłam do wniosku, że najważniejszą rzeczą jest pracować dobrze. Kiedy jesteś naprawdę dobry, możesz przebierać w posadach. Poznajesz rozmaite miejsca i rozmaite style życia. W tej chwili to jest życie szkoły. Najlepsza szkoła w Anglii, widziana od środka! Przypuszczam, że zostanę tam półtora roku.

— Nigdy cię nic nie porywa?

— Nic — odparła Ann w zamyśleniu. — Chyba nie. Jestem urodzonym obserwatorem. Coś jakby komentator radiowy.

— Jesteś taka niezależna. Nic obchodzi cię nikt i nic.

— Kiedyś się zmienię — powiedziała Ann obiecująco.

— Rozumiem mniej więcej, co myślisz i czujesz.

— Wątpię w to — odparła Ann.

— W każdym razie nic sędzę, żebyś przetrwała tam rok. Będziesz miała po uszy tych wszystkich bab.

— Jest tam bardzo przystojny ogrodnik — zaśmiała się, widząc minę Dennisa. — Rozchmurz się. Chcę tylko wzbudzić w tobie zazdrość.

— O co chodziło z tą nauczycielką, która została zabita?

— Ach, to. — Ann spoważniała. — To dziwna sprawa. Naprawdę bardzo dziwna. Była nauczycielką gimnastyki. Znasz ten typ. Jestem—zwyczajną—gimnastyczką. Sędzę, że kryje się za tym coś więcej, niż na razie wyszło na jaw.

— Słuchaj, nie pozwól się wplątać w nic przykrego.

— Łatwo powiedzieć. Nigdy nie miałam okazji do wypróbowania moich talentów śledczych. Uważam, że mogłabym być w tym dobra.

— Ależ Ann.

— Kochanie, nie zamierzam tropić groźnych kryminalistów. Chcę tylko przeprowadzić dedukcję. Kto i z jakiego powodu. I po co? Takie proste sprawy. Natrafiłam na pewną informację, która wydaje się interesująca.

— Ann!

— Nic patrz tak cierpiętniczo. Tylko że to nie wiąże się z niczym. Do pewnego punktu pasuje, a potem nie. Może zdarzy się drugie morderstwo i to wyjaśni trochę sprawę — dodała pogodnie.

Był to dokładnie moment, w którym panna Chadwick pchnęła drzwi pawilonu.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### MORDERSTWO POWTARZA SIĘ

— Chodź — powiedział inspektor Kelsey, wchodząc do pokoju z ponurą miną. — Jest następne.

— Następne co? — Adam spojrział na niego bystro.

— Następne morderstwo — odparł inspektor. Adam udał się za nim. Siedzieli od godziny w pokoju Kelseya pijąc piwo i dyskutując na różne tematy, kiedy inspektora wezwano do telefonu.

— Kto tym razem? — dopytywał się Adam, idąc schodami za Kelseyem.

— Inna nauczycielka, panna Vansittart.

— Gdzie?

— W pawilonie sportowym.

— Znowu ten pawilon? Co się tam dzieje?

— Tym razem ty przejrzyj to miejsce — powiedział inspektor. — Może twoja technika rewidowania będzie lepsza od naszej. Coś w nim musi być, skoro wszystkie zabójstwa zdarzają się właśnie tam.

Wsiadli do samochodu. — Spodziewam się, że doktor będzie tam przed nami. Nic musi daleko iść.

Kiedy weszli do rzęsiście oświetlonego pawilonu, Kelsey pomyślał, że powtarza się zły sen. Na podłodze znowu leżało ciało, a lekarz klęczał obok.

— Nie żyje od około pół godziny — powiedział. — Najwyżej od czterdziestu minut.

— Kto ją znalazł?

— Panna Chadwick — wyjaśnił jeden z jego ludzi.

— To ta starszawa, prawda?

— Tak. Spostrzegła światło, przyszła tutaj i znalazła ją martwą. Dotarła jakoś do domu i dostała ataku hysterii. Telefonowała do nas panna Johnson, opiekunka internatu.

— Dobrze — powiedział Kelsey. — Jak została zabita? Znowu zastrzelona?

Doktor potrząsnął głową. — Nie. Tym razem uderzenie w tył głowy. Pałka albo woreczek z piaskiem. Coś w tym rodzaju.

Przy drzwiach leżał kij golfowy ze stalową główką. Był to jedyny przedmiot zakłócający porządek tego miejsca.

— A co z tym? — spytał Kelsey, wskazując go. — Czy to mogło być narzędzie?

Doktor potrząsnął głową. — Niemożliwe. Nie ma na nim żadnego śladu. To na pewno była gumowa pałka albo woreczek z piaskiem.

— Coś profesjonalnego?

— Chyba tak. Ktokolwiek to był, tym razem nie zamierzał hałasować. Podeszedł i rąbnął ją w tył głowy. Upadła do przodu i prawdopodobnie nie wiedziała, co się stało.

— Co robiła?

— Chyba klęczała. Tu, przed tą szafką. Inspektor podeszedł do szafki i przyjrzał się jej.

— Jest na niej nazwisko dziewczynki, jak sądzę. Shuista. Zaraz, to ta Egipcjanka? Jej wysokość księżniczka Shaista. — Zwrócił się do Adama. — To się wiąże, prawda? Chwileczkę, to ta dziewczyna, której zaginięcie zgłosili wczoraj?

— Tak jest, sir — odparł sierżant. — Przyjechał po nią samochód rzekomo przysłany przez jej wuja, który zatrzymał się u Claridge'a. Wsiadła i odjechała.

— Nie dotarła na miejsce?

— Jak dotąd nie, sir. Zarzucono sieci. Zajmuje się tym Yard.



— Łatwy i przyjemny sposób porwania kogoś — zauważył Adam. — Żadnej szamotaniny ani krzyków. Wszystko co trzeba wiedzieć, to że po dziewczynę miał przyjechać samochód, a jedyne co trzeba zrobić, to wyglądać jak elegancki szofer i przyjechać przed tym drugim wozem. Dziewczyna wsiada nie podejrzewając wcale, co się dzieje.

— Nie znaleziono porzuconego samochodu? — spytał Kelsey.

— Nie mamy wiadomości — odparł sierżant. — Jak mówiłem, sprawę przejęły Yard i Wydział Specjalny.

— Mogą podejrzewać tło polityczne — rzekł inspektor. — Nic przypuszczam ani przez moment, żeby byli w stanie wywieźć ją z kraju.

— Ale po co ją porwali? — zastanowił się doktor.

— Bóg raczy wiedzieć — powiedział posępnie inspektor. — Twierdziła, że boi się porwania i wstydę się, że uważałem to za popisywanie się.

— Kiedy opowiadał mi pan o tym, pomyślałem to samo — wtrącił Adam.

— Najgorsze, że wiemy zbyt mało — rzekł Kelsey. — Za wicie różnych poszlak. — Rozejrzał się. — No, chyba nic więcej nie mogę zrobić. Działajcie dalej według zwykłej procedury: zdjęcia, odciski palców i tak dalej. Ja pójdę do szkoły.

W budynku przyjęła go panna Johnson. Była wstrząśnięta, ale panowała nad sobą.

— To straszne, inspektorze. Dwie z naszych nauczycielek zamordowane. Biedna panna Chadwick jest w okropnym stanie.

— Chciałbym ją zobaczyć możliwie najszybciej.

— Doktor zaaplikował jej coś i jest teraz dużo spokojniejsza. Mam pana zaprowadzić do niej?

— Tak, za chwileczkę. Przede wszystkim proszę mi opowiedzieć wszystko o swoim ostatnim spotkaniu z panną Vansittart.

— W ogóle jej dziś nie widziałam. Cały dzień bawiłam poza szkołą. Wróciłam przed jedenastą i udałam się prosto do mego pokoju. Od razu poszłam do łóżka.

— Nie spojrzała pani ze swego okna w kierunku pawilonu?

— Nie. Nawet nie pomyślałam o tym. Spędziłam dzień u siostry, której nic widziałam od pewnego czasu i miałam głowę pełną rodzinnych nowin. Wykąpałam się, położyłam i czytałam książkę, potem zgasiłam światło i zasnęłam. Następną rzeczą, jaką zobaczyłam, była panna Chadwick, która wpadła, błada jak papier i roztrzęsiona.

— Panna Vansittart też była dziś nieobecna?

— Nie, została tutaj. Powierzono jej opiekę nad szkołą. Panna Bulstrode wyjechała.

— Kto jeszcze został, mam na myśli nauczycielki. Panna Johnson zastanawiała się chwilę.

— Panna Vansittart, panna Chadwick, nauczycielka francuskiego *mademoiselle* Blanche i panna Rowan.

— Rozumiem. Może teraz zaprowadzi mnie pani do panny Chadwick.

Starsza pani siedziała w fotelu, w swoim pokoju. Mimo ciepłej nocy elektryczny piecyk był włączony, a kolana miała owinięte pledem. Zwróciła śmiertelnie bladą twarz do inspektora.

— Ona nie żyje... nie żyje? Nie ma szansy, żeby przyszła do siebie?

Kelsey wolno potrząsnął głową.

— To takie straszne... pod nieobecność panny Bulstrode. — Wybuchnęła płaczem. — To zrujnuje szkołę.

Zniszczy Meadowbank. Nie mogę tego znieść, naprawdę nie mogę. ‘

Kelsey usiadł obok niej. — Wiem — powiedział ze współczuciem. — Wiem. To był okropny szok, ale musi być pani dzielna i opowiedzieć mi wszystko, co pani wiadomo. Im prędzej odkryjemy, kto ;o zrobił, tym mniej będzie kłopotów i szumu.

— Tak, tak, rozumiem. Widzi pan, poszłam do łóżka wcześniej, ponieważ pomyślałam, że byłoby przyjemnie mieć długą, spokojną noc. Nie mogłam jednak zasnąć. Niepokoiłam się.

— Martwiła się pani o szkołę?

— Tak. I o zaginięcie Shaisty. Potem zaczęłam myśleć o panie Springer, czy jej zamordowanie wpłynie na rodziców i zrezygnują z przysyłania dzieci w następnym trymestrze. Byłam strasznie niespokojna o pannę Bulstrode. Chodzi o to, że ona stworzyła tę szkołę. To takie piękne osiągnięcie.

— Rozumiem. A teraz proszę powiedzieć: niepokoiła się pani i nie mogła zasnąć?

— Właśnie. Liczyłam owce i robiłam, co się da. Wreszcie wstałam, zażyłam aspirynę i w trakcie tego przypadkiem odsunęłam zasłonę. Nic bardzo wiem dlaczego. Sądzę, że to z powodu myśli o panie Springer. Wtedy zobaczyłam... zobaczyłam światło w pawilonie.

— Jakie to było światło?

— Ruchome. Chcę powiedzieć... sądzą, że to była latarka. Było podobne do tego, które ujrzałyśmy poprzednio z panną Johnson.

— Wyglądało tak samo?

— Tak. Tak mi się wydaje. Może odrobinę słabsze, ale nie wiem na pewno.

— Dobrze. A potem?

— Polem — powiedziała panna Chadwick, a jej głos stał się bardziej donośny — potem postanowiłam, że tym razem muszę zobaczyć, kto tam jest i co robi. Więc włożyłam płaszcz i buty, i wybiegłam z domu.

— Nie pomyślała pani, żeby zawołać jeszcze kogoś?

— Nie. Widzi pan, śpieszyłam się. Obawiałam się, że ta osoba się ulotni.

— Rozumiem. Proszę dalej, panno Chadwick.

— Poszłam tam tak szybko, jak tylko mogłam. Zbliżyłam się, ale zanim weszłam, zaczęłam iść na palcach, tak że mogłam zajrzeć do środka i nikt nie usłyszałby niego wejścia. Dotarłam na miejsce. Drzwi nie były zamknięte, po prostu uchylone i pchnęłam je bardzo delikatnie. Rozejrzałam się i ona tam była. Upadła na twarz, martwa...

Zaczęła się trząść.

— W porządku, panno Chadwick. Nawiasem mówiąc, leżał tam kij golfowy. Czy to pani wzięła go ze sobą? A może panna Vansittart?

— Kij golfowy? — spytała panna Chadwick niepewnie. — Nie pamiętam... ach, tak, wzięłam go z hallu... Zabrałam go na wypadek, gdybym... no, gdybym miała go użyć. Kiedy ujrzałam Elcanor, musiałam go upuścić. Potem jakoś dotarłam do domu i odszukałam pannę Johnson... Och! Nie mogę tego znieść. Nie mogę tego znieść! To będzie koniec Meadowbank... — jej głos podnosił się histerycznie. Panna Johnson wkroczyła do akcji.

— Odkrycie dwóch morderstw to za duży stres dla każdego — oświadczyła. — Szczególnie dla kogoś w jej wieku. Chce pan jeszcze o coś zapytać?

Inspektor zaprzeczył.

Schodząc na dół zauważył w niszy stos starych wałków z piaskiem i wiader. Pochodziły zapewne z czasów wojny, lecz zaświtała mu niespokojna myśl, że nie trzeba było zawodowca z pałką, aby uderzyć pannę Vansittart. Ktoś z tego budynku, kto nie chciał ryzykować po raz drugi odgłosu wystrzału i być może pozbył się już obciążającego go pistoletu, mógł posłużyć się niewinnie wyglądającą, ale śmiertelną bronią, odkładając ją potem nawet na miejsce!

## ROZDZIAŁ SZESNASTY ZAGADKA SPORTOWEGO PAWILONU

### I

„Moja głowa jest skrwawiona, lecz nieschylona”, powiedział Adam do siebie.

Patrzył na pannę Bulstrode. Nigdy nie podziwiał bardziej żadnej kobiety. Siedziała chłodna i niewzruszona wśród ruin dzieła swego życia.

Od czasu do czasu przychodziła telefoniczna wiadomość, że jeszcze jedna z jej wychowanek zostaje zabrana.

Wreszcie podjęła decyzję. Przeprosiwszy policjantów, wezwała Ann Shapland i podyktowała krótkie oświadczenie. Szkoła zostanie zamknięta do końca trymestru. Rodzice, dla których pobyt dziecka w domu będzie kłopotliwy, mogą zostawić je w szkole, a nauka będzie kontynuowana.

— Ma pani listę nazwisk i adresów rodziców? I numery telefonów?

— Tak, panno Bulstrode.

— Więc proszę zacząć telefonowanie. A potem proszę wysłać do każdego list.

— Tak, panno Bulstrode.

Wychodząc dziewczyna zatrzymała się przy drzwiach. Zarumieniła się:

— Proszę mi wybaczyć. To nie jest moja sprawa, ale czy nie szkoda... czy decyzja nie jest pochopna? Uważam... Po pierwszym okresie paniki, kiedy ludzie nie zastanawiają się, na pewno nic zechcą zabierać dziewczynek. Będą rozsądni i przemyślą to lepiej. Panna Bulstrode spojrzała na nią przenikliwie.

— Myśli pani, że dałam się pokonać zbyt łatwo? Ann poczerwieniała jeszcze bardziej.

— Weźmie to pani za zuchwalstwo. Ale... tak, jestem tego zdania.

— Jesteś waleczna, moje dziecko i miło mi to stwierdzić. Mylisz się jednak całkowicie. Nic poddaję się. Postępuję zgodnie z moją wiedzą o ludzkiej naturze. Nalegaj na ludzi, żeby zabrali dzieci, zmuszaj ich do tego, a nie zechcą tego zrobić. Wymyślą powód, żeby je pozostawić. A w najgorszym razie pozwolą im wrócić w następnym trymestrze. Jeżeli będzie następny trymestr — dodała ponuro.

Popatrzyła na Kelseya.

— To jest skierowane do pana. Proszę wyjaśnić te morderstwa, złapać sprawcę, a wszystko będzie dobrze.

Inspektor Kolscy wydawał się strapiiony: — Robimy, co w naszej mocy.

Ann Shapland wyszła.

— Kompetentna dziewczyna — rzekła panna Bulstrode. — I lojalna.

Była to dygresja. Teraz nasiliła atak.

— Nie ma pan absolutnie pojęcia, kto zabił dwie spośród moich nauczycielek w pawilonie sportowym? Do tego czasu powinien pan mieć już jakiś pomysł, I na domiar wszystkiego, uprowadzenie. Winie siebie za to. Dziewczyna wspominała, że ktoś chce ją porwać. Niech mi Bóg wybaczy, ale pomyślałam, że chce się wydać ważną osobą. Widzę teraz, że coś się za tym kryło. Ktoś musiał napomknąć o tym, albo przestrzec ją... — przerwała, wracając do tematu: — Nic ma pan żadnych nowin?

— Jeszcze nie. Nie powinna się jednak pani zbyt martwić. Sprawą zajął się Scotland Yard. Wydział Specjalny interesuje się tym również. Powinni ją znaleźć w ciągu dwudziestu czterech godzin, najdalej trzydziestu sześciu. To, że jesteśmy na wyspie, ma swoje zalety. Zaalarmowano wszystkie porty i lotniska. Policja w każdym okręgu ma się na baczności.

Rzeczywiście dosyć łatwo jest porwać kogoś; problem polega na ukryciu go. Och, znajdziemy ją.

— Mam nadzieję, że żywą — powiedziała panna Bulstrode ponuro. — Wydaje się, że mamy przeciwko sobie kogoś, kto nie przywiązuje wagi do życia ludzkiego.

— Nie zadawaliby sobie trudu z porywaniem, gdyby zamierzali ją usunąć — rzekł Adam. — Mogli zrobić to na miejscu dosyć łatwo.

Poczuł, że ostatnie słowa były niefortunne. Panna Bulstrode popatrzyła na niego.

— Rzeczywiście, na to wygląda — zauważyła sucho. Zadzwoił telefon. Panna Bulstrode podniosła słuchawkę.

— Słucham?. Skineęła na inspektora.

— Do pana.

Adam i dyrektorka obserwowali go w czasie rozmowy. Mruknął, zrobił pośpiesznie parę notatek i na koniec powiedział: — Rozumiem. Alderton Priors. To Wallshire. Tak, będziemy współdziałać. Tak, nadinspektorze. Będę więc nadal prowadzić sprawę tutaj.

Odłożył słuchawkę i siedział chwilę pogrążony w myślach. Potem podniósł wzrok.

— Jego ekscelencja otrzymał dziś list z żądaniem okupu. Napisany na nowej maszynie marki corona. Poczta Portsmouth. Ale to jest zmylenie tropu.

— Gdzie i jak? — zapytał Adam.

— Na skrzyżowaniu, dwie mile na północ od Alderton Priors. To są nagie wrzosowiska. Koperta z pieniędzmi ma zostać włożona pod kamień za kabiną Związku Automobilowego o drugiej po północy.

— Ile?

— Dwadzieścia tysięcy. — Potrząsnął głową. — Pachnie mi amatorstwem.

— Co zamierza pan zrobić? — spytała panna Bulstrode.

Inspektor Kelsey spojrział na nią. Zmienił się zupełnie. Okrył się płaszczem oficjalnej powściągliwości.

— Nie ja za to odpowiadam, proszę pani. Mamy swoje metody.

— Mam nadzieję, że będą uwieńczone powodzeniem.

— To powinno być łatwe — rzekł Adam.

— Amatorstwo? — powiedziała panna Bulstrode, podchwytyjąc użyte przez nich słowo.

— Zastanawiam się...

Potem powiedziała ostro:

— A co z moimi pracownikami? Co z tego wynika? Mogę im ufać, czy nie?

Kiedy inspektor zawahał się, zauważyła:

— Pan boi się, że jeśli ta kwestia okaże się niejasna, dam im to odczuć. Myli się pan. Nic zrobię tego.

— Nie podejrzewam pani o to, ale nie mogę pozwolić sobie na ryzyko. Na pierwszy rzut oka nie wydaje się, żeby któraś z pani pracownic mogła być poszukiwaną osobą. Przynajmniej o tyle, o ile mogliśmy je sprawdzić. Zwróciliśmy szczególną uwagę na te, które przysły w ostatnim okresie — to jest *mademoiselle* Blanche, pannę Springer i pani sekretarkę, pannę Shapland. Przeszłość panny Shapland jest całkowicie potwierdzona. Jest córką generała w stanie spoczynku, zajmowała stanowiska, o których mówi, a jej pracodawcy ręczą za nią. W dodatku ma alibi na ostatnią noc. Kiedy zginęła panna Vansittart, przebywała w nocnym klubie z panem Dennisem Rathbone. Oboje są tam dobrze znani, a pan Rathbone cieszy się doskonałą opinią. Sprawdziliśmy też przeszłość *mademoiselle* Blanche. Uczyła w szkole w północnej Anglii i w dwóch szkołach w Niemczech, i ma znakomite świadectwa. Określono ją jako pierwszorzędną nauczycielkę.

— Ale nie według naszych standardów — prychnęła pogardliwie panna Bulstrode.

— Prześledziliśmy również jej francuską przeszłość. Jeżeli chodzi o pannę Springer, sprawy nie są tak jednoznaczne. Odbywała praktykę tam, gdzie podaje, ale w okresach jej

zatrudnienia są niewyjaśnione luki. Ponieważ jednak została zabita — dodał — to chyba ją oczyszczają.

— Zgadzam się — odparła panna Bulstrode — że zarówno panna Springer, jak i Vansittart nic wchodzi w grę jako podejrzane. Mówmy rozsądnie. Czy *mademoiselle* Blanche, mimo nienagannej przeszłości, jest wciąż podejrzana głównie dlatego, że jeszcze żyje?

— Była w stanie popełnić oba morderstwa. Ostatniej nocy znajdowała się w budynku. Powiada, że poszła wcześniej spać i nie słyszała niczego, aż podniesiono alarm. — Nie ma dowodu, że było inaczej. Nic mamy nic przeciwko niej. Panna Chadwick twierdzi jednak stanowczo, że ta kobieta jest przebiegła.

Panna Bulstrode skinęła ręką ze zniecierpliwieniem.

— Panna Chadwick zawsze uważa nauczycielki francuskiego za przebiegłe. Ma coś na tym punkcie... — popatrzyła na Adama. — Co pan o tym sądzi?

— Myślę, że ta kobieta węszy. To może być zwykłe wścibstwo, ale może też być coś więcej. Nie potrafię się zdecydować. Nie wygląda mi na morderczynię, ale czy można być pewnym?

— O to chodzi — powiedział Kelsey. — Tutaj działa zabójca, bezlitosny morderca, który zabił już dwa razy, ale bardzo trudno uwierzyć, że to ktoś z personelu. Panna Johnson bawiła tej nocy u siostry w Limestone on Sea, a w każdym razie pracuje u pani od siedmiu lat. Panna Chadwick zaczynała razem z panią. Przy tym obie są czyste w przypadku śmierci panny Springer. Panna Rich jest tutaj ponad rok, a ostatniej nocy mieszkała w hotelu Alton Grange, dwadzieścia mil stąd. Panna Blake była u przyjaciół w Littleport, panna Rowan pracuje z panią od roku i ma dobrą przeszłość. Jeżeli chodzi o służbę, to szczerze mówiąc nie widzę nikogo z nich w roli mordercy. Wszyscy są miejscowi...

Panna Bulstrode skinęła przyjaźnie.

— Zgadzam się w zupełności z pańską argumentacją. Nie pozostaje zbyt wiele. Wobec tego... — przerwała i utkwiała oskarżycielskie spojrzenie w Adamie. — Rzeczywiście wygląda, jakby to był pan.

Młody człowiek zaskoczony otworzył usta.

— Jest pan na miejscu. Może się pan poruszać swobodnie... Ma pan dobrą historyjkę dla usprawiedliwienia swojej obecności tutaj. Świadczenia w porządku, ale mógłby pan być spryciarzem.

Adam oprzytomniał.

— Panno Bulstrode — powiedział z podziwem. — Chylę czoło przed panią. Myśli pani o wszystkim.

## II

— Wielki Boże! — krzyknęła pani Sutcliffe, siedząc przy śniadaniu. — Henry!

Dopiero co rozłożyła gazetę.

Dzieliła ją od męża całą szerokość stołu, ponieważ weekendowi goście nie pojawili się jeszcze na posiłku.

Pan Sutcliffe, który otworzył swoją gazetę na stronie poświęconej finansom i był pochłonięty nieprzewidzianymi ruchami pewnych akcji, nie odpowiedział.

— Henry!

Ostry głos dotarł do niego. Spojrzał zaskoczony.

— O co chodzi, Joan?

— O co chodzi? Następne morderstwo! W Meadowbank! W szkole Jennifer.

— Co? Zaraz, daj mi zobaczyć!

Nie zważając na uwagę żony, że informacja będzie także w jego gazecie, pan Sutcliffe sięgnął przez siódło i wyrwał żonie kartkę.

— Panna Eleanor Vansittart... sportowy pawilon... w tym samym miejscu, w którym nauczycielka gimnastyki panna Springer... hm... hm...

— Nic mogę w to uwierzyć! — lamentowała pani Sutcliffe. — Meadowbank. Taka ekskluzywna szkoła. Członkowie rodziny królewskiej...

Pan Sutcliffe zgniół gazetę i cisnął ją na stół.

— Jest tylko jedna rzecz do zrobienia — oświadczył. — Musisz natychmiast pojechać tam i zabrać Jennifer.

— Masz na myśli, żeby zabrać ją definitywnie?

— Właśnie to mam na myśli.

— Nie sądzisz, że to zbyt drastyczne? Po tym, jak Rosamond była taka dobra i załatwiła jej przyjęcie?

— Nie będziesz jedyną osobą, która to zrobi. Wkrótce w twoim drogocnym Meadowbank będzie mnóstwo wolnych miejsc.

— Och, Henry, naprawdę tak uważasz?

— Owszem. Dzieje się tam coś bardzo niedobrego. Zabierz Jennifer jeszcze dziś.

— Tak, oczywiście, przypuszczam, że masz rację. Co zrobimy z nią?

— Wyślij ją do trochę gorszej nowoczesnej szkoły, która będzie pod ręką. Nic ma tam morderstw.

— Och, Henry, także są. Nie pamiętasz? Chłopiec zastrzelił nauczyciela przyrody. Pisali o tym w zeszłym tygodniu w „News of the World”.

— Nie wiem, do czego Anglia zmierza — powiedział pan Sutcliffe.

Oburzony, rzucił serwetkę na stół i opuścił pokój.

### III

Adam był sam w pawilonie sportowym... Zręcznymi palcami przerzucał zawartość szafek. Było nieprawdopodobne, by znalazł coś tam, gdzie nie powiodło się policji, ale ostatecznie nigdy nie można być pewnym. Jak powiedział Kelsey, każdy wydział ma trochę odmienną technikę.

Co łączyło ten kosztowny, nowoczesny budynek z gwałtowną śmiercią? Pomysł spotkania odpadał. Nikt nie wybrałby w tym celu miejsca, w którym popełniono morderstwo. Trzeba zatem wrócić do myśli, że czegoś tam poszukiwano. Trudno przypuszczać, żeby to były klejnoty. To zdawało się wykluczone. Nic było tu żadnej kryjówki, szuflady z podwójnym dnem, odskakujących zatrzasków itd. Zawartość szafek była żałośnie zwyczajna. Zawierały sekrety, ale były to sekrety szkolnego życia. Fotografie idoli, paczki papierosów, pojedyncze egzemplarze tanich zakazanych książek. Szczególnie dokładnie zbadał szafkę Shaisty. Panna Vansittart została zabita, kiedy nachylała się nad tą właśnie szafką. Co spodziewała się znaleźć? I czy znalazła to? Czy zabójca wyjął tę rzecz z martwej ręki i wymknął się z budynku w samą porę, by uniknąć odkrycia przez pannę Chadwick?

Jeżeli tak było, sprawa wyglądała źle. Cokolwiek to było, przepadło.

Odgłos kroków na zewnątrz wyrwał go z zamyślenia. Stał na środku pomieszczenia, zapalając papierosa, kiedy Julia Upjohn pojawiła się w drzwiach i zawahała się.

— Panienska potrzebuje czegoś? — spytał Adam.

— Zastanawiam się, czy mogłabym wziąć moją rakietę tenisową.

— Czemu nie — odparł Adam. — Konstabl zostawił mnie tutaj — wyjaśnił kłamiwie. — Wskoczył po coś na posterunek. Powiedział, żebym został tu podczas jego nieobecności.

— Pewnie, żeby zobaczyć, czy on wróci.

— Konstabl?

— Nie. Myślałam o mordercy. Oni tak robią, prawda? Wracają na scenę zbrodni. Muszą to robić. To jest przymus.

— Może ma pani rację — odparł Adam. Przyjrzał się rzędom raket na regałach. — Która należy do pani?

— Pod literą U. Tam na końcu. Są na nich nasze nazwiska — wyjaśniła, wskazując kawałek plastra, gdy wręczał jej raketę.

— Wysłuzona — zauważył Adam. — Ale wciąż jeszcze dobra.

— Czy mogę wziąć też raketę Jennifer Sutcliffe?

— Nowa — powiedział Adam z uznaniem, wręczając

— Nowiutka. Ciotka przysłała ją zaledwie przed paroma dniami.

— Szczęściara.

— Powinna mieć dobrą raketę. Zapowiada się bardzo dobrze. Jej bekhend bardzo się poprawił podczas tego trymestru. — Rozejrzała się wkoło. — Myśli pan, że on wróci?

Dopiero po chwili Adam połapał się, o co chodzi.

— Ach, morderca? Nie sądzę. Trochę to ryzykowne, prawda?

— A więc nie uważa pan, że oni muszą to zrobić?

— Nie, chyba że coś pozostawili.

— Chodzi panu o klucz? Chciałabym znaleźć klucz. Może policja już go ma?

— Nie powiedzieliby mi.

— Nic. przypuszczam, że nie... Interesuje się pan zbrodnią?

Dziewczynka przyjrzała mu się badawczo. Odwzajemnił spojrzenie. Nic było w niej jeszcze nic z kobiety. Musiała być w wieku Shaisty, ale w jej oczach nic było niczego poza ciekawością.

— Wydaje mi się, że jeśli chodzi o te sprawy... chyba wszyscy są zaciekawieni.

Julia przytaknęła.

— Tak, też tak sądzę... Potrafię wymyślić najróżniejsze rozwiązania, ale większość z nich jest za bardzo skomplikowana. Jednak to bardzo zabawne.

— Nic lubiła pani panny Vansittart?

— Tak naprawdę, nigdy nic zastanawiałam się nad nią. Była w porządku. Troszkę jak Bull... panna Bulstrode, ale niezupełnie. Trochę jak dublerka w teatrze. To wcale nie jest zabawne, że nie żyje. Bardzo mi przykro.

Wyszła, trzymając dwie rakety.

Adam, zostawszy sam, rozejrzał się po pawilonie.

— Co, u diabła, mogło tu być? — mruknął do siebie.

## IV

— Ojej! — zawołała Jennifer, pozwalając, aby piłka Julii z forhendy minęła ją. — To mamusia.

Dziewczynki spojrzwały na zaaferowaną postać pani Sutcliffe, prowadzoną przez gestykulującą jak zwykle pannę Rich.

— Znowu będzie urwanie głowy — powiedziała Jennifer z rezygnacją. — Chodzi o to morderstwo. Szczęśliwa jesteś. Julio, że twoja matka siedzi spokojnie w autobusie na Kaukazie.

— Jest jeszcze ciocia Isabel.

— Ciotki nie myślą w ten sam sposób jak matki.

— Hallo. mamusiu — dodała, kiedy pani Sutcliffe nadeszła.

— Musisz pójść spakować swoje rzeczy, Jennifer. Zabieram cię ze sobą.

— Do domu?

— Tak.

— Ale... ale chyba nie na stałe? Nie na zawsze?

— Właśnie tak.

— Ależ nie możesz, naprawdę. Tenis idzie mi świetnie. Mam szansę na zwycięstwo w singlu, a z Julią mogłybyśmy wygrać w parach, choć to nie jest bardzo prawdopodobne.

— Jedziesz dzisiaj ze mną do domu.

— Dlaczego?

— Nie zadawaj pytań.

— Pewnie dlatego, że panna Springer i panna Vansittart zostały zamordowane. Ale nikt nie zamordował żadnej dziewczynki. Jestem pewna, że nie chcieliby tego. A Święto Sportu jest za trzy tygodnie. Mogę zwyciężyć w skoku w dal i mam szansę w biegu przez plotki.

— Nie spieraj się ze mną. Jennifer. Wracasz ze mną dzisiaj. Twój ojciec obstaje przy tym...

— Ale, mamusi...

Targując się uparcie. Jennifer poszła z matką w kierunku szkoły.

Nagle przerwała i wróciła biegiem na kort.

— Do widzenia, Julio. Wydaje mi się, że mamie kompletnie odbiło. Tatusiowi najwidoczniej też. Niedobrze się robi, nic? Do widzenia. Napiszę do ciebie.

— Napiszę do ciebie też i zawiadomię, co się dzieje.

— Mam nadzieję, że następna nie będzie Chaddy. Wolalabym raczej *mademoiselle* Blanche, a ty?

— Tak. Bez niej mogłybyśmy obejść się doskonale. Słuchaj, zauważyłaś, jak ponuro wygląda panna Rich?

— Nie powiedziała ani słowa. Jest wściekła, że mamusia mnie zabiera.

— Może jej wyperswaduje. Jest taka silna. Nie taka. jak inni.

— Przypomina mi kogoś — powiedziała Jennifer.

— Według mnie nie jest podobna do nikogo. Jest zupełnie inna.

— To prawda, jest inna. Mam na myśli wygląd. Osoba, o której mówię, była gruba.

— Nie potrafię wyobrazić sobie panny Rich grubej.

— Jennifer... — zawołała pani Sutcliffe.

— Rodzice są tacy męczący — oświadczyła Jennifer ze złością. — Ciągłe robią zamieszanie. Nie mogą przestać. Uważam, że masz szczęście...

— Wiem. Już to mówiłaś. Ale pozwól mi powiedzieć, że właśnie w tym momencie wolalabym, żeby mamusia była znacznie bliżej, a nie w autobusie w Anatolii.

— Jennifer...

— Idę...

Julia szła powoli w kierunku pawilonu sportowego. Jej kroki stawały się coraz wolniejsze, aż wreszcie stanęła zupełnie. Stała ze zmarszczonymi brwiami, pogrążona w myślach.

Rozległ się dzwonek na lunch, ale dziewczynka ledwie go usłyszała. Patrzyła na trzymaną rakietę, zrobiła parę kroków po ścieżce, wreszcie zawróciła i ruszyła zdecydowanie ku domowi. Weszła przez frontowe drzwi, czego nie należało robić i dzięki temu uniknęła spotkania z innymi dziewczętami. Hali był pusty. Wbiegła schodami do swojej sypialni, rozejrzała się szybko, potem podniosła materac i wepchnęła raketę pod spód. Przyglądziła włosy i skromnie zeszła do jadalni.



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

### GROTA ALADYNA

#### I

Tego wieczoru dziewczynki udawały się na spoczynek spokojniej niż zwykle. Po pierwsze ich liczba została znacznie uszczuplona. Ponad trzydzieści uczennic wyjechało do domu. Wśród pozostałych panowały podniecenie, lęk, pewna skłonność do chichotów spowodowane nerwowością, ale niektóre były ciche i zamyślane.

Julia Upjohn udała się spokojnie na górę z pierwszą falą koleżanek. Weszła do pokoju, zamykając drzwi. Stała chwilę, słuchając szeptów, chichotów, kroków i pożegnań. Potem zapadła cisza, albo niemal cisza. W oddali słychać było stłumione głosy i kroki idących do łazienki.

W drzwiach nie było klucza. Julia przysunęła do nich krzesło, wciskając oparcie pod klamkę. To mogłoby ją zaalarmować, gdyby ktoś chciał wejść. Prawdopodobieństwo było niewielkie. Obowiązywał surowy zakaz wchodzenia do cudzych pokoi, a jedyną osobą, która to robiła, była panna Johnson, i tylko w przypadku choroby dziewczynek, albo innych kłopotów.

Julia podeszła do łóżka i sięgnęła pod materac. Wyciągnęła rakietę i trzymała ją chwilę. Zdecydowała się zbadać ją właśnie teraz. Kiedy wszystkie światła zgasną, blask pod jej drzwiami mógł zwrócić uwagę. Teraz była pora, kiedy światła były zapalone, aby rozebrać się lub czytać w łóżku, jeśli się miało ochotę, aż do pół do jedenastej.

Stała, wpatrując się w trzymaną rakietę. W jaki sposób można było coś w niej schować?

— A jednak coś w niej musi być — powiedziała do siebie. — Włamanie do domu Jennifer, kobieta, która zjawiała się z tą głupią historią o nowej rakiecie...

„Tylko Jennifer mogła w to uwierzyć”, pomyślała Julia pogardliwie.

Nie, to była zamiana „nowej lampy na starą” i oznaczała, jak u Aladyna, że w tej właśnie rakiecie coś jest. Dziewczynki nie wspomniały nikomu o wymianie, przynajmniej Julii nic nie było o tym wiadomo.

A więc chyba naprawdę to była rakietka, której wszyscy szukali w sportowym pawilonie. I od niej zależało, czy odkryje dla czego! Obejrzała sprzęt starannie. Nie było w nim nic nadzwyczajnego. Była to rakietka dobrej jakości, trochę zużyta, ale mająca nowy naciąg i doskonale nadająca się do użytku. Jennifer uskarżała się na zły balans.

Jedynym miejscem w rakiecie tenisowej, w którym można coś ukryć, jest rękojeść. Przypuszczalnie można ją wydrążyć, robiąc skrytkę. Bardzo to wymyślne, ale możliwe. A gdyby uchwyt został przerobiony, zapewne pojawiłyby się kłopoty z wyważeniem.

Koniec rękojeści był obciążony skórą, której wytłoczenia zostały niemal zupełnie wytarte. Skóra była oczywiście tylko naciągnięta. A gdyby ją usunąć? Julia usiadła przy toalecie i zaatakowała skórę nożem do papieru, szybko ją ściągając. Wnętrze było otoczone cienką warstwą drewna. Nie wyglądało solidnie. Wzdłuż całego uchwytu widać było spoinę. Julia zaczęła dłubać nożem. Ostrze złamało się. Nożyczki do paznokci nadały się lepiej. Wreszcie udało się jej rozdzielić obie części.

Ukazała się pstra, czerwono-niebieska substancja. Dziewczynka zbadała ją i doznała olśnienia: plastelina! Ale przecież uchwyty raket tenisowych normalnie nie zawierają plasteliny? Chwyliła mocno nożyczki i zaczęła wydłubywać kolorową masę... Coś w niej tkwiło. Coś jakby guziki lub kamyczki.

Energicznie zabrała się do plasteliny. Mały przedmiot wypadł na stół. Potem jeszcze jeden. Niebawem zebrała się cała kupka.

Julia wyprostowała się i złapała oddech. Patrzyła i patrzyła...

Płynny ogień, czerwony, zielony, szafirowy i oślepiająco biały...

W tym momencie Julia dojrzała. Nie była już dzieckiem, stała się kobietą. Kobieta, patrzącą na klejnoty... Strzępy dziwnych myśli przemknęły jej przez głowę. Grota Aladyna... Małgorzata i szkatułka klejnotów... (W zeszłym tygodniu były w Covent Garden na Fauście)... Kamienie przynoszące nieszczęście... diament Hope'a... Romans... ona sama w czarnej aksamitnej sukni z lśniącym naszyjnikiem na szyi...

Siedziała napawając się widokiem i marząc... Brała kamienie i pozwalala im przesypywać się przez palce strumyczkiem ognia, cudownym i świetlistym.

A potem coś, może cichy dźwięk, oprzytomnił ją. Siedziała zastanawiając się, próbując posłużyć się zdrowym rozsądkiem i zdecydować, co powinna zrobić. Zaalarmował ją słaby odgłos. Zgarnęła kamienie, zniosła do umywalki, wrzuciła do woreczka na gąbkę, wkładając na wierzch gąbkę i szczoteczkę. Potem wróciła do rakiety, upchnęła na powrót plastelinę, nałożyła drugą część rękocieczki i spróbowała przylepić znowu pokrycie. Skóra marszczyła się, ale udało się pokonać jej opór za pomocą cienkich pasków przylepca.

Zrobione. Rakietka wyglądała jak poprzednio i mogła być używana, różnica wagi była ledwie wyczuwalna. Przyjrzała się jej i cisnęła beztrząsowo na krzesło.

Popatrzyła na schludnie zasłane i czekające łóżko, ale nie rozebrała się. Zamiast tego usiadła, nasłuchując. Czyżby to był odgłos kroków?

Niespodziewanie poznała strach. Dwie osoby zostały zamordowane. Gdyby ktoś dowiedział się, co znalazła, zostałaby również uśmiercona.

W pokoju stała dość ciężka dębowa komoda. Zdołała przeciągnąć ją przed drzwi, życząc sobie serdecznie, by w Meadowbank były klucze w zamkach. Podeszła do okna i zamknęła je. W pobliżu okna nie rosły drzewa ani pnącza. Wątpiła, by ktoś dostał się tą drogą, ale nie zamierzała dać mu szansy.

Spojrzała na swój mały zegarek. Pół do jedenastej. Zaczepnęła głęboko tchu i zgasiła światło. Nikt chyba nie zauważył nic niezwykłego. Odsunęła trochę zasłonę. Była pełnia księżycy i widziała doskonale drzwi. Usiadła na brzegu łóżka, ściskając w ręku najmocniejszy z posiadanych butów.

— Jeżeli ktoś będzie usiłował dostać się do pokoju — powiedziała sobie — będę waliła w ścianę tak mocno, jak potrafię. Mary King mieszka obok i to ją obudzi. I będę wrzeszczeć na całe gardło. Wtedy przyjdzie mnóstwo ludzi i powiem, że miałam zły sen po tym wszystkim, co się zdarzyło.

Siedziała, a czas mijał. Usłyszała ciche kroki na korytarzu. Zatrzymały się przy jej drzwiach. Nastąpiła długa przerwa, a potem klamka poruszyła się powoli.

Miała już krzyknąć? Jeszcze nie.

Drzwi zostały pchnięte. Skrzypnęły, ale komoda zatrzymała je. To musiało zaskoczyć osobę na zewnątrz.

Znowu nastąpiła przerwa, potem rozległo się pukanie, bardzo delikatne pukanie do drzwi.

Julia wstrzymała oddech. Cisza, i znowu pukanie powtórzyło się, jeszcze cichsze i bardziej stłumione.

— „Śpię”, powiedziała Julia do siebie. „Nie słyszę niczego”.

Kto mógł przyjść i pukać do jej drzwi w środku nocy? Jeżeli to ktoś, kto ma do tego prawo, zawoła, zacznie stukać klamką, narobi hałasu. Ale ta osoba chyba nie śmiała hałasować...

Przez długi czas Julia siedziała nieporuszona. Pukanie nie powtórzyło się, a klamka nie drgnęła. Ale dziewczynka siedziała napięta i czujna.

Siedziała tak bardzo długo. Nie wiedziała, ile trwało, zanim zmorzył ją sen. Szkolny dzwonek obudził ją skurczoną w niewygodnej pozycji na skraju łóżka.

## II

Po śniadaniu dziewczynki udały się na górę ścielić łóżka, potem zeszły do dużego hallu na modlitwę, wreszcie rozpierchły się po klasach.

Podczas zamieszania, kiedy uczennice śpieszyły w różnych kierunkach, Julia weszła do jednej z klas, wyszła innymi drzwiami, przyłączyła się do grupy idącej wokół domu, schowała się za rododendrony, wykonała serię strategicznych uników i wreszcie dotarła do muru otaczającego teren szkoły, gdzie lipa miała gruby konar tuż przy ziemi. Wspięła się na drzewo z łatwością, bo przecież robiła to całe życie. Ukryta całkowicie w gęstwinie liści, patrzyła od czasu do czasu na zegarek.

Była pewna, że nikt nie zauważy jej nieobecności. W szkole panował chaos, brakowało dwóch nauczycielek, a ponad połowa uczennic pojechała do domu. To oznaczało, że wszystkie grupy muszą zostać zreorganizowane, więc nikt nie będzie w stanie dostrzec nieobecności Julii Upjohn, aż do pory lunchu, a do tego czasu...

Spojrzała jeszcze raz na zegarek, zsunęła się po drzewie do poziomu muru, usiadła na nim okrakiem i gładko opuściła się na drugą stronę. Sto metrów dalej był przystanek autobusowy, a autobus miał nadjechać za parę minut. Przybył punktualnie, Julia zatrzymała go i wsiadła, mając na rozwichrzonych włosach piłśniowy kapelusz, wyciągnięty spod bawełnianej sukienki.

W swoim pokoju zostawiła list do panny Bulstrode, oparty na umywalce:

Szanowna Panno Bulstrode

nie zostałam porwana, ani nie uciekłam, więc proszę się nic niepokoić. Wrócę tak szybko, jak się da.

Oddana Julia Upjohn

## III

W domu pod numerem 228 na Whitehouse Mansions, George, nieskazitelny lokaj Herkulosa Poirota, otworzył drzwi i przyjrzał się z pewnym zdziwieniem dziewczynce z wybrudzoną buzią.

— Czy mogłabym zobaczyć się z panem Herkulesem Poirotem?

George potrzebował na odpowiedź trochę więcej czasu niż zwykle. Osoba gościa zaskoczyła go.

— Pan Poirot nie przyjmuje nikogo bez wcześniejszego uzgodnienia.

— Obawiam się, że nie mam na to czasu. Naprawdę muszę zobaczyć się z nim zaraz. To bardzo pilne. Chodzi o morderstwa i rabunek.

— Muszę upewnić się, czy pan Poirot przyjmie panią.

Zostawił ją w hallu i odszedł, aby porozumieć się ze swoim panem.

— Pewna młoda dama chce się pilnie zobaczyć z panem, sir.

— Jaka młoda dama?

— Powiedziałbym, proszę pana, że jest to raczej dziewczynka.

— Dziewczynka? Młoda dama? Co chcesz powiedzieć, George? To absolutnie nie jest to samo.

— Obawiam się, że nie zrozumiał mnie pan w pełni, sir. Powiedziałbym, że jest dziewczynką, uczennicą. Ale choć jej sukienka jest brudna i wręcz podarta, niewątpliwie jest młodą damą.

— Rozumiem, że to termin socjologiczny.

— I chce widzieć się z panem w sprawie jakichś morderstw i rabunku.

Poirot podniósł brwi.

— Jakież morderstwa i rabunek. Osobliwe. Wprowadź tę dziewczynkę, tę młodą damę.

Julia weszła do pokoju tylko odrobinę onieśmielona. Odezwała się grzecznie i zupełnie swobodnie.

— Dzień dobry, panie Poirot. Jestem Julia Upjohn. Myślę, że zna pan bliską przyjaciółkę mamusi, panią Summerhayes. Mieszkałyśmy u niej zeszłego lata i wiele o panu opowiadała.

— Pani Summerhayes... — Poirot wrócił myślą do małego miasteczka, położonego na zboczu wzgórza i do domu na szczycie tego wzniesienia. Wspomniał uroczą, piegowaną twarz, kanapę z połamanymi sprężynami, masę psów i inne rzeczy, miłe i niemiłe.

— Maureen Summerhayes — powiedział. — Ach tak.

— Ja nazywam ją ciocią Maureen, ale ona nie jest wcale moją ciotką. Opowiedziała nam, jaki był pan cudowny i ocalił pan człowieka siedzącego w więzieniu za morderstwo i kiedy nic mogłam wymyślić, co robić i dokąd pójść, przyszedł mi do głowy pan.

— Jestem zaszczycony — oświadczył Poirot poważnie.

Przysunął jej krzesło.

— A teraz powiedz mi — zaczął. — George, mój służący przekazał mi, że pragniesz się poradzić w sprawie rabunku i pewnych morderstw; chodzi zatem o więcej niż jedno morderstwo?

— Tak — odparła Julia. — O pannę Springer i pannę Vansittart. I, oczywiście, jest jeszcze porwanie, ale nie sądzę, że to moja sprawa.

— Zaskakujesz mnie — rzekł Poirot. — Gdzie miały miejsce te wszystkie emocjonujące zdarzenia?

— W mojej szkole, w Meadowbank.

— Meadowbank! — wykrzyknął detektyw. — Ach! — Wyciągnął jedną z leżących obok gazet. Rozłożył ją i popatrzył na pierwszą stronę, kiwając głową.

— Zaczynam pojmować. Teraz, Julio, opowiedz mi wszystko od początku.

Julia opowiedziała. Była to długa, szczegółowa relacja, ale przedstawiona jasno, ze sporadycznymi dygresjami, kiedy musiała się cofać do rzeczy zapomnianych.

Doprowadziła opowieść do momentu badania rakiety w sypialni ostatniego wieczoru.

— Widzi pan, pomyślałam, że podobnie było z Aladynem: zamiana starej lampy na nową, i że z tą rakieta musi być coś nie w porządku.

— I tak było?

— Tak.

Bez fałszywej skromności Julia podniosła spódniczkę, podwinęła nogawkę długich reform niemal do pachwiny, ukazując coś w rodzaju szarego kataplazmu, przymocowanego przylepcem do górnej części jej nogi.

Zdarła paski plastra, wydając bolesne auu! i odczepiła kataplazm, który okazał się pakietem, owiniętym w część plastikowego worka na gąbkę. Julia rozpakowała zawiniątko i bez ostrzeżenia wysypała na stół kupkę lśniących kamieni.

— *Nom d'im nom d'un nom!*\* — wyszeptał ze zgrozą Poirot.

Podniósł klejnoty i przesypał przez palce.

— *Nom d'un nom d'un nom!* One są prawdziwe. Autentyczne.

Julia skinęła głową.

— Uważam, że muszą być prawdziwe. Inaczej ludzie nie zabijaliby się dla nich, prawda? Rozumiem jednak, że mogą się zabijać dla t e g o .

Nagle, jak ostatniego wieczoru z oczu dziecka wyjrzała kobieta.

Poirot popatrzył na nią bystro i przytaknął.

— Tak, czujesz się oczarowana. Nie mogą być dla ciebie tylko kolorowymi szkiełkami

---

\* fr. To niemożliwe!

— To są klejnoty! — powiedziała Julia z zachwytem.

— I znalazłaś je w rakiecie tenisowej? Julia dokończyła relację.

— Opowiedziałas mi już wszystko?

— Chyba tak. Może gdzieś tam przesadziłam troszkę. Czasem to mi się zdarza. A Jennifer, moja najlepsza przyjaciółka, odwrotnie. Najbardziej emocjonujące rzeczy potrafi przedstawić nudno. — Znowu spojrzała na migoczący stosik. — Panie Poirot, do kogo one naprawdę należą?

— To będzie prawdopodobnie trudno ustalić. Nie należą do ciebie ani do mnie. Musimy zdecydować, co teraz zrobić.

Dziewczynka patrzyła na niego oczekująco.

— Oddajesz sprawę w moje ręce? Dobrze. Przymknął oczy.

Nagle otworzył je i stał się energiczny.

— Wydaje się, że tym razem nie będę mógł pozostać w swoim fotelu, tak jak lubię. Porządek i metoda są najważniejsze, ale w twoim opowiadaniu nic ma porządku ani metody. Mamy zbyt wiele wątków. Wszystkie jednak zbiegają się w jednym miejscu, w Meadowbank. Ludzie mający różne cele i reprezentujący odmienne interesy, wszystko skupia się w Meadowbank. A co do ciebie, gdzie jest twoja matka?

— Mamusia pojechała autobusem do Anatolii.

— Ach twoja matka pojechała autobusem do Anatolii. *Il ne manquait que ça!*\* Uświadamiam sobie, że jest przyjaciółką pani Summerhayes! Powiedz mi, podobało ci się u niej?

— O tak, było bardzo zabawnie. Ma kilka pięknych psów.

— Psy, tak, pamiętam dobrze.

— Wpadają i wychodzą przez okna, jak w pantomimie.

— Masz rację! A jedzenie? Smakowało ci?

— Czasami było trochę dziwne — zgodziła się Julia.

— Tak, właśnie dziwne.

— Ale ciocia Maureen robi bombowe omlety.

— Robi bombowe omlety. — W głosie Poirota zabrzmiała nutka szczęścia. Westchnął.

— A więc Herkules Poirot nie żył na próżno — powiedział. — To ja nauczyłem ciocię Maureen smażyć omlety. — Podniósł słuchawkę telefoniczną.

— Musimy uspokoić twoją złą nauczycielkę, że jesteś bezpieczna i zapowiedzieć nasz przyjazd do Meadowbank.

— Ona wie, że nic mi się nie stało. Zostawiłam list, że nie porwano mnie.

— Niemniej ponowne zapewnienie ją ucieszy. Połączono go i dowiedział się, że panna Bulstrode jest na linii.

— Panna Bulstrode? Moje nazwisko Herkules Poirot. Jest u mnie pani wychowanka, Julia Upjohn. Zamierzam natychmiast przyjechać z nią samochodem, i proszę zawiadomić oficera policji prowadzącego sprawę, że pewien wartościowy pakiet został złożony bezpiecznie w banku.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Julię.

— Czy chciałabyś syropu?

— Syropu na kaszel?

— Nie, syropu owocowego. Czarna porzeczka, malina, *groseille*, to znaczy czerwona porzeczka?

Julia wybrała czerwoną porzeczkę.

— Ale klejnoty nie są w banku — wytknęła mu.

---

\* fr. Tylko tego by brakowało!

— Znajdą się tam bardzo szybko — zapewnił Poirot. — Korzystne jest, aby każdy, kto słucha tej rozmowy w Meadowbank lub ją podsłuchuje, a także osoba, której rozmowa zostanie powtórzona, pomyślał, że są już w banku i nie pozostają dłużej w twoim posiadaniu. Wydostanie kamieni z banku wymaga czasu i organizacji. A mnie bardzo by się nie podobało, gdyby coś ci się przytrafiło, moje dziecko. Przyznaję, że wyrobiłem sobie wysoką opinię o twojej odwadze i pomysowości.

Julia wyglądała na zadowoloną, ale i zakłopotaną.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

### NARADA

#### I

Herkules Poirot przygotował się na to, że będzie musiał przełamać wyspiarskie uprzedzenia, jakie dyrektorka szkoły mogła mieć w stosunku do wiekowego obcokrajowca, w spiczastych lakierkach i z ogromnymi wąsami. Został przyjemnie zaskoczony. Panna Bulstrode powitała go z kosmopolitycznym opanowaniem. Ku jego zadowoleniu, wiedziała również o nim wszystko.

— To bardzo miło z pana strony — powiedziała — że zadzwonił pan tak szybko, aby nas uspokoić, tym bardziej, że zaledwie zaczęliśmy się niepokoić. Wiesz, Julio, nie zauważyliśmy twojej nieobecności na lunchu — dodała, zwracając się do dziewczynki. — Dziś rano wyjechało tak wiele dziewcząt i było tyle luk przy stołach, że pół szkoły mogło zniknąć bez wzbudzenia podejrzeń. To są niezwykle okoliczności — wyjaśniła, zwracając się do Poirota. — Zapewniam pana, że zazwyczaj nie ma u nas takiego nieporządku. Po rozmowie telefonicznej poszłam do pokoju Julii i znalazłam pozostawiony list.

— Nie chciałam, żeby pomyślała pani, że zostałam porwana.

— Doceniam to, ale uważam, że mogłaś powiedzieć mi, co zamierzasz zrobić.

— Wydało mi się, że lepiej tego nie robić — odrzekła dziewczynka i dodała nieoczekiwanie: *Les oreilles ennemies nous écoutent\**.

— *Mademoiselle* Blanche nie zdążyła jeszcze poprawić twego akcentu — powiedziała panna Bulstrode wesoło. — Ale nie wytykam ci tego, Julio. — Spojrzała znowu na detektywa. — Teraz, jeśli pan pozwoli, chciałabym usłyszeć dokładnie, co się zdarzyło.

— Pozwoli pani? — spytał Poirot. Podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał. Zamknął je przesadnie głośno. Wrócił na miejsce rozpromieniony.

— Jesteśmy sami — oświadczył tajemniczo. — Możemy kontynuować.

Panna Bulstrode popatrzyła na Poirota, potem na drzwi i znowu na detektywa. Jej brwi uniosły się. Poirot odwzajemnił jej spojrzenie. Starsza dama bardzo powoli pochyliła głowę. Potem odzyskując pogodny nastrój zwróciła się do dziewczynki. — Dalej, Julio, posłuchajmy tej historii.

Julia pogrążyła się w opowiadaniu. Zamiana rakiet, tajemnicza kobieta. Na koniec odkrycie zawartości rakiety. Panna Bulstrode zwróciła się pytająco do detektywa. Skinął dyskretnie głową.

— *Mademoiselle* Julia przedstawiła wszystko dokładnie — potwierdził. — Zaopiekowałem się tym, co mi przyniosła. Wszystko zostało bezpiecznie ulokowane w banku. W związku z tym nie należy przewidywać następnych przykrych wydarzeń w szkole.

— Rozumiem — rzekła panna Bulstrode — Tak, rozumiem... — Milczała chwilę, potem zapytała: — Uważa pan, że to mądre zostawiać Julię w szkole? Może lepiej odesłać ją do ciotki w Londynie?

— Och, proszę — wtrąciła się Julia. — Proszę pozwolić mi zostać!

— Więc jest ci tu dobrze?

— Uwielbiam szkołę. A poza tym tu się dzieją takie podniecające rzeczy.

— To nie jest normalny obraz Meadowbank — zauważyła sucho panna Bulstrode.

— Według mnie teraz Julii nie grozi niebezpieczeństwo — powiedział Poirot spoglądając ku drzwiom.

---

\* fr. ściany mają uszy.

— Chyba rozumiem — rzekła panna Bulstrode.

— Mimo wszystko trzeba zachować dyskrecję. Mam nadzieję, że to rozumiesz? — zapytał Julię.

— Pan Poirot ma na myśli, że chciałby, abyś trzymała język za zębami na temat tego, co znalazłaś. Potrafisz milczeć?

— Tak — odparła Julia.

— To byłaby bardzo piękna historia do opowiedzenia przyjaciółkom — podkreślił Poirot.

— O tym, co znalazłaś w środku nocy w rakiecie. Są jednak bardzo ważne powody, by jej nie opowiadać.

— Zrozumiałam.

— Mogę ci wierzyć, Julio? — spytała panna Bulstrode.

— Tak, proszę pani. Daję słowo.

Panna Bulstrode uśmiechnęła się. — Mam nadzieję, że twoja matka niedługo wróci.

— Mamusia? Och, leż mam nadzieję.

— Wiem od inspektora Kelseya, że robi się wszelkie starania, aby skontaktować się z nią. Niestety, tamtejszym autobusom zdarzają się niespodziewane spóźnienia i nie zawsze jeżdżą zgodnie z rozkładem.

— Ale mamusi mogę to opowiedzieć, prawda?

— Naturalnie. A więc, Julio, wszystko ustalone. Biegnij!

Julia wyszła. Zamknęła za sobą drzwi. Panna Bulstrode spojrzała surowo na Poirota.

— Wydaje mi się, że zrozumiałam pana właściwie. Przed chwilą urządził pan wielki spektakl z zamykaniem drzwi. W rzeczywistości rozmyślnie zostawił je pan uchylone. Poirot skinął głową.

— A więc to, o czym mówiliśmy, mogło zostać podsłuchane?

— Tak, jeżeli była tu osoba, która chciała podsłuchiwać. Wymagało tego bezpieczeństwo dziecka. Musi się rozejść wiadomość, że to, co znalazła, znajduje się bezpiecznie w banku, a nie w jej posiadaniu.

Panna Bulstrode popatrzyła na niego i zacisnęła usta.

— Musi nastąpić koniec tego wszystkiego — powiedziała.

## II

— Przyszło nam na myśl — rzekł komisarz — żeby zgromadzić wszelkie pomysły i informacje. Będziemy bardzo zadowoleni, jeżeli przyłączy się pan do nas, panie Poirot. Inspektor Kelsey dobrze pana pamięta.

— To było wiele lat temu — powiedział Kelsey. — Sprawą zajmował się nadinspektor Warrender. Ja byłem zupełnie niedoświadczonym sierżantem, znającym swoje miejsce.

— Tego dżentelmena, którego dla wygody nazywamy Adam Goodman, nie zna pan, ale, jak sądzę, zna pan jego... ee... szefa. Wydział Specjalny — dodał.

— Pułkownik Pikeaway? Ach tak, minęło już trochę czasu, od kiedy go widziałem. Wciąż taki senny? — zapytał Adama.

Adam zaśmiał się. — Widzę, że zna go pan rzeczywiście, panie Poirot. Nigdy nie widziałem go rozbudzonego. Gdy to się zdarzy, będę wiedział, że wreszcie nie zwraca uwagi na to, co się dzieje.

— Coś w tym jest. Dobre spostrzeżenie.

— Teraz przejdźmy do rzeczy — powiedział komisarz. — Nie będę się pchać naprzód, ani przedstawiać moich opinii. Jestem tu, by słuchać, co ludzie pracujący nad tą sprawą wiedzą i myślą. Istnieje wiele aspektów tej afery i o jednym chcę wspomnieć przede wszystkim. Mówię o tym jako o rezultacie pretensji zgłoszonych przez różne... ee... sfery. — Popatrzył



na Poirota. — Dajmy na to — powiedział — że mała dziewczynka, uczennica, przyszła do pana z bajeczką o znalezieniu czegoś w wydrążonej rączce rakiety tenisowej. Bardzo to ją podekscytowało. Zbiór, powiedzmy, kolorowych kamyczków, strasu, dobrych imitacji, coś w tym rodzaju, a nawet kamieni półszlachetnych, które często wyglądają bardzo atrakcyjnie. W każdym razie czegoś, czego znalezienie wydałoby się dziecku emocjonujące. Mogła nawet wyolbrzymiać sobie ich wartość. To zupełnie możliwe, prawda? — zwrócił się z naciskiem do Poirota.

— Wydaje mi się to zupełnie prawdopodobne — zgodził się detektyw.

— Dobrze. Ponieważ osoba, która wwozła te... hm... świecidełka do kraju, zrobiła to całkiem nieświadomie, nie chcemy żadnych problemów z kontrabandą. Istnieje jeszcze problem naszej polityki zagranicznej — ciągnął komisarz. — Dano mi do zrozumienia, że chodzi o sprawy, w chwili obecnej, dosyć delikatnej natury. Wielkie interesy dotyczące ropy naftowej czy złóż mineralnych musimy prowadzić niezależnie od tego, jaki rząd ma władzę. Nie życzymy sobie żadnych niewygodnych pytań. Nie można ukryć przed prasą morderstw i nie zostaną ukryte. Nie wolno jednak wspomnieć w związku z nimi o jakichkolwiek klejnotach. W każdym razie, obecnie nie ma takiej konieczności.

— Zgadzam się z panem, rzekł Poirot. — Trzeba zawsze mieć na uwadze możliwość międzynarodowych powikłań.

— Właśnie — powiedział komisarz. — Sądzę, że mam rację mówiąc, iż zmarły władca Ramatu uchodził za przyjaciela naszego kraju i władze chciałyby honorować jego życzenia, dotyczące wszelkiej jego własności, jaka mogłaby znaleźć się u nas. Jaką wartość przedstawia, na razie jak rozumiem, nikt nie wie. Jeżeli rząd w Ramacie domaga się pewnych przedmiotów, które uważa za swój majątek, to jest znacznie lepiej, jeżeli my nie wiemy nic na ten temat. Zwyczajna odmowa byłaby nietaktem.

— W dyplomacji nic istnieje coś takiego, jak zwyczajna odmowa — powiedział Herkules Poirot. — Zamiast tego mówi się, że sprawie poświęci się najwyższą uwagę, ale do tej pory nie wiadomo nic określonego o jakimkolwiek małym, powiedzmy, depozycie, który zmarły władca Ramatu miał posiadać. Może pozostawać jeszcze w Ramacie, przechowywany przez jakiegoś wiernego przyjaciela księcia Alego Yusufa, mógł zostać wywieziony z kraju przez pół tuzina innych osób. może leż być ukryty gdzieś w mieście Ramat. — Wzruszył ramionami. — Po prostu nic nie wiadomo.

Komisarz westchnął: — Dziękuję. To właśnie miałem na myśli. Panie Poirot, ma pan przyjaciół w najwyższych sferach naszego kraju. Oni mają do pana pełne zaufanie. Nieoficjalnie chcieliby zostawić pewne przedmioty w pana rękach, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Nie mam — oświadczył Poirot. — Pozostańmy więc na tym. Mamy ważniejsze sprawy do rozważenia, prawda? — Rozejrzał się. — A może panowie są innego zdania? Bo mimo wszystko, czym jest trzy czwarte miliona funtów w porównaniu z ludzkim życiem?

— Ma pan rację — rzekł komisarz.

— Absolutnie ma pan rację — dodał inspektor Kelsey. — Musimy znaleźć mordercę. Chętnie wysłuchamy pańskiego zdania, ponieważ sprawa leży w dużej mierze w sferze domysłów, a pańskie domysły są równie dobre, jak każdego z nas, a czasem lepsze. Cała historia przypomina kłębek splątanej włóczki.

— Znakomicie powiedziane — zgodził się Poirot. — Trzeba wziąć ten kłębek i wyciągnąć potrzebny kolor, kolor mordercy. O to chodzi?

— Tak jest.

— Proszę mi więc zrelacjonować, jeśli powtarzanie pana nie nudzi, wszystkie dotychczas znane fakty.

Usadowił się wygodnie, aby wysłuchać inspektora Kelseya i Adama Goodmana oraz krótkiego podsumowania komisarza. Potem odchylił się w fotelu, przymknął oczy i pokiwał głową:

— Dwa morderstwa popełnione w tym samym miejscu i z grubsza rzecz biorąc, w tych samych warunkach. Jedno uprowadzenie dziewczyny, która mogła być centralną postacią całej intrygi. Ustalmy najpierw, dlaczego została porwana.

— Proszę posłuchać, co ona sama mówiła. Kiedy Kelsey skończył. Poirot stwierdził:

— To nie ma sensu.

— Tak właśnie wtedy pomyślałem. Szczerze mówiąc, wydało mi się, że dziewczyna chce zrobić wokół siebie sensację...

— Ale pozostaje faktem, że ją porwano. Dlaczego?

— Było żądanie okupu... — powiedział inspektor wolno — ale... — przerwał.

— Ale musiało być lipne, co? Zostało wysłane tylko po to, by podtrzymać teorie uprowadzenia?

— Tak. Do spotkania nie doszło.

— Zatem Shaistę porwano z innego powodu. Jakiego?

— Żeby powiedziała, gdzie są ukryte te... kosztowności? — zaryzykował Adam.

Poirot potrząsnął głową.

— Nic wiedziała tego — zwrócił uwagę. — To przynajmniej jest jasne. Nie, musi być coś innego...

Jego głos zamarł. Siedział chwile pogrążony w myślach. Potem wyprostował się i zadał pytanie.

— Jej kolana. Czy zwrócił pan uwagę na jej kolana? Adam gapił się na niego zdumiony.

— Nie — odparł. — Czemu miałbym się im przyglądać?

— Jest wiele powodów, dla których mężczyzna zwraca uwagę na kolana dziewczyny. Niestety pan tego nie zrobił.

— Czy było coś nie w porządku z jej kolanami? Jakaś blizna, lub coś takiego? Nie mógłbym tego zobaczyć. Prawie cały czas noszą pończochy, a ich spódnice sięgają za kolana.

— Może na basenie?

— Nigdy jej tam nie widziałem. Pewnie za zimno dla niej. Przywykła do ciepłego klimatu. O co panu chodzi? O jakąś bliznę?

— Nie, nie, wcale nie o to. Cóż, szkoda. Zwrócił się do komisarza.

— Jeśli pozwoli pan, porozumiem się z moim przyjacielem, prefektem z Genewy. Przypuszczam, że będzie w stanie nam pomóc.

— Na temat czegoś, co się zdarzyło, kiedy była w tamtejszej szkole?

— Tak, to możliwe. Pozwoli pan? Dobrze. To tylko mały pomysł. — Przerwał i po chwili ciągnął. — Przy okazji, w gazetach nie było nic o porwaniu?

— Emir Ibrahim bardzo na to nalegał.

— Zauważyłem jednak małą notatkę w rubryce plotek. Coś o pewnej młodej cudzoziemskiej damie, która nagle opuściła szkołę. Początek romansu, jak sugeruje dziennikarz? Może zduszony w zarodku!

— To był mój pomysł — rzekł Adam. — Wydawało mi się, że to odpowiedni kierunek.

— Godne podziwu. A teraz przejdźmy od porwania do czegoś poważniejszego. Morderstwo. Dwa morderstwa w Meadowbank.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

### NARADA TRWA

#### I

— Dwa morderstwa w Meadowbank — powtórzył Poirot w zamyśleniu.

— Przedstawiliśmy panu fakty — powiedział Kelsey.

— Ma pan jakiś pomysł?

— Dlaczego pawilon sportowy? — zapytał Poirot.

— Zadawaliście sobie takie pytanie, prawda? — zwrócił się do Adama. — No cóż, teraz mamy odpowiedź. Dlatego, że znajdowała się tam rakietka tenisowa, zawierająca fortunę w klejnotach. Ktoś o tym wiedział. Kto taki? Mogła to być sama panna Springer. Mówiliście, że zachowywała się dziwnie, jeśli w grę wchodził pawilon. Nie lubiła, kiedy przychodziły tam nie upoważnione osoby. Szczególnie widoczne okazało się to w przypadku *mademoiselle* Blanche.

— *Mademoiselle* Blanche — powtórzył Kelsey z namysłem.

Herkules Poirot zwrócił się znowu do Adama.

— Czy uważał pan zachowanie *mademoiselle* Blanche, dotyczące pawilonu, za dziwne?

— Tłumaczyła się — odparł Adam. — Za bardzo się tłumaczyła. Nigdy nie kwestionowałbym jej prawa do przebywania tam, gdyby nie zadała sobie tyle trudu, żeby to wyjaśnić.

Poirot skinął głową.

— Właśnie. To z pewnością daje do myślenia. Wiemy jednak wszyscy, że panna Springer zginęła w pawilonie o pierwszej w nocy, kiedy nie miała tam nic do roboty.

Zwrócił się do Kelseya.

— Gdzie była panna Springer przed przybyciem do Meadowbank?

— Nie wiemy. Opuściła ostatnie miejsce pracy — wymienił głośną szkołę — latem. Gdzie była od tego momentu, nie wiemy. Nie było okazji do zapytania jej, zanim została zabita. Nie ma bliskich krewnych, ani, najwyraźniej, bliskich przyjaciół.

— Zatem mogła być w Ramacie — zauważył Poirot.

— Wydaje mi się, że w momencie, kiedy zaczęły się rozruchy, była tam wycieczka nauczycielek — rzekł Adam.

— Powiedzmy, że była tam i w jakiś sposób dowiedziała się o rakiecie. Przypuśćmy, że po odczekaniu krótkiego okresu dla zapoznania się ze zwyczajami Meadowbank, poszła pewnej nocy do pawilonu. Trzymała rakieta i zamierzała właśnie wyjąć klejnoty ze schowka, kiedy...

— przerwał — kiedy ktoś jej przeszkodził. Ktoś, kto ją obserwował? Poszedł za nią? Ktokolwiek to był, miał pistolet i zastrzelił ją, ale nie miał czasu wydobyć klejnotów ani zabrać rakiety, ponieważ zbliżali się ludzie, którzy usłyszeli wystrzał.

Przerwał.

— Myśli pan, że właśnie tak było? — zapytał komisarz.

— Nie wiem — odparł detektyw. — To jedna z ewentualności. Możliwe też, że osoba z pistoletem zjawiała się tam pierwsza i została zaskoczona przez pannę Springer. Był to ktoś podejrzewany już przez nauczycielkę. Mówiliście mi, że była właśnie taka. Lubiała odkrywać sekrety.

— A ta druga kobieta? — spytał Adam.

Poirot spojrzał na niego, potem przeniósł wzrok na obu mężczyzn.

— Wy nie wiecie — powiedział. — Ja nic wiem również. Czy mógł to być ktoś z zewnątrz?

Kelsey zaprzeczył.

— Według mnie nie. Zbadaliśmy sąsiedztwo bardzo starannie. Szczególnie, rzecz jasna, w przypadku obcych. W okolicy zatrzymała się pewna pani Kolinsky — znana dobrze Adamowi. Jednak nie można jej powiązać z żadnym z morderstw.

— Wracamy więc do Meadowbank. I jest tylko jedna metoda dojścia do prawdy — eliminacja.

Kelsey westchnął.

— Tak. Właśnie tak. Jeśli chodzi o pierwsze morderstwo, pole domysłów jest szerokie. Wszyscy niemal mogli zamordować pannę Springer, z wyjątkiem panny Johnson, panny Chadwick i dziewczynki, którą bolało ucho. Przy drugim morderstwie pole się zawęża. Panna Rich, panna Blake i panna Shapland są wyeliminowane. Panna Rich mieszkała w Alton, w hotelu Grange, dwadzieścia mil stąd, panna Blake była w Littleport on Sca, a panna Shapland bawiła w londyńskim nocnym klubie Nid Sauvage. z panem Dennisem Rathbone'cm.

— Panna Bulstrode także wyjechała?

Adam uśmiechnął się szeroko. Inspektor i komisarz wydawali się zaszokowani.

— Panna Bulstrode — oświadczył inspektor surowo — mieszkała u księżnej Welsham.

— To więc ją wyklucza — odparł Poirot poważnie.

— Kto wobec tego zostaje?

— Dwie osoby ze służby, śpiące w budynku szkolnym, pani Gibbon i dziewczyna, Doris Hogg. Nie potrafię wziąć poważnie pod uwagę żadnej z nich. Zostaje panna Rowan i *mademoiselle* Blanche.

— I uczennice.

Kelsey wydawał się zaskoczony.

— Chyba pan ich nie podejrzewa?

— Szczerze mówiąc nie. Ale trzeba być dokładnym. Kelsey nie zwracał uwagi na ścisłość. Mozolnie brnął dalej.

— Panna Rowan pracuje tutaj ponad rok. Ma dobrą opinię. Nie mamy nic, co świadczyłoby przeciw niej.

— Przejdźmy więc do *mademoiselle* Blanche. To jest koniec podróży.

Zapadła cisza.

— Nie ma żadnego dowodu — powiedział Kelsey.

— Jej świadectwa zdają się autentyczne.

— I mogą być — rzekł Poirot.

— Wtyka nos w cudze sprawy — zauważył Adam.

— Tylko że wścibstwo nie jest dowodem morderstwa.

— Czekać — wtrącił Kelsey. — Było coś o kluczu. Podczas pierwszego przesłuchania, zaraz sprawdę, mówiła coś o kluczu, który wypadł z zamka, a ona podniosła go i zapomniała włożyć. Wtedy przyszła Springer i wyrzuciła ją.

— Ktokolwiek chciał pójść tam w nocy i szukać rakiety, musiał mieć klucz — rzekł Poirot. — Dlatego konieczne było wzięcie odcisku.

— W takim przypadku nigdy nie wspomnieliby o incydencie z kluczem — odparł Adam.

— Niezupełnie — rzekł inspektor. — Panna Springer mogła opowiadać o tym. Jeśli tak, Francuzka zapewne uznała, że lepiej wspomnieć o tym zdawkowo.

— Ten punkt trzeba zapamiętać — podkreślił Poirot.

— To nas nie prowadzi daleko — powiedział Kelsey, patrząc pośpiesznie na Poirota.

— Jeżeli poinformowano mnie dokładnie, zostaje chyba jedna możliwość — oświadczył Poirot. Zrozumiałem że, matka Julii Upjohn rozpoznała tutaj kogoś w pierwszym dniu zajęć. Kogoś, czyj widok ją zaskoczył. Z kontekstu wynikało, że ta osoba była kiedyś związana z obcym wywiadem. Jeżeli pani Upjohn wskaże zdecydowanie *mademoiselle* Blanche, będziemy mogli kontynuować sprawę z większą pewnością.

— Łatwiej powiedzieć niż zrobić — rzekł Kelsey.

— Próbowaliśmy się już skontaktować z tą kobietą, ale to ciężki orzech do zgryzienia! Kiedy dziecko powiedziało nam o autobusie, sądziłem, że chodzi o wycieczkę autokarową, odbywającą się według ustalonego planu, której uczestnicy mają wspólne kwatery. Ale to nic w tym rodzaju. Ona jeździ lokalnymi autobusami według własnej fantazji! Nie robi tego z pomocą Cooka, ani żadnej znanej agencji turystycznej. Wędruje na własną rękę. Co można zrobić z taką kobietą? Może być wszędzie. Anatolia jest taka rozległa!

— Rzeczywiście, to nastęcza trudności — rzekł Poirot.

— Jest tyle pięknych autokarowych wycieczek — poskarżył się inspektor. — Załatwiają ci wszystko: noclegi, zwiedzanie i całe wyżywienie, tak że wiadomo dokładnie w każdej chwili, gdzie jesteś.

— Ale najwyraźniej taki sposób podróżowania nie ma uroku dla pani Upjohn.

— A tymczasem, co z nami? — ciągnął Kelsey.

— Jesteśmy załatwieni! Ta Francuzka może zwać w każdym momencie. Nie mamy podstawy do zatrzymania jej.

Poirot potrząsnął głową.

— Nie robi tego.

— Nie może pan być pewny.

— Jestem pewny. Jeżeli popełnił pan morderstwo, nic może pan wypaść z roli, gdyż zwróciłoby to uwagę na pana. *Mademoiselle* Blanche zostanie tu spokojnie aż do końca okresu.

— Mam nadzieję, że ma pan rację.

— Na pewno mam. Proszę pamiętać, że osoba widziana przez panią Upjohn, nie wie, że została rozpoznana. Kiedy dojdzie do spotkania, zaskoczenie będzie zupełne.

Kelsey westchnął.

— Jeśli to jest wszystko, musimy zaczynać...

— Są inne sposoby. Na przykład rozmowa.

— Rozmowa?

— To bardzo cenna metoda. Jeśli ktoś ma coś do ukrycia, wcześniej czy później powie za dużo.

— Zdradzi się? — komisarz był sceptyczny.

— To nie jest takie proste. Człowiek pilnuje rzeczy, które chce ukryć. Często jednak mówi za wiele na rozmaite odległe tematy. Są też inne korzyści z rozmowy. Niewinni ludzie posiadają często informacje, których ważności nie są świadomi. A to mi przypomina...

Podniósł się.

— Proszę mi wybaczyć. Muszę zapytać panny Bulstrode, czy jest tu ktoś, kto potrafi rysować.

— Rysować?

— Tak.

— No — powiedział Adam po wyjściu Poirota. — Najpierw dziewczęce kolana, a teraz rysunki. Ciekaw jestem, co jeszcze?

## II

Panna Bulstrode odpowiedziała na pytanie Poirota nie okazując zaskoczenia.

— Na lekcje rysunku przychodzi do nas panna Laurie. Dzisiaj niestety jej nie ma. Co miałyby panu narysować? — zwróciła się do niego miło, jak do dziecka.

— Twarze — odparł Poirot.

— Panna Rich dobrze szkicuje ludzi. Nieźle chwyta podobieństwo.

— Właśnie tego potrzebuję.

Panna Bulstrode, jak zauważył z zadowoleniem, nie chciała znać powodów jego życzenia. Po prostu wyszła z pokoju i wróciła z panną Rich.

Po wzajemnej prezentacji Poirot zapytał: — Potrafi pani szkicować ludzi? Ołówkiem? Szybko?

Eileen Rich przytaknęła

— Często to robię. Dla zabawy.

— Dobrze. Proszę mi narysować zmarłą pannę Springer.

— To będzie trudne. Znałam ją tak krótko. Ale spróbuję.

Zmrużyła oczy i zaczęła szybko rysować.

— *Bien* — rzekł Poirot, biorąc od niej kartkę. — A teraz, jeśli można prosić, pannę Bulstrode, pannę Rowan, *mademoiselle* Blanche i tak. ogrodnika Adama.

Panna Rich popatrzyła na niego podejrzliwie i zabrała się do pracy. Detektyw obejrzał rezultaty i skinął głową z zadowoleniem.

— Jest pani dobra, bardzo dobra. Załedwie kilka kresek i chwytła pani podobieństwo. A teraz poproszę panią o coś trudniejszego. Proszę zmienić uczesanie panny Bulstrode i kształt jej brwi.

Eileen przyglądała się mu, jakby sądziła, że zwariował.

— Nie — powiedział. — Nie oszalałem. Przeprowadzam eksperyment i to wszystko. Proszę spełnić moją prośbę.

Po chwili oświadczył:

— Wspaniale. Teraz proszę zrobić to samo z *mademoiselle* Blanche i panną Rowan.

Kiedy skończyła, ułożył trzy szkice rzędem.

— Pokażę coś paniom. Panna Bulstrode mimo wszelkich zmian jest niewątpliwie sobą. Proszę jednak spojrzeć na pozostałe rysunki. Te panie nie posiadają osobowości panny Bulstrode, wyglądają zatem zupełnie inaczej, prawda?

— Rozumiem, co ma pan na myśli — rzekła panna Rich.

Popatrzyła na niego, jak starannie składał szkice.

— Co pan zamierza zrobić z nimi? — spytała.

— Zamierzam je wykorzystać — odparł Poirot.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

### ROZMOWA

— Naprawdę nie wiem, co powiedzieć — rzekła pani Sutcliffe. — Po prostu nie wiem...

Przyglądała się detektywowi z wyraźną niechęcią.

— Henry”ego, rzecz jasna, nic ma w domu. Znaczenie tej wypowiedzi było nieco niejasne, ale

Poirot pomyślał, że wie, co miała na myśli. Czują, że Henry poradziłby sobie z tą sytuacją. Henry prowadził tak wiele międzynarodowych interesów. Stale latał na Bliski Wschód, do Ghany, do Ameryki Południowej i do Genewy, a nawet czasami, choć nie za często, do Paryża. — Cała ta historia — ciągnęła pani Sutcliffe — jest okropnie kłopotliwa. Byłam łak zadowolona, że mam Jennifer bezpieczną w domu. Choć muszę powiedzieć, dodała z odrobiną irytacji, że moja córka stała się naprawdę ogromnie męcząca. Robiła, wielką wrzawę o to, że idzie do Meadowbank, że to jej nie podoba, że szkoła jest snobistyczna i nie taka, do jakiej chciałaby chodzić, a teraz dąsa się całymi dniami o to, że ją zabrałam. Tego już za wiele.

— To jest niezaprzeczalnie bardzo dobra szkoła — rzekł Poirot. — Wiele osób twierdzi, że najlepsza w Anglii.

— Zapewne była.

— I znowu będzie.

— Tak pan myśli? — pani Sutcliffe spojrzała na niego z powątpiewaniem. Miły sposób bycia detektywa stopniowo rozbierał jej niechęć. Nic nie przynosi większej ulgi skołatanej matce, jak możliwość zrzucenia brzemienia porażek i zawiedzionych nadziei, które ustawicznie ją zaskakują. Lojalność często zmusza do cichej cierpliwości. Pani Sutcliffe czuła jednak, że w stosunku do obcokrajowca, jakim był Herkules Poirot, ta lojalność nie obowiązuje. Nie było to też podobne do rozmowy z matką innej córki.

— Meadowbank — zauważył Poirot — przechodzi właśnie niefortunny okres.

To była najlepsza rzecz, jaką potrafił wymyślić w tym momencie. Czuł całą niestosowność tego określenia i pani Sutcliffe rzuciła się na nią natychmiast.

— Chyba więcej niż niefortunny! Dwa morderstwa! I porwanie dziewczynki. Nie byłby pan w stanie wysłać swojej córki do szkoły, w której nauczycielki są raz po raz mordowane.

Ten punkt widzenia wydawał się niezwykle rozsądny.

— Gdyby morderstwa okazały się dziełem jednej osoby i ta osoba zostałaby złapana, to wyglądałoby inaczej, prawda?

— No, chyba tak — powiedziała pani Sutcliffe niepewnie. — Sądzę... Ma pan na myśli... och. uważa pan, że to ktoś taki jak Kuba Rozpruwacz, czy ten drugi mężczyzna, jak mu tam było? Kojarzy się z Devonshire. Cream? Neil Cream. Ten, który krążył i zabijał upadłe kobiety. Przypuszczam, że ten zabójca morduje regularnie nauczycielki! Jeżeli kiedyś wsadzicie go do więzienia i powiesicie, jak mam nadzieję, to dlatego, że pozwoliliście mu kogoś zamordować: tak, jak się mówi o psie, który gryzie. Och tak, jeśli go złapiecie, to sprawa będzie wyglądała inaczej. Oczywiście lam chyba nie ma wielu morderców, prawda?

— Mamy taką nadzieję — rzekł Poirot.

— Ale jest jeszcze to porwanie — podkreśliła pani Sutcliffe. — Nie chciałby pan wysłać córki do szkoły, z której można by ją porwać.

— Z pewnością nie, madame. Widzę, jak dokładnie przemyślała pani całą rzecz. Ma pani rację we wszystkim, co pani mówi.

Pani Sutcliffe wydawała się z lekka uradowana. Od dawna nikt nie powiedział jej podobnych słów. Henry mówił tylko: „Dlaczego musiałaś wysłać ją do Meadowbank?”, a Jennifer dąsała się i nic chciała się odzywać.

— Myślałam na ten temat — powiedziała. — Naprawdę bardzo dużo.

— Zatem nie mogę pozwolić, by niepokoiła się pani uprowadzeniem, madame. *Entre nous*<sup>\*</sup>, jeżeli mogę mówić w zaufaniu na temat księżniczki Shaisty... To nie jest, ściśle mówiąc, porwanie. Podejrzewa się romans...

— Chce pan powiedzieć, że ta paskudna dziewczyna uciekła, żeby kogoś poślubić?

— Mam usta zamknięte — odparł Herkules Poirot. — Rozumie pani, że skandal jest niepożądany. Zwierzam się w tajemnicę, *entre nous*. Wiem, że pani tego nie rozpowie.

— Oczywiście — oświadczyła pani Sutcliffe gorliwie. Popatrzyła na list od komisarza, przyniesiony przez detektywa. — Nie bardzo rozumiem, kim pan jest. panie... ee... Poirot. Czy jest pan, jak to nazywają w książkach, prywatnym detektywem?

— Jestem konsultantem — odparł Poirot dumnie. Aura Harley Street ośmieliła znacznie panią Sutcliffe.

— O czym chce pan rozmawiać z Jennifer? — zapytała.

— Tylko o pewnych jej wrażeniach. Jest dobrym obserwatorem?

— Obawiam się, że nie. Nie nazwałabym jej spostrzegawczym dzieckiem. Zawsze jest, taka rzeczowa.

— Lepsze to niż wymyślanie historii, które nigdy się nie zdarzyły.

— Och, tego Jennifer nie robi — stwierdziła pani Sutcliffe. Podeszła do okna i zawołała „Jennifer”!

— Chcę — rzekła do Poirota — żeby spróbował pan wbić jej do głowy, że ojciec i ja robimy dla niej tylko to, co dobre.

Jennifer weszła do pokoju nadąsana i popatrzyła na Poirota z głęboką podejrzliwością.

— Jak się masz? — powiedział detektyw. — Jestem starym przyjacielem Julii Upjohn. Przyjechała do Londynu, aby mnie odnaleźć.

— Julia pojechała do Londynu? — spytała Jennifer nieco zaskoczona. — Po co?

— Zapytać mnie o radę.

Jennifer patrzyła z niedowierzaniem.

— Byłem w stanie poradzić jej — rzekł Poirot. — Jest już z powrotem w Meadowbank — dodał.

— Więc ciocia Isabel nie zabrała jej — powiedziała Jennifer, rzucając gniewne spojrzenie na matkę.

Poirot popatrzył również na panią Sutcliffe, która z jakiegoś powodu, może dlatego, że w chwili przybycia detektywa liczyła właśnie bieliznę do prania, a może pod wpływem nieoczekiwanego odruchu, wstała i opuściła pokój.

— Przykro być poza tym. co się tam dzieje. Ta cała rozróżba! Powiedziałam mamusi, że zabranie mnie było niemądre. Ostatecznie nikt nie zabił żadnej z uczennic.

— Masz jakieś własne wyobrażenie o mordercy?

Jennifer potrząsnęła głową. — Ktoś pomyłony? — podsunęła i dodała w zamyśleniu: — Pewnie panna Bulstrode będzie musiała wziąć kilka nowych nauczycielek.

— To możliwe, rzeczywiście — rzeki Poirot. — Interesuje mnie jednak ta kobieta, która dała ci nową rakietę w zamian za twoją starą. Pamiętasz ją?

— Powinnam pamiętać. Nigdy nie dowiedziałam się, kto ją właściwie przysłał. Na pewno nie ciocia Gina.

— Jak wyglądała ta kobieta?

---

\* fr. Między nami.



— Ta, która przyniosła rakiętę? — Jennifer przymknęła oczy zastanawiając się. — Nie wiem. Chyba miała śmieszna sukienkę z małą pelerynką. Taką niebieską, i miękki kapelusik.

— Tak? — spytał Poirot. — Miałem na myśli raczej jej twarz, niż ubranie.

— Wydaje mi się, że była mocno umalowana — powiedziała Jennifer niejasno. — To znaczy za mocno jak na wieś. I miała jasne włosy. Według mnie była Amerykanką.

— Widziałaś ją kiedykolwiek przedtem?

— O nie. Nie sądzę, żeby mieszkała w pobliżu. Mówiła, że przyjechała na lunch czy koktajl.

Poirot popatrzył na nią w zamyśleniu. Zainteresowało go, że Jennifer akceptuje wszystko, co jej powiedziano. Zapytał łagodnie:

— Mogła nie mówić prawdy?

— Och — rzekła Jennifer. — Chyba mogła.

— Jesteś zupełnie pewna, że nie widziałaś jej nigdy przedtem? Nic mogła to być, na przykład, jedna z twoich koleżanek, przebrana? Albo któraś z nauczycielek?

— Przebrana? — spytała Jennifer zakłopotana. Poirot położył przed nią szkic panny Rich, przedstawiający *mademoiselle* Blanche.

— To nie była ta kobieta?

Jennifer popatrzyła niepewnie: trochę podobna, ale to chyba nie ona.

Poirot skinął głową zamyślony.

Nie było oznak, że Jennifer rozpoznała na szkicu *mademoiselle* Blanche.

— Wie pan — powiedziała dziewczynka — nic przyglądałam się jej zbytnio. Była Amerykanką, nieznajomą, a kiedy wspomniała o rakięcie...

Od tej chwili Jennifer nie zwracała, rzecz jasna, uwagi na cokolwiek innego niż prezent.

— Rozumiem — rzekł Poirot. — A może spotkałaś w Meadowbank kogoś widzianego w Ramacie?

— W Ramacie? — Jennifer namyślała się. — Nie... przynajmniej... chyba nie.

Poirot rzucił się na ślad wątpliwości. — Nie jesteś tego pewna, *mademoiselle* Jennifer.

— Cóż. — Jennifer potarła czoło z zakłopotaniem. — Stale spotyka się ludzi przypominających kogoś. Nic można sobie uświadomić, do kogo są podobni. Czasami widzi się kogoś, kogo już się zna, ale nie wiadomo, kto to jest. A kiedy mówią: „Pewnie mnie nie pamiętasz”, sytuacja staje się okropnie niezręczna, ponieważ istotnie tak jest. To znaczy, twarz jest znana, ale nie można sobie przypomnieć nazwiska ani okoliczności poznania.

— To prawda. Rzeczywiście takie sytuacje zdarzają się często. — Poirot przerwał i znowu ciągnął, prowokując ją delikatnie. — Prawdopodobnie rozpoznałaś księżniczkę Shaistę, bo musiałaś widzieć ją w Ramacie.

— Och, ona była w Ramacie?

— Bardzo możliwe. Ostatecznie jest spokrewniona z panującym domem. Spotkałaś ją tam?

— Nie sądzę. W każdym razie nie mogłam widzieć jej twarzy. One tam wszystkie noszą zasłony. Choć zdaje mi się, zdejmują je w Kairze i Paryżu. I, oczywiście, w Londynie — dodała.

— Tak czy owak, nie miałaś wrażenia, że spotkałaś w Meadowbank kogoś widzianego wcześniej?

— Jestem pewna, że nie. Oczywiście większość ludzi wygląda podobnie i mogłoby się ich spotkać wszędzie. Zauważa się tylko takie dziwne twarze, jak panny Rich.

— Wydaje ci się, że spotkałaś ją już wcześniej?

— Nie. To musiał być ktoś podobny do niej. Ale to była osoba dużo grubsza.

— Dużo grubsza osoba — powtórzył Poirot w zamyśleniu.

— Nie można sobie wyobrazić panny Rich tłustej — zachichotała Jennifer. — Jest tak okropnie szczupła i zbiedzona. I nie mogła być w Ramacie, ponieważ w ostatnim trymestrze była chora.

— A koleżanki? Widziałaś którąś z nich przedtem?

— Tylko te, które już znałam. Jedną czy dwie. Ostatecznie byłam tam tylko trzy tygodnie i połowy osób nie znam nawet z widzenia. Większości nie poznałabym, spotkawszy jutro.

— Powinnaś zauważyć więcej — powiedział poważnie Poirot.

— Nie można dostrzec wszystkiego — zaprotestowała Jennifer. Jeżeli Meadowbank będzie działać dalej, chciałabym tam wrócić. Niech pan spróbuje, czy nie da się zrobić czegoś z mamusią. Choć naprawdę wydaje mi się, że to tatuś stawia przeszkody. Tu, na wsi jest okropnie. Nie mam okazji, żeby poprawić mój poziom gry w tenisie.

— Zapewniam cię, że zrobię, co będę mógł — oświadczył Poirot.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY ZEBRANIE WĄTKÓW

### I

— Chcę z tobą porozmawiać. Eileen — powiedziała panna Bulstrode.

Eileen Rich poszła za przełożoną do jej gabinetu. W Meadowbank było niezwykle spokojnie. Pozostało tam jeszcze około dwudziestu pięciu wychowanek, których rodzice uznali za trudne lub niepożądane. Według panny Bulstrode masowa panika została zahamowana dzięki jej taktyce. Panowało ogólne wrażenie, że do następnego trymestru wszystko się wyjaśni. Zamknięcie szkoły było ze strony panny Bulstrode. mądrym pociągnięciem.

Z personelu nic wyjechał nikt. Panna Johnson trapiła się nadmiarem wolnego czasu. Dzień, w którym miała mało pracy, nie zadowalał jej. Panna Chadwick, wyglądająca staro i nieszczęśliwie, wędrowała wokoło jak w męczącym śnie. Cała historia ugodziła ją znacznie ciężiej niż pannę Bulstrode. Sama dyrektorka była całkowicie opanowana, niewzruszona i nie wykazywała objawów napięcia czy załamania. Obie młodsze nauczycielki nie miały nic przeciw dodatkowym wolnym godzinom. Kapały się w basenie, pisały listy do przyjaciół i krewnych, i sprowadziły literaturę dotyczącą morskich wycieczek do przestudiowania i porównania. Ann Shapland miała sporo wolnego czasu i nie żaliła się na to.

Spędzała wiele chwil w ogrodzie i poświęciła się pracy w nim z nieoczekiwaną biegłością. Wolała słuchać porad Adama niż starego Briggsa, co nie było zjawiskiem dziwnym.

— Słucham, panno Bulstrode? — powiedziała Eileen Rich.

— Chcę z tobą porozmawiać — powtórzyła dyrektorka. — Nie wiem, czy tę szkołę można prowadzić nadal. Trudno przewidzieć, co ludzie zechcą zrobić, ponieważ zawsze czują inaczej niż my. Ale w rezultacie ten, kto jest najmocniej przekonany, pociąga za sobą resztę. Więc albo Meadowbank się skończyła...

— Nie — przerwała jej Eileen Rich — Nie skończyła się. — Niemal tupnęła nogą, a jej włosy natychmiast zaczęły się wymykać z koka. — Nie może pani do tego dopuścić. To byłby grzech, zbrodnia.

— Mówisz bardzo zdecydowanie.

— Tak czuję. Niewiele znam rzeczy coś wartych, ale Meadowbank należy do nich. Jest dla mnie cenna od pierwszej chwili, kiedy tu przyszedłam.

— Masz naturę wojownika — powiedziała panna Bulstrode. — Lubię takich ludzi i zapewniam cię, że nie zamierzam ustąpić bez walki. W pewnym sensie będę się radować tą walką. Wiesz, kiedy wszystko idzie zbyt łatwo, człowiek czuje się — nie wiem, jakie słowo będzie odpowiednie — zadowolony z siebie? Znudzony? Jakaś mieszanina tych dwóch pojęć. Ale teraz nic jestem zadowolona z siebie ani znudzona i zamierzam walczyć przy pomocy całej siły i każdego grosza, jaki posiadam. I właśnie w tej sytuacji chcę cię zapytać: jeżeli Meadowbank będzie działać, czy przyłączasz się na zasadzie partnerstwa?

— Ja? — Eileen Rich otworzyła szeroko oczy. — Ja?

— Tak, moja droga — odparła panna Bulstrode. — Ty.

— Nie potrafiłabym. Nie umiem dosyć. Jestem za młoda. Przecież nie mam doświadczenia ani wiedzy, jakiej pani potrzebuje.

— Pozwól mi zdecydować, czego chcę. Zauważ, że w chwili obecnej to nie jest dobra oferta. Prawdopodobnie wszędzie dostałabyś lepszą. Chcę ci jednak powiedzieć coś i musisz mi uwierzyć. Już przed nieszczęśliwą śmiercią panny Vansittart podjęłam decyzję, że jesteś osobą, której chciałabym powierzyć tę szkołę.

— Myślała pani o tym? Sądziłam jednak... wszyscy uważaliśmy... że panna Vansittart...

— Nic było żadnej umowy z panną Vansittart — rzekła panna Bulstrode. — Muszę przyznać, że brałam ją pod uwagę. Myślałam o niej przez ostatnie dwa lata. Coś jednak powstrzymało mnie przed definitywnym postanowieniem. Istotnie wszyscy widzieli w niej moją następczynię. Ona również mogła tak myśleć. Nawet ja, jak ci wspomniałam, tak uważałam do niedawna, I nagle zdecydowałam, że nie tego pragnę.

— Ale ona była odpowiednia pod każdym względem — powiedziała Eileen. — Prowadziłaby szkołę dokładnie tak jak pani, według pani idei.

— Tak — odparła panna Bulstrode — i właśnie to byłoby niedobre. — Nie można trzymać się przeszłości. Tradycja jest potrzebna, ale nie w nadmiarze. Szkoła jest dla dzieci dzisiejszych, a nie tych sprzed pięćdziesięciu czy trzydziestu lat. Są szkoły przywiązujące wielką wagę do tradycji, ale Meadowbank do nich nie należy. Nie działamy jeszcze zbyt długo. Mogę powiedzieć, że jest to dzieło jednej kobiety. Moje dzieło. Miałam pewne pomysły, które realizowałam najlepiej, jak umiałam, choć od czasu do czasu modyfikowałam

je, gdy nie przynosiły spodziewanych rezultatów. Szkoła nie jest konwencjonalna, ale nie to było moją dumą. Próbujemy zrobić najlepszy użytek z przeszłości i przyszłości, jednak prawdziwy nacisk kładziemy na teraźniejszość. Tak właśnie powinno się prowadzić szkołę. Powinien to robić ktoś reprezentujący idee dnia dzisiejszego. Przyjmujący z przeszłości to, co mądre, patrzący w przyszłość. Jesteś w wieku, w którym ja zakładałam tę szkołę, ale posiadasz coś, czego ja już nie potrafię. Znajdziesz to w Biblii: „Starcy śnią sny, młodzieńcy mają wizje”. Nie potrzebujemy tułaj snów, chcemy wizji. Wierze, że ty je masz i dlatego zdecydowałam, że tą osobą będziesz ty, a nie Eleanor Vansittart.

— To byłoby cudowne — odparła Eileen. — Cudowne. Pragnęłabym tego ponad wszystko.

Panna Bulstrode była lekko zdziwiona użytym trybem warunkowym, ale nie okazała tego. Natychmiast zgodziła się.

— Tak, to byłoby cudowne. Czy nie jest jednak cudowne już teraz? Jeżeli dobrze cię zrozumiałam.

— Nie, nie myślę tak. Wcale nie. Nie potrafię wyjaśnić tego dokładnie, ale gdyby pani zrobiła mi tę propozycję tydzień albo dwa temu, powiedziałabym natychmiast, że nie potrafię, że to niemożliwe. Jedyne powód, dla którego mogłabym się zgodzić, to... no. dlatego, że to sprawa walki, wyzwania. Czy... czy mogę to przemyśleć, panno Bulstrode? W tej chwili nie wiem, co odpowiedzieć.

— Naturalnie — powiedziała przełożona. Była zaskoczona. Nigdy nie zna się drugiego człowieka dokładnie.

## II

— Idzie panna Rich, znowu rozczochrana — stwierdziła Ann Shapland, podnosząc się znad klombu. — Jeżeli nie panuje nad włosami, nie rozumiem, dlaczego ich nie zetnie. Ma kształtną głowę i wyglądałaby lepiej.

— Powinna pani jej to powiedzieć — rzekł Adam.

— Nie jesteśmy w odpowiednio bliskich stosunkach — odparła Ann. — Myśli pan, że ta szkoła przetrwa?

— To niejasna sprawa. Ale kim jestem ja, aby to osądzać?

— Myślę, że potrafi pan ocenić to równie dobrze, jak ktoś inny. Stara Bull, jak ją nazywają dziewczęta, posiada wszystko, czego trzeba. Hipnotyzujący wpływ na rodziców, na przykład. Ile czasu upłynęło od początku trymestru — tylko miesiąc? Wydaje się, że cały rok. Będę rada, kiedy to się skończy.

— Wróci pani, gdy nauka się rozpocznie?

— Nie — odparła Ann z emfazą. — Na pewno nie. Mam dosyć szkół na resztę życia. Nie zostałam stworzona po to, aby tłoczyć się w zamknięciu z gromadą kobiet. A szczerze mówiąc, nie lubię morderstw. Dobrze się o tym czyta w gazecie albo w dobrej książce przed zaśnięciem. Natomiast w życiu to nic przyjemnego. Sądzę — dodała w zamyśleniu — że zostaną tu do końca okresu, wyjdę za mąż za Dennisa i rozpocznę życie ustabilizowane.

— Dennis? — spytał Adam. — To ten, o którym pani wspominała? O ile zapamiętałem, jego praca rzuca go do Birmy, na Malaje, do Singapuru i Japonii. Jeśli go pani poślubi, to nie będzie stabilizacji?

Ann roześmiała się. — Nie, chyba nie. Nie w sensie fizycznym, geograficznym.

— Uważam, że mogłaby pani trafić lepiej.

— Czy robi mi pan propozycję?

— Ależ nie — zawołał Adam. — Jest pani ambitną dziewczyną, nie chciałaby pani wychodzić za skromnego ogrodnika.

— Zastanowiłabym się nad poślubieniem Scotland Yardu.

— Nie jestem w Scotland Yardzie.

— Nie, oczywiście nie. Zostawmy subtelności językowe. Nie jest pan w Scotland Yardzie. Shaista nie została porwana. W ogrodzie jest ślicznie. To znaczy dosyć ślicznie. Mimo wszystko — dodała po chwili — nie mogę żadną miarą zrozumieć, w jaki sposób Shaista wróciła do Genewy. Jak mogła się tam dostać? Musieliście być bardzo opieszali, żeby pozwolić się jej wymknąć.

— Nie wolno mi nic powiedzieć.

— Nie sądzę, żeby miał pan o tym jakieś pojęcie.

— Przyznam, że znakomity pomysł zawdzięczamy panu Herkulesowi Poirotowi.

— Co, temu śmiesznemu człowieczkowi, który przywiózł Julię Upjohn i przyszedł zobaczyć się z panną Bulstrode?

— Tak. Nazywa siebie konsultantem–detektywem.

— Wydaje mi się, że to przebrzmiała sława.

— Nie orientowałem się wcale, że on jest taki dobry — rzekł Adam. — Poszedł nawet zobaczyć się z moją matką, czy też zrobił to ktoś z jego przyjaciół.

— Pańską matką? Dlaczego?

— Nie mam pojęcia. Chyba interesuje się chorobliwie matkami. Pojechał też do matki Jennifer.

— Zobaczył się także z matką panny Rich i matką Chaddy?

— O ile wiem, panna Rich nie ma matki. W przeciwnym razie bez wątpienia pojechałby do niej.

— Panna Chadwick mówiła mi, że ma matkę w Cheltenham. Ma już chyba osiemdziesiąt parę lat. Biedna panna Chadwick wygląda, jakby sama miała osiemdziesiątkę. Idzie właśnie pogadać z nami.

Adam spojrział na nadchodzącą nauczycielkę. — Tak. Postarzała się bardzo w ciągu ostatniego tygodnia.

— To dlatego, że naprawdę kocha szkołę. To jej całe życie. Nie może znieść jej upadku.

Panna Chadwick rzeczywiście wyglądała dziesięć lat starszej niż w dniu rozpoczęcia zajęć. Jej chód stracił zwykłą sprężystość. Już nie biegała wszędzie, szczęśliwa i zaaferowana. Zbliżając się do nich, zwolniła kroku.

— Zechce pan pójść do panny Bulstrode — powiedziała do Adama. — Ma jakieś polecenia dotyczące ogrodu.

— Muszę się najpierw trochę oczyścić — rzekł Adam. — Odłożył narzędzia i skierował się do szopy.

Ann i panna Chadwick poszły razem do szkoły.

— Wszystko jest takie ciche, prawda? — zauważyła Ann. — Jak pusty teatr, z ludźmi rozmieszczonymi przez kasę tak zręcznie, żeby robili wrażenie zapełnionej widowni.

— To okropne — odparła panna Chadwick — okropne! Strach pomyśleć, że Meadowbank doszła do tego. Nic mogę tego przeboleć. Nie potrafię zasnąć. Wszystko jest w ruinie. Lata pracy i tworzenia czegoś naprawdę pięknego.

— Sytuacja może się poprawić — powiedziała Ann pocieszająco. — Ludzie mają bardzo krótką pamięć.

— Nie tak krótką, jak trzeba — odparła stara nauczycielka ponuro.

Ann milczała. W głębi serca zgadzała się raczej z panną Chadwick.

### III

*Mademoiselle* Blanche wyszła z klasy, w której miała lekcję literatury francuskiej.

Popatrzyła na zegarek. Tak, było mnóstwo czasu na to, co zamierzała zrobić. Mając tak mało uczennic, w ostatnich dniach zawsze dysponowała czasem.

Poszła na górę do swego pokoju i włożyła kapelusz. Należała do kobiet, które nigdy nie wychodzą bez kapelusza. Obejrzała się w lustrze z satysfakcją. Powierzchność nie przyciągająca uwagi! Cóż, to mogło przynosić korzyść. Dlatego tak łatwo mogła użyć dokumentów i świadectw swojej siostry. Nawet fotografia w paszporcie nic wymagała zmiany. Byłaby to wielka szkoda utracić te znakomite opinie po śmierci Angèle. Ona naprawdę lubiła uczyć. Natomiast dla niej samej było to niewypowiedzianie nudne, za to pensja znakomita. Znacznie przekraczała to, co sama potrafiłaby zarobić. A oprócz tego sprawy układały się świetnie. Przyszłość *mademoiselle* Blanche miała być zupełnie inna. O tak, całkiem odmienna. Jednostajne życie miało się przeobrazić. Ujrzała je oczyma wyobraźni. Riviera. Ona sama ubrana sztywnie, z odpowiednim makijażem. To, co jest potrzebne na tym świecie, to pieniądze. O tak, sprawy układały się naprawdę bardzo przyjemnie. Warto było przyjechać do tej wstrętnej angielskiej szkoły.

Wzięła torebkę i wyszła. Idąc korytarzem wpadła na klęczącą kobietę, która coś robiła. Nowa służąca. Oczywiście na usługach policji. Jacy głupi byli sądząc, że nikt się nie domyśli!

Uśmiechając się pogardliwie wyszła z budynku i skierowała się do bramy głównej. Przystanek autobusowy był naprzeciw. Stała i czekała. Autobus powinien przyjechać lada chwila.

Na spokojnej, wiejskiej drodze widać było niewielu ludzi. Samochód z mężczyzną nachylonym nad otwartą maską. Motocykl oparty o ogrodzenie. I człowiek także czekający na autobus. Któryś z tej trójki niewątpliwie ją śledził. Zrobiono to sprytnie, nie ostantacyjnie. Była zupełnie pewna tego faktu i to nie niepokoiło Francuzki. Jej cień był zadowolony widząc dokąd idzie i co robi.

Wsiadła do autobusu. Kwadrans później znalazła się na głównym placu miasteczka. Nie trudziła się oglądaniem za siebie. Skierowała się do domu towarowego, którego witryny ukazywały kolekcję nowych modeli sukienek. „Nędzny towar, zaspokajający prowincjonalne gusty”, pomyślała. Stała jednak, przyglądając się, udając zainteresowanie.

Wreszcie weszła do środka, zrobiła parę drobnych zakupów, potem poszła na górę do pokoju wypoczynkowego dla pań. Znajdował się tam stół do pisania, fotele i kabina telefoniczna. Weszła do niej, włożyła potrzebną ilość monet i wykręciła numer, czekając aż usłyszy głos.

Skinęła głową z aprobatą, naciskając guzik A i odezwała się.

— Tu Maison Blanche. Pani mnie rozumie, Maison Blanche? Mówię o posiadanym koncie. Ma pani czas do jutra wieczór. Jutro wieczór. Wpłacić na konto Maison Blanche w Credit Nationale w Londynie, Oddział w Ledbury, sumę, którą pani podam.

Wymieniła sumę.

— Jeżeli pieniądze nie zostaną wpłacone, będę zmuszona zawiadomić odpowiednią instancję o tym, co widziałam w nocy. dwunastego. Informacja, proszę uważać, dotyczy panny Springer. Ma pani trochę więcej niż dwadzieścia cztery godziny.

Odłożyła słuchawkę i wróciła do pokoju. Weszła następna kobieta. Inna klientka, albo i nie. Ale nawet jeśli to nie klientka, było za późno, żeby coś podsłuchała.

*Mademoiselle* Blanche odświeżyła się w sąsiedniej toalecie, następnie przymierzyła kilka bluzek, ale żadnej nie kupiła; wyszła na ulicę, uśmiechając się do siebie. Zajrzała do księgi, a potem złapała powrotny autobus do Meadowbank.

Idąc podjazdem wciąż uśmiechała się do siebie. Zaplanowała wszystko bardzo dobrze. Żądana suma nie była zbyt duża, możliwa do zebrania w krótkim czasie. I odpowiednia do kontynuacji. Ponieważ, rzecz jasna, w przyszłości nastąpią dalsze żądania...

Tak, będzie to przyjemne źródło dochodu. Nie miała wyrzutów sumienia. Nie uważała, że jej obowiązkiem było donoszenie policji o tym, co wiedziała i widziała. Ta Springer była paskudną kobietą, niegrzeczną, źle wychowaną. Wsadzała nos w cudze interesy. Ach, dobrze, już dostała za swoje.

*Mademoiselle* Blanche stała chwilę koło basenu. Obserwowała, jak Eileen Rich skacze do wody. A potem Ann Shapland także, wspięła się i skoczyła, również bardzo dobrze. Słychać było śmiechy i piski dziewczynek.

Zabrział dzwonek i *mademoiselle* Blanche poszła do swojej młodszej klasy. Dziewczęta były nieuważne i męczące, ale nauczycielka ledwie to dostrzegała. Wkrótce skończy z uczeniem na zawsze.

Poszła do siebie przebrać się do kolacji. Kątem oka, niemal bezmyślnie zauważyła, że wbrew swoim zwyczajom rzuciła prochowiec na stojące w rogu krzesło, zamiast powiesić go w szafie, jak zwykle.

Pochyliła się do przodu, przyglądając się uważnie swojej twarzy. Upudrowała się, poprawiła usta szminką...

Ruch był tak szybki, bezszelestny i profesjonalny że zaskoczył ją całkowicie. Płaszcz na krześle zdawał się rosnąć, spadł na ziemię i nagle za *mademoiselle* Blanche uniosła się ręka trzymająca woreczek z piaskiem. Zanim kobieta otworzyła usta, by krzyknąć, opadła na jej kark.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI INCYDENT W ANATOLII

Pani Upjohn siedziała na brzegu drogi wychodzącej na głęboki wąwóz. Rozmawiała, częściowo po francusku, częściowo na migi, z wielką, solidnie wyglądającą Turczynką, która opowiadała jej, z wszelkimi możliwymi przy tych trudnościach językowych szczegółami, przebieg swego ostatniego poronienia. Miała dziewięcioro dzieci, wyjaśniła, w tym ośmiu synów i pięć poronień. Wydawała się w równym stopniu zadowolona z poronień, jak z urodzeń.

— A ty? — szturchnęła przyjaźnie panią Upjohn. — *Combien? Garçons? Filles? Combien?*\* — podniosła ręce, gotowa do liczenia na palcach.

— *Une fille* — rzekła pani Upjohn.

— *Et garçons!*

Widząc, że jest bliska utraty szacunku Turczynki, pani Upjohn w przyływie uczuć narodowych uciekła się do kłamstwa.

— *Cinq* — odparła.

— *Cinq garçons? Tres bien!*\*

Turczynka skinęła z aprobatą i szacunkiem. Dodała, że jej kuzynka, która mówi naprawdę biegle po francusku, mogłaby porozumieć się z nią lepiej. Następnie podjęła wątek ostatniego poronienia.

Inni pasażerowie rozłożyli się obok, jedząc dziwnie wyglądające produkty wyjęte z wiezionych koszyków. Autobus, o nieco zużyтым wyglądzie, zatrzymał się pod zwisającą skałą, a kierowca wraz z drugim mężczyzną grzebali pod maską. Pani Upjohn zupełnie straciła poczucie czasu. Dwie drogi zostały zablokowane przez powódź, trzeba było objeżdżać, a raz utkwili na siedem godzin, czekając aż rzeka, przez którą mieli się przeprawić, opadnie. Ankarę leżała w nieokreślonej przyszłości i to było wszystko, co wiedziała. Słuchała żywego i chaotycznego przemówienia swojej rozmówczyni, próbując ocenić, kiedy skinąć głową z podziwem, a kiedy potrząsnąć współczująco.

Głos, który przerwał tok jej myśli, zupełnie nie pasował do obecnego otoczenia. — Pani Upjohn, jak sądzę.

Spojrzała w górę. W pobliżu zatrzymał się samochód. Stojący przed nią mężczyzna, niewątpliwie z niego wysiadł. Jego twarz była równie brytyjska, jak głos i nienagannie skrojone szare, flanelowe ubranie.

— Wielkie nieba — powiedziała pani Upjohn. — Doktor Livingstone?

— Tak to musiało wyglądać — odparł sympatycznie nieznajomy. — Nazywam się Atkinson. Jestem z konsulatu w Ankarze. Próbuje się skontaktować z panią od paru dni, ale drogi były nieprzejezdne.

— Chcieliście się ze mną skontaktować? Dlaczego? — nagle pani Upjohn wstała. Zniknął wygląd wesolej turystyki. Była teraz wyłącznie matką. — Julia? — zapytała ostro. — Coś się stało Julii?

— Nie, nie — uspokoił ją Atkinson. — Julia ma się dobrze. Nie o to chodzi. W Meadowbank zdarzyły się pewne kłopoty i chcielibyśmy jak najszybciej zobaczyć panią w kraju. Zawiozę panią do Ankary i w ciągu godziny będzie pani mogła wsiąść do samolotu.

Pani Upjohn otworzyła usta i zamknęła znowu. Potem powiedziała: — Będzie pan musiał zdjąć moją torbę z dachu autobusu. To ta ciemnoniebieska. — Ucisnęła rękę swojej tureckiej towarzyszkę, mówiąc: — Przykro mi, ale muszę wracać do domu. Pomachała serdecznie ręką

---

\* fr. Ile. Chłopcy? Dziewczynki?

\* fr. Pięciu chłopców? Bardzo dobrze!



pozostałym pasażerom autobusu, wykrzyknęła tureckie pożegnanie, należące do małego zapasu słów, które znała i już była gotowa do udania się z panem Atkinsonem, bez zadawania pytań. Młodemu człowiekowi przyszło na myśl, jak to się zdarzyło już wielu innym ludziom, że pani Upjohn jest bardzo rozsądną kobietą.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

### ODKRYCIE KART

Panna Bulstrode patrzyła na zgromadzonych ludzi w jednej z mniejszych klas. Byli tam wszyscy członkowie jej personelu: panna Chadwick, panna Johnson, panna Rich i dwie młodsze nauczycielki. Ann Shapland siedziała z notesem i ołówkiem, na wypadek gdyby panna Bulstrode chciała, aby coś zanotować. Obok dyrektorki siedział inspektor Kelsey, a za nim Herkules Poirot. Adam Goodman ulokował się na ziemi niczyjej, między nauczycielkami a, jak to nazywał, ciałem wykonawczym. Panna Bulstrode wstała i przemówiła swoim wyćwiczonym, stanowczym głosem.

— Uważam, że należy się wam, jako członkom mego personelu i ludziom, zainteresowanym losami szkoły, wyjaśnienie, do jakiego punktu posunęło się śledztwo. Inspektor Kelsey poinformował mnie o pewnych faktach. Pan Herkules Poirot, mający międzynarodowe powiązania, uzyskał w Szwajcarii cenną pomoc i przekaże nam osobiście szczegóły. Przykro mi powiedzieć, że śledztwo nie dobiegło jeszcze końca, ale pewne drobniejsze kwestie wyjaśniły się i sądzę, że informacja o tym, jak sprawy stoją, przyniesie wam ulgę. Inspektor wstał.

— Oficjalnie — powiedział — nie mam prawa ujawniać wszystkiego, co wiem. Mogę jedynie zapewnić państwa, że posunęliśmy się naprzód i zaczynamy domyślać się, kto jest odpowiedzialny za trzy zbrodnie popełnione na tutejszym terenie. Na tym zakończę. Natomiast mój przyjaciel, pan Herkules Poirot, który nie jest związany tajemnicą służbową i ma całkowitą swobodę przedstawiania państwu własnych spostrzeżeń, wyjawí wam pewne informacje, zdobyte dzięki swoim wpływom. Jestem pewien, że ze względu na lojalność wobec Meadowbank i panny Bulstrode zatrzymacie przy sobie wiadomości, które pan Poirot zamierza omówić, a które nic są sprawą publiczną. Im mniej będzie koło nich plotek i domysłów, tym lepiej, więc proszę o zachowanie dyskrecji wobec faktów dzisiaj poznanych. C/y to jest zrozumiałe?

— Oczywiście — odezwała się pierwsza panna Chadwick. — Rzecz jasna, jesteśmy lojalni wobec Meadowbank, przynajmniej mam taką nadzieję.

— Naturalnie — powiedziała panna Johnson.

— Zgadza się — rzekła panna Rich.

— A więc, panie Poirot?

Herkules Poirot podniósł się, uśmiechnął promiennie do swego audytorium, podkreślił starannie wąsy. Dwie młodsze nauczycielki poczuły nagłą chęć zachichotania i popatrzyły na siebie, zaciskając mocno usta.

— To był trudny i niespokojny okres dla wszystkich państwa. Chcę, żebyście /rozumieli, że doceniam to. Naturalnie najgorsze konsekwencje poniosła panna Bulstrode, ale wy wszyscy ucierpieliście również. Straciliście trzy koleżanki, z których jedna pracowała tu od dosyć dawna. Mam na myśli pannę Vansittart. Panna Springer i *mademoiselle* Blanche były nowicjuszkami, ale nic wątpię, że śmierć ich wszystkich stanowiła dla was wielki szok. Musiałyście także obawiać się o siebie, gdyż zdarzenia mogły sprawiać wrażenie wendetty przeciwko nauczycielkom szkoły w Meadowbank. Mogę zapewnić was, a inspektor potwierdzi moje słowa, że tak nie jest. Meadowbank dzięki zbiegowi okoliczności stało się punktem, w którym skupiły się pewne niepożądane działania. Znalazł się tu, powiedzmy, kot wśród gołębi. Zdarzyły się trzy morderstwa i porwanie. Zajmę się najpierw porwaniem, aby wyjaśnić wszystkie związane z nim okoliczności, które jakkolwiek same mają kryminalny charakter, zaciemniają najważniejszy wątek — wątek bezlitosnego i zdecydowanego na wszystko zabójcy wśród was.

Wyjął z kieszeni fotografię.

— Najpierw puszczyć wkoło to zdjęcie.

Kelsey wziął je i wręczył pannie Bulstrode, a ona podała je swoim nauczycielkom. Kiedy wróciło do Poirota, popatrzył na twarze, które pozostały zupełnie obojętne.

— Pytam wszystkich, czy ktoś rozpoznał dziewczynę na zdjęciu?

Potrząsnęli zgodnie głowami.

— A powinniście — rzekł Poirot. — Ponieważ jest to otrzymana przeze mnie z Genewy fotografia księżniczki Shaisty.

— Ależ to wcale nie jest Shaista — wykrzyknęła panna Chadwick.

— Właśnie — powiedział Poirot. — Ten wątek całej historii zaczyna się w Ramacie, gdzie, jak wiecie, trzy miesiące temu zdarzył się rewolucyjny zamach stanu. Władca, książę Ali Yusuf zmuszony do ucieczki, odleciał samolotem z pływającym pilotem. Samolot jednak rozbił się w górach na północy Ramatu. Pewien cenny przedmiot, który książę zawsze nosił przy sobie, zniknął. Nie znaleziono go we wraku i mówiło się, że został wywieziony do Anglii. Kilka różnych grup ludzi zapragnęło wejść w jego posiadanie. Jednym z tropów prowadzących do tego celu, była bliska kuzynka księcia Alego, dziewczyna ucząca się w szkole w Szwajcarii. Wydawało się prawdopodobne, że jeśli cenny przedmiot został wywieziony z Ramatu, zostanie przekazany księżniczce Shaicie lub jej krewnym czy opiekunom. Pewni agenci otrzymali polecenie obserwowania jej wuja, emira Ibrahima, inni mieli pilnować samej księżniczki. Wiadomo było, że w tym trymestrze ma ona pójść do szkoły w Meadowbank. Było więc naturalne, że ktoś musiał objąć stanowisko w szkole i pilnie baczyć na każdego, kto zbliży się do dziewczyny, sprawdzać jej listy i rozmowy telefoniczne. Powstał jednak jeszcze prostszy i skuteczniejszy pomysł, aby porwać Shaistę i podstawić w szkole zamiast niej własną agentkę. Zamiar mógł się udać, ponieważ emir Ibrahim bawił w Egipcie i miał odwiedzić Anglię dopiero pod koniec lata. Panna Bulstrode nie widziała wcześniej dziewczyny, a wszelkie formalności związane z jej przyjęciem załatwiała ambasada w Londynie.

— Plan był niezwykle prosty. Shaista wyjechała ze Szwajcarii w towarzystwie reprezentanta londyńskiej ambasady. Przynajmniej tak się mogło wydawać. W rzeczywistości ambasada została poinformowana, że dziewczynie będzie towarzyszył do Londynu ktoś ze szkoły szwajcarskiej. Prawdziwa Shaista została zabrana do przyjemnego domku w Szwajcarii, a zupełnie inna dziewczyna przyjechała do Londynu, spotkała się z przedstawicielem ambasady, który przywiózł ją tutaj. Zastępczyni, rzecz jasna, musiała być dużo starsza od prawdziwej księżniczki. To jednak nic zwróciło uwagi, ponieważ dziewczęta ze Wschodu wyglądają bardzo dojrzałe jak na swój wiek. Wybrano młodą francuską aktorkę, specjalizującą się w rolach nastolatek.

— Pytałem — ciągnął Herkules Poirot — czy ktoś zwrócił uwagę na kolana Shaisty. To bardzo ważny wskaźnik wieku. Kolana kobiety dwudziestopięcioletniej trudno pomylić z kolanami piętnastolatki. Niestety, nikt nie poświęcił im uwagi.

— Plan nie powiódł się jednak tak, jak oczekiwano. Nikt nie próbował skontaktować się z Shaistą, nie było też listów ani telefonów, a czas płynął i zdenerwowanie rosło. Emir mógł przybyć do Anglii przed planowanym terminem. Nie był człowiekiem ogłaszającym swoje zamiary wcześniej. Miał zwyczaj mówić pewnego wieczoru: „Jutro lecę do Londynu”, po czym wyruszał.

— Fałszywa Shaista miała świadomość, że w każdej chwili mógł przybyć ktoś znający prawdziwą księżniczkę. Szczególnie mogło dojść do tego po morderstwie, więc zaczęła przygotowywać porwanie, wspominając o tym inspektorowi Kelseyowi. Oczywiście żadnego porwania nie było. Kiedy tylko dowiedziała się, że wuj zamierza zabrać ją następnego ranka, zawiadomiła telefonicznie kogo trzeba i pół godziny przed przyjazdem właściwego samochodu, zjawił się efektowny wóz z fałszywymi tablicami CD i Shaista została oficjalnie

„uprowadzona”. W rzeczywistości zawieziono ją do pierwszego dużego miasta, gdzie odzyskała swoją prawdziwą osobowość. Amatorski list z żądaniem okupu wysłano dla podtrzymania fikcji.

Detektyw przerwał, po czym powiedział: — Był to, jak państwo widzą, raczej trik kuglarza. Skierowanie śledztwa w mylnym kierunku. Skupiamy się na porwaniu tutaj i nikomu nie przychodzi na myśl, że prawdziwe uprowadzenie zdarzyło się trzy tygodnie wcześniej w Szwajcarii.

W istocie Poirot sądził, choć był zbyt grzeczny, by to powiedzieć, że nie przyszło to do głowy nikomu oprócz niego samego.

— Przejdźmy teraz do czegoś ważniejszego niż porwanie, do morderstwa.

— Fałszywa Shaista mogła, oczywiście, zabić pannę Springer, ale nie była w stanie zamordować panny Vansittart ani *mademoiselle* Blanche, nie miała zresztą motywu i nie żądano od niej czegoś takiego. Jej rola ograniczała się do tego, by odebrać ewentualnie dostarczoną ceną przesyłkę lub wiadomość o niej.

— Wróćmy do Ramatu, gdzie wszystko się zaczęło. Rozeszła się tam wiadomość, że książę Ali wręczył pakiet Bobowi Rawlinsonowi, swemu prywatnemu pilotowi, i że ten załatwił jego wysyłkę do Anglii. Tego dnia Rawlinson udał się do głównego hotelu w Ramacie, gdzie mieszkała jego siostra, pani Sutcliffe, wraz z córką Jennifer. Obie były nieobecne, ale Bob poszedł do ich pokoju i pozostał tam przynajmniej dwadzieścia minut. W tych okolicznościach to dosyć długo. Mógł oczywiście pisać długi list do siostry, ale nie zrobił tego. Zostawił krótką notatkę, której napisanie mogło mu zająć dwie minuty.

— Nasuwa się słuszny wniosek, wysnuty zresztą przez kilka różnych ugrupowań, że podczas pobytu w pokoju, umieścił obiekt wśród rzeczy siostry i że pani Sutcliffe przywiozła go do Anglii. Teraz dochodzimy do dwóch różnych wątków. Jedna z zainteresowanych grup (a może więcej niż jedna), założyła, że pani Sutcliffe przywiozła pakiet do kraju i w konsekwencji włamano się do jej domu na wsi i przeszukano go. Wykazało to, że kimkolwiek był szukający, nic nie wiedział, gdzie został ukryty poszukiwany przedmiot. Przypuszczał tylko, że jest w posiadaniu pani Sutcliffe.

— Ktoś inny wiedział jednak dokładnie, gdzie znajduje się pakiet i sądzę, że nie stanie się nic złego, jeśli powiem wam, gdzie naprawdę Bob Rawlinson go ukrył. Umieścił depozyt w rękojeści rakiety tenisowej, wydrążywszy ją i złożywszy tak sprytnie, że trudno było coś zauważyć.

— Rakietą nie należała do jego siostry, tylko do siostrzenicy Jennifer. Ktoś, kto znał kryjówkę, poszedł pewnej nocy do pawilonu z dorobionym na podstawie odcisku kluczem. O tej porze wszyscy powinni leżeć w łóżkach i spać. Tak jednak nie było. Panna Springer dostrzegła z budynku światło latarki i poszła zbadać sprawę. Była silną, wysportowaną kobietą i nie wątpiła, że poradzi sobie z wszystkim, co odkryje. Osoba, o której mowa, przeszukiwała przypuszczalnie stojak z raketami, chcąc wybrać właściwą. Przyłapana i rozpoznana przez pannę Springer nie wahała się... Poszukiwacz był zabójcą i zastrzelił kobietę. Później jednak morderca musiał działać szybko. Strzał został usłyszany, zbliżali się ludzie, musiał więc opuścić pawilon sportowy, nie będąc widziany. Rakietą została na miejscu...

— W ciągu paru dni wypróbowano następny sposób. Nieznana kobieta, mówiąca fałszywym amerykańskim akcentem, czatowała na Jennifer Sutcliffe, wracającą z kortu i opowiedziała jej historię, mającą znamiona prawdopodobieństwa, że krewna przysłała jej nową raketę. Jennifer przyjęła opowieść bez podejrzeń i z radością wymieniła trzymaną raketę, na nową, kosztowną, przyniesioną przez obcą panią. Zaszły jednak okoliczności, o których kobieta z amerykańskim akcentem nie wiedziała. Kilka dni wcześniej Jennifer i Julia Upjohn zamieniły się raketami, tak że zabrana przez obcą kobietę była w rzeczywistości starą raketą Julii, choć nalepka nosiła nazwisko Jennifer.

— Przechodzimy teraz do drugiej tragedii. Panna Vansittart z nieznanых powodów, być może związanych z uprowadzeniem Shaisty, które zdarzyło się tego popołudnia, wzięła latarkę i kiedy wszyscy poszli do łóżek, poszła do pawilonu sportowego. Ktoś, kto ją śledził, uderzył ją pałką lub woreczkiem z piaskiem, kiedy nachylała się nad szafką Shaisty. I znowu zbrodnia została odkryta niemal natychmiast. Panna Chadwick dostrzegła światło w pawilonie i pośpieszyła tam.

— Policja ponownie podjęła śledztwo w pawilonie i znowu mordercy uniemożliwiono odszukanie rakiety. Tymczasem Julia Upjohn, dziecko bardzo inteligentne, przemyślała wszystko i doszła do wniosku, że posiadana przez nią rakietka, należąca poprzednio do Jennifer, jest w jakiś sposób ważna. Zbadła ją na własną rękę, stwierdziła, że jej podejrzenia były słuszne i zawiozła zawartość rakiety do mnie.

— Jest ona teraz pilnie strzeżona — ciągnął detektyw — i nie musi nas dłużej zajmować. Pozostaje rozważenie trzeciej tragedii.

— Nie dowiemy się nigdy, co *mademoiselle* Blanche podejrzewała lub o czym się dowiedziała. Mogła zobaczyć kogoś opuszczającego dom w noc śmierci panny Springer. Cokolwiek to było, znała tożsamość mordercy. Zatrzymała to dla siebie. W zamian za milczenie zamierzała uzyskać pieniądze.

— Nie ma nic niebezpieczniejszego — mówił dalej Herkules Poirot — niż szantażowanie osoby, która zabiła już dwukrotnie. *Mademoiselle* Blanche podjęła środki ostrożności, ale jakiegokolwiek one były, nic wystarczyły. Umówiła się z mordercą i została zabita.

Przerwał znowu.

— Oto mają państwo wyjaśnienie całej sprawy. Wszyscy patrzyli na niego. Ich twarze, wyrażające początkowo zainteresowanie, zaskoczenie, podniecenie, zastygły teraz w chłodnej ciszy, jakby obawiały się okazania jakichkolwiek emocji. Herkules Poirot skinął głową.

— Tak — powiedział. — Wiem, co czujecie. Jesteśmy już blisko domu? Właśnie dlatego ja, inspektor Kelsey i pan Adam Goodman prowadzimy śledztwo. Musimy dowiedzieć się, czy kot jest jeszcze wśród gołębi! Rozumiecie, co mam na myśli? Czy jest ktoś strojący się w fałszywe piórka?

Lekki ruch przeszedł wśród jego słuchaczy, rzucano krótkie, ukradkowe spojrzenia, jakby zebrani chcieli przyjrzeć się sobie, ale nie śmieli tego zrobić.

— Jestem szczęśliwy, mogąc was uspokoić. Wszyscy tu zgromadzeni są tymi, za kogo się podają. Panna Chadwick, na przykład, jest panną Chadwick, to znaczy, niewątpliwie jest tu od początku istnienia Meadowbank. Panna Johnson jest panną Johnson. Panna Rich jest panną Rich. Panna Shapland — panną Shapland. Panna Rowan i panna Blake są bez wątplenia sobą. Idąc dalej — ciągnął Poirot, zwracając głowę — Adam Goodman, pracujący w ogrodzie, jeśli nie jest ściśle Adamem Goodmannem, to w każdym razie jest osobą, której dane figurują w jego świadectwach. Musimy zatem szukać nic kogoś podszywającego się pod inną osobę, lecz kogoś, będącego mordercą we własnej tożsamości.

W pokoju panowała teraz głęboka cisza. W powietrzu wyczuwało się groźbę.

Poirot kontynuował.

— Szukamy przede wszystkim kogoś, kto był w Ramacie przed trzema miesiącami. Wiadomość, że skarb został ukryty w rakiecie tenisowej, można było zdobyć tylko w jeden sposób. Ktoś musiał widzieć, jak Bob Rawlinson wkładał go do schowka. Kto więc z tu obecnych był w Ramacie trzy miesiące temu? Panna Chadwick i panna Johnson znajdowały się tutaj, podobnie panna Rowan i panna Blake.

Wskazał palcem.

— Ale panna Rich — panny Rich nie było w ubiegłym trymestrze, prawda?

— Ja... nie, chorowałam — rzekła pośpiesznie. — Wyjechałam na cały okres.

— O tym właśnie nie wiedzieliśmy — rzekł detektyw — aż parę dni temu ktoś wspomniał o tym przypadkowo. Kiedy była pani przesłuchiwana przez policję, powiedziała pani po

prostu, że pracuje pani w Meadowbank od półtora roku. To prawda. Była pani jednak nieobecna w ostatnim trymestrze. Mogła pani przebywać w Ramacie — i przypuszczam, że tak właśnie się działo. Proszę uważać. Można to sprawdzić w pani paszporcie.

Po chwili milczenia Eileen Rich podniosła głowę.

— Tak — powiedziała spokojnie. — Byłam w Ramacie. Czemu nie?

— Po co pani tam pojechała?

— Wiadomo panu. Zachorowałam. Poradzono mi wypoczynek, wyjazd za granicę. Napisałam do panny Bulstrode i wyjaśniłam, że muszę opuścić jeden okres. Zrozumiała to w pełni.

— To prawda — potwierdziła panna Bulstrode.

— Załączone świadectwo lekarskie stwierdzało, że panna Rich nie powinna podejmować pracy przed następnym trymestrem.

— I pojechała pani do Ramatu? — spytał Herkules Poirot.

— Czemu nic miałabym tam pojechać? — powiedziała panna Rich lekko drżącym głosem.

— Dla nauczycielek są zniżki na przejazd. Pragnęłam wypoczynku i słońca. Pojechałam do Ramatu. Spędziłam tam dwa miesiące. Czemu nic miałabym tego zrobić?

— Nigdy nie wspomniała pani, że bawiła pani w Ramacie podczas rewolucji.

— Po co miałam mówić? Co to miało wspólnego z kimkolwiek tutaj? Nie zabiłam nikogo. Powiadam panu, że nie zabiłam nikogo.

— Została pani rozpoznana, wic pani o tym? Nie rozpoznana stanowczo, ale jednak. Jennifer nie była pewna. Powiedziała, że widziała panią w Ramacie, ale doszła do wniosku, iż nic może to być pani, ponieważ ta osoba była gruba, nie szczupła. — Pochylił się do przodu, przeszywając wzrokiem młodą kobietę.

— Co ma pani do powiedzenia, panno Rich? Zmieniła nagle front. — Wiem, co próbuje pan wykombinować — krzyknęła. — Usiłuje pan dowieść, że to nie tajny agent, ani nikt taki jest winien tych morderstw. Że to ktoś przypadkowo będący tam, kto zobaczył ukrywanie skarbu w rakiecie tenisowej. Ktoś, kto dowiedział się, że dziecko jedzie do Meadowbank i będzie sposobność zabrania ukrytej rzeczy. Powiadam panu jednak, że to nie jest prawda!

— Myślę, że tak się zdarzyło — oświadczył Poirot. — Ktoś zobaczył chowanie klejnotów i wszystko przestało go obchodzić, oprócz żądzy zdobycia ich...

— To nieprawda, mówię panu, że nic widziałam niczego...

— Inspektorze... — Poirot zwrócił się do Kelseya. Inspektor skinął, podszedł do drzwi, otworzył je i do pokoju weszła pani Upjohn.

## II

— Dzień dobry, panno Bulstrode — rzekła pani Upjohn, z zakłopotaniem. — Przepraszam za mój wygląd, ale wczoraj byłam w pobliżu Ankarę i przyleciałam wprost do kraju. Jestem strasznie brudna i naprawdę nie miałam czasu, żeby doprowadzić się do porządku.

— Nie szkodzi — powiedział Herkules Poirot. — Chcieliśmy o coś panią zapytać.

— Kiedy przywiozła pani córkę do szkoły — zaczął inspektor — i była pani w gabinecie panny Bulstrode, wyrzała pani przez okno wychodzące na podjazd i dostrzegłszy kogoś wydała pani okrzyk zdziwienia. Tak czy nie?

Pani Upjohn patrzyła na niego zakłopotana. — Kiedy byłam w gabinecie panny Bulstrode? Zobaczyłam., och, tak, oczywiście! Spostrzegłam kogoś.

— I ten widok zaskoczył panią?

— Tak, byłam dosyć... Widzi pan, to działo się tak dawno.

— Ma pani na myśli okres swojej pracy w kontrwywiadzie, pod koniec wojny?

— Tak. Upłynęło już z piętnaście lat. Naturalnie, wyglądała znacznie starszej, ale rozpoznałam ją natychmiast. I zaciekało mnie, co na miłość boską ona robi tu i teraz.

— Może rozejrzy się pani i powie mi, czy widzi pani tę osobę w tym pokoju?

— Tak, oczywiście — odparła pani Upjohn. — Zobaczyłam ją, jak tylko weszłam. To ona.

Wskazała palcem. Inspektor Kelsey poruszał się szybko. Adam również, nie zdążyli jednak. Ann Shapland skoczyła na równe nogi. W jej ręce ukazał się mały, paskudnie wyglądający pistolet automatyczny, wycelowany w panią Upjohn. Panna Bulstrode, szybsza od mężczyzn rzuciła się naprzód, ale jeszcze szybsza okazała się panna Chadwick. Jednak to nie panią Upjohn usiłowała osłonić, tylko kobietę stojącą między Ann Shapland i panią Upjohn.

— Nie możesz — krzyknęła Chaddy, rzucając się na pannę Bulstrode w momencie, kiedy pistolet przemówił.

Panna Chadwick zachwiała się, po czym powoli osunęła na ziemię. Adam i Kelsey pochwycili Ann Shapland. Walczyła jak dziki kot, ale udało się im wyrwać jej pistolet.

Pani Upjohn powiedziała bez tchu.

— Mówiono wtedy, że jest zabójczynią. Choć była taka młoda. Jedna z najgroźniejszych agentek. Miała pseudonim Angelica.

— Ty kłamliwa suko! — warknęła Ann.

Poirot zwrócił się do niej: — Ona nie kłamie. Jest pani niebezpieczna. Zawsze prowadziła pani ryzykowne życie. Aż do chwili obecnej nigdy pani tożsamość nie była podejrzana. Wszelkie zajęcia podejmowała pani pod własnym nazwiskiem, były to normalne prace, sprawnie wykonywane, wszystkie jednak miały na celu zbieranie informacji. Pracowała pani w Oil Company, u archeologa prowadzącego badania w pewnych krajach, u aktorki, której protektorem był wybitny polityk. Była pani agentką od siedemnastego roku życia, miała wielu zwierzchników, a usługi pani były do wynajęcia i dobrze opłacane. Grała pani podwójną rolę. Większość zadań wykonywała pani pod własnym nazwiskiem, zdarzały się jednak pewne prace, dla których trzeba było zmienić tożsamość. W tych przypadkach jechała pani rzekomo do domu i zostawała z matką.

— Podejrzewam jednak mocno, panno Shapland, że starsza kobieta, żyjąca w małym miasteczku z pielęgniarką, starsza kobieta, którą odwiedziłem, naprawdę chora psychicznie, nie jest wcale pani matką. Stała się wymówką służącą do porzucenia pracy i dla kręgu pani przyjaciół. Trzy miesiące, które tej zimy spędziła pan z „matką”, mającą jeden z fatalnych „nawrotów”, pokrywają się z czasem spędzonym w Ramacie. Nie jako Ann Shapland, tylko w charakterze Angeliki de Toledo hiszpańskiej albo prawie hiszpańskiej tancerki kabaretowej. Zajmowała pani pokój obok pani Sutcliffe i w jakiś sposób udało się pani zobaczyć Boba Rawlinsona ukrywającego klejnoty w rakiecie. Wówczas nie miała pani okazji zabrania rakiety, gdyż nastąpiła nagła ewakuacja obywateli brytyjskich, ale udało się pani odczytać wizytówki na bagażach i łatwo było dowiedzieć się czegoś o właścicielkach. Zdobycie posady sekretarki nie było trudne. Przeprowadziłem śledztwo. Zapłaciła pani znaczną sumę poprzedniej sekretarce panny Bulstrode za opuszczenie stanowiska z powodu „załamania nerwowego”. Pani zaś miała całkiem wiarygodną historię: rzekome zamówienie na serię artykułów o słynnej szkole dla dziewcząt, widzianej „od środka”.

— Wszystko wydawało się takie proste, prawda? Gdyby rakietka dziecka znikła, to co? Jeszcze prościej było pójść w nocy do pawilonu sportowego i wyjąć klejnoty. Nie liczyła się pani jednak z panną Springer. Może widziała już panią badającą rakiety. Może obudziła się przypadkowo tamtej nocy. Poszła za panią, a pani zastrzeliła ją. Później *mademoiselle* Blanche próbowała panią szantażować i pani ją zabiła. Zabijanie przychodzi pani z łatwością?

Przerwał. Inspektor Kelsey monotonnym, oficjalnym tonem ostrzegł uwięzioną.

Kobieta nie słuchała. Zwróciwszy się do Herkulesa Poirota rzuciła mu stek inwektyw, który zaskoczył wszystkich obecnych.

— Fiuu! — gwizdnął Adam, kiedy Kelsey zabrał zabójczynię. — A ja uważałem ją za miłą dziewczynę!

Panna Johnson klęczała przy panie Chadwick.

— Obawiam się, że jest ciężko ranna — powiedziała. — Nie ruszajmy jej lepiej aż do przyjścia doktora.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY POIROT WYJAŚNIA

### I

Pani Upjohn wędrowała szkolnymi korytarzami, zapomniawszy o niedawnej ekscytującej scenie. W tej chwili była po prostu matką poszukującą dziecka. Znalazła je w pustej klasie. Julia nachylona nad pulpitem, wysunąwszy język mozoliła się nad zadaniem szkolnym.

Spojrzała na wchodzącą i otworzyła usta ze zdziwienia. Potem rzuciła się przez pokój i przytuliła do matki.

— Mamusiu!

Następnie, zakłopotana, zawstydzony się spontanicznego wybuchu uczuć, odsunęła się i przemówiła niedbale, wręcz oskarżając.

— Czy nie wróciłaś za wcześniej, mamusiu?

— Przyleciałam z Ankary — powiedziała pani Upjohn, niemal usprawiedliwiając się.

— Och — odparła jej córka — no... Cieszę się, że wróciłaś.

— Ja też się cieszę.

Popatrzyły na siebie zakłopotane. — Co robisz? — spytała pani Upjohn, podchodząc bliżej.

— Piszę wypracowanie dla panny Rich. Ona daje nam naprawdę interesujące tematy.

— Jak brzmi ten? — dowiadywała się matka, nachylając się nad zeszytem.

Temat był napisany na początku strony. Niżej widać było dziewięć czy dziesięć linijek niepewnego i niewyraźnego pisma Julii. „Różnice postawy Makbeta i lady Makbet wobec morderstwa”.

— Cóż — rzekła matka. — Nie można powiedzieć, żeby nie był to temat aktualny.

Przeczytała początek pracy córki. „Makbetowi — pisała Julia — podobał się pomysł morderstwa i myślał wiele o nim, ale potrzebował bodźca, by zacząć. Kiedy rozpoczął, mordowanie ludzi radowało go i nie odczuwał lęku ani wyrzutów sumienia. Lady Makbet była chciwa i ambitna. Uważała, że nie będzie przejmować się swoimi czynami, jeśli otrzyma to, czego pragnie. Kiedy zabiła, stwierdziła jednak, że mimo wszystko nie pragnęła tego”.

— Twój język nic jest zbyt elegancki. Myślę, że wyszlifujesz go trochę, ale z pewnością jakaś myśl w tym jest.

### II

W głosie inspektora Kelseya brzmiał ślad skargi.

— Tobie jest dobrze, Poirot. Wolno ci robić i mówić wiele rzeczy, które są nam zabronione: a muszę przyznać, że cała sprawa została dobrze wyreżyserowana. Uspiełeś jej czujność, najpierw myślała, że podejrzewamy Rich, a potem nagłe zjawienie się pani Upjohn spowodowało, że straciła głowę. Na szczęście zatrzymała pistolet po zastrzeleniu tej Springer. Jeżeli kule będą się zgadzać...

— Będą, *mon ami*, będą — zapewnił Poirot.

— Dostaniemy ją więc za morderstwo panny Springer i panny Blanche. Przypuszczam też, że panna Chadwick jest w złym stanie. Ale słuchaj, Poirot. Wciąż nie wiem, jak ona zdołała zabić pannę Vansittart. To fizycznie niemożliwe. Ma żelazne alibi — chyba że miody Rathbone i cały personel Nid Saiwage jest w zмовie.

Poirot potrząsnął głową. — O nie — powiedział. — Jej alibi jest zupełnie dobre. Zamordowała pannę Springer i *mademoiselle* Blanche. Natomiast panna Vansittart... — zawahał się chwilę. Jego oczy skierowały się na siedzącą obok pannę Bulstrode. — Panna Vansittart została zabita przez pannę Chadwick.

— Pannę Chadwick? — wykrzyknęli razem inspektor i panna Bulstrode.

Poirot przytaknął. — Jestem tego pewien.

— Ale, dlaczego?

— Sądzę, że panna Chadwick zbyt kochała Meadowbank...

— Rozumiem... — powiedziała wolno panna Bulstrode. — Tak, rozumiem... Powinna się była domyślić. Uważa pan, że ona...?

— Myślę, że zaczawszy razem z panią, od początku uważała Meadowbank za rodzaj spółki między wami.

— I w pewnym sensie tak było — potwierdziła panna Bulstrode.

— Właśnie. Ale to tylko aspekt finansowy. Kiedy zaczęła pani mówić o przejściu na emeryturę, uznała siebie za następczynię.

— Była jednak o wiele za stara — zaprotestowała panna Bulstrode.

— Tak — zgodził się detektyw. — Za stara i nie nadająca się na dyrektorkę szkoły. Miała jednak odmienne zdanie. Uważała za rzecz naturalną, że po pani odejściu obejmie szkołę. I nagle stwierdziła, że wszystko jest inaczej. Że pani bierze pod uwagę kogoś innego, że związała się pani z Eleanor Vansittart. A ona kochała Meadowbank. Kochała szkołę, a nie lubiła panny Vansittart. Myślę, że pod koniec nienawidziła jej.

— Mogła to zrobić — rzekła panna Bulstrode.

— Tak, Eleanor była, jakby to powiedzieć zadowolona z siebie, bardzo wyniosła. Trudno to ścierpieć, jeżeli jest się zazdrosnym. To właśnie miał pan na myśli? Chaddy była zazdrosna.

— Tak. Zazdrosna o Meadowbank i o pannę Vansittart. Nie umiała znieść myśli o połączeniu szkoły i panny Vansittart. A potem może coś w pani zachowaniu nasunęło jej podejrzenie, że zmienia pani decyzję?

— Rzeczywiście — powiedziała panna Bulstrode.

— Lecz nie w sposób, jakiego oczekiwała Chaddy. Szczerze mówiąc, pragnęłam kogoś młodszego niż panna Vansittart. Przemyślałam to i odezwałam się „Nie, ona jest zbyt młoda...”, myśląc o kimś zupełnie innym. Pamiętam, że Chaddy była wtedy ze mną.

— I wydało się jej, że mówi pani o panie Vansittart. Uważała ją pani za zbyt młodą. Całkowicie się z tym zgadzała. Sądziła, że jej doświadczenie i mądrość są znacznie ważniejsze. Potem jednak wróciła pani do pierwotnej decyzji. Wybrała pani Eleanor Vansittart i wyjechała pani, zostawiając na weekend szkołę pod jej opieką. Oto, co się według mnie zdarzyło. Tamtej nocy panna Chadwick nic mogła zasnąć, wstała więc i spostrzegła światło na korytarzu do squasha. Poszła tam, jak powiada. W jej zeznaniach jest tylko jedna niedokładność. Nie wzięła ze sobą kija golfowego. Zabrała z leżącego w hallu stosu woreczek z piaskiem. Poszła tam, gotowa poradzić sobie z włamywaczem, który powtórnie wdarł się do pawilonu. Trzymała woreczek w pogotowiu, aby bronić się przed atakiem. I co zastała? Ujrzała pannę Vansittart na kolanach, zagładającą do szafki. Pomyślała (jeżeli mam rację, wnikając w tok czyichś myśli), że gdyby ona sama była włamywaczem, podeszłaby z tyłu i rąbnęła ją. Jak tylko przyszło jej to do głowy, na pół świadomie podniosła woreczek i uderzyła. I Eleanor Vansittart leżała martwa, usunięta z drogi. Wtedy czyn ją przeraził. Od tego czasu męczyła się, gdyż nic jest z natury zabójczynią. Doprowadziła ją do tego zazdrość i obsesyjna miłość do Meadowbank. Kiedy panna Vansittart nie żyła, panna Chadwick była zupełnie pewna, że zostanie następczynią pani. Wobec tego nie przyznała się. Opowiedziała swoją historię policji dokładnie, poza jednym ważnym faktem, że to ona zadała cios. Kiedy jednak pytano ją o kij golfowy, który przypuszczalnie wzięła ze sobą panna Vansittart,

zdenerwowana wszystkimi zdarzeniami, panna Chadwick szybko przyznała się do przyniesienia go. Nie chciała, by pan pomyślał nawet przez moment, że dotykała woreczka z piaskiem.

— Dlaczego Ann Shapland także wybrała taki woreczek, aby zabić *mademoiselle* Blanche? — spytała panna Bulstrode.

— Po pierwsze nic mogła ryzykować strzału w szkole, a po wtóre, ponieważ jest bardzo sprytną młodą kobietą. Pragnęła, by trzecie morderstwo wiązało się z drugim, na które miała alibi.

— Naprawdę nie rozumiem, co Eleanor robiła w pawilonie sportowym — rzekła panna Bulstrode.

— Wydaje mi się, że można to odgadnąć. Zaniepokoiła się zniknięciem Shaisty o wiele bardziej, niż to okazała. Zdenerwowała się tak samo jak panna Chadwick. Sytuacja była gorsza dla niej, ponieważ pani zostawiła szkołę pod jej opieką i porwanie zdarzyło się w momencie, kiedy ona ponosiła odpowiedzialność. Co więcej, lekceważyła je tak długo, jak się dało, nic chcąc stawić czoła nieprzyjemnemu faktowi.

— A więc za fasadą kryła się słabość — zadumała się panna Bulstrode. — Czasami podejrzewałam to.

— Ona również zapewne nie mogła spać. Udała się po cichu do pawilonu, żeby zbadać szafkę Shaisty, na wypadek, gdyby tam krył się klucz do zniknięcia dziewczyny.

— Znajduje pan wyjaśnienie wszystkiego, panie Poirot.

— To jego specjalność — zauważył trochę złośliwie inspektor Kelsey.

— A co to za pomysł ze szkicowaniem przez Eilcen Rich różnych członków mego personelu?

— Chciałem sprawdzić zdolność Jennifer do rozpoznawania twarzy. Wkrótce przekonałem się, że pochłonięta swoimi sprawami, przygląda się obcym pobieżnie, dostrzegając tylko powierzchowne szczegóły. Nie rozpoznała panny Blanche w innym uczesaniu. Tym mniej mogłaby rozpoznać Ann Shapland, która jako pani sekretarka była rzadko widywana z bliska.

— Sądzi pan, że kobietą z rakietą była Ann Shapland?

— Tak. To zrobiła jedna osoba. Pamięta pani, że tego dnia zadzwoniła pani po nią, żeby przekazała polecenie Julii, ale ponieważ nie było odpowiedzi, posiała pani dziewczynkę, aby to zrobiła. Ann umiała się szybko przebierać. Jasna peruka, inaczej nakreślone brwi, wyszukana suknia i kapelusz. Wystarczyło jej odejść od maszyny tylko na dwadzieścia minut. Patrząc na zręczne szkice panny Rich zobaczyłem, jak łatwo jest kobiecie zmienić wygląd, poprzez zewnętrzne szczegóły.

— Panna Rich... Ciekawa jestem... — panna Bulstrode zamyśliła się

Poirot rzucił spojrzenie na inspektora, a ten oświadczył, że musi coś załatwić.

— Panna Rich? — powtórzyła panna Bulstrode.

— Proszę po nią posłać — rzekł Poirot. — Tak będzie najlepiej.

Zjawiała się Eileen Rich. Była blada i zbuntowana.

— Pani chce wiedzieć, co robiłam w Ramacie?

— Wydaje mi się, że coś mi przychodzi do głowy.

— Właśnie to — powiedział Poirot. — Dzieci dzisiaj wiedzą wszystko o życiu, ale ich oczy pozostają niewinne.

Dodał, że też musi dokądś pójść i wyszedł.

— O to chodziło, prawda? — spytała panna Bulstrode. Jej głos był wesoły i rzeczowy. — Jennifer po prostu opisała cię jako grubą. Nie zdawała sobie sprawy, że widzi kobietę w ciąży.

— Tak — powiedziała panna Rich. — Chodziło właśnie o to. Miałam urodzić dziecko. Nie chciałam stracić pracy tutaj. Udawało mi się przez całą jesień, ale potem ciąża zaczęła być widoczna. Dostałam od lekarza zaświadczenie, że nie mogę prowadzić zajęć i na jego

podstawie wzięłam urlop na poprzedni okres. Wyjechałam za granicę, bardzo daleko, gdzie nie spodziewałam się spotkać nikogo znajomego. Dziecko urodziło się martwe. Wróciłam na ten trymestr i miałam nadzieję, że nikt się nigdy nie dowie... Rozumie pani już, dlaczego mówiłam, że musiałabym odrzucić pani ofertę kierowania szkołą? Dopiero teraz, kiedy zdarzyła się katastrofa, pomyślałam, że mimo wszystko mogłabym ją przyjąć.

Przerwała i zapytała rzeczowo:

— Czy chce pani, żebym wyjechała teraz? Czy mam poczekać do końca okresu?

— Zostaniesz do końca, a jeśli — jak mam nadzieję — będzie nowy trymestr, wrócisz.

— Mam wrócić? Czy to znaczy, że jeszcze mnie pani potrzebuje?

— Jasne, że chcę ciebie — powiedziała panna Bulstrode. — Nie zamordowałaś nikogo, prawda? Nie oszalałaś na punkcie klejnotów i nie zamierzałaś zabijać, aby je zdobyć? Powiem ci, co zrobiłaś. Prawdopodobnie za długo tłumiałaś naturalny instynkt. Znalazł się mężczyzna, zakochałaś się i miałaś dziecko. Przypuszczam, że nie mogłaś wyjść za mąż.

— Małżeństwo nigdy nie wchodziło w rachubę. Wiedziałałam o tym. On nie jest winny.

— Bardzo dobrze więc. Miałaś przygodę miłosną i dziecko. Pragnęłaś go?

— Tak. Chciałam je mieć.

— Więc to tak — rzekła panna Bulstrode. — Zamierzam ci coś powiedzieć. Otóż jestem przekonana, że twoim prawdziwym powołaniem jest nauczanie. Jestem zdania, że ten zawód znaczy dla ciebie więcej niż przeciętne życie z mężem i dziećmi.

— O tak — zgodziła się Eileen — jestem tego pewna. Zawsze o tym wiedziałam. To właśnie chcę robić. To prawdziwa pasja mego życia.

— Więc nie bądź głupia. Składałam ci naprawdę dobrą ofertę. Jeżeli, oczywiście, wszystko pójdzie dobrze. Stracimy dwa lub trzy lata, aby umieścić Meadowbank znowu na mapie. Będziesz miała inne pomysły niż ja. Wysłucham twoich idei. Może ci ustąpię. Przypuszczam, że pragniesz, by w Meadowbank działało się inaczej?

— W pewien sposób, tak — odparła Eileen. — Nie będę ukrywać. Chciałabym przyjmować więcej dziewcząt realnie myślących.

— Ach, rozumiem. Nie przepadasz za snobizmem.

— Nie. Wydaje mi się, że on wszystko psuje.

— Nie zdajesz sobie sprawy, że dziewczyny, które chcesz tu mieć, wymagają odrobiny snobizmu. Naprawdę bardzo niewiele: kilka przedstawicielek rodzin królewskich, parę wielkich nazwisk i już wszyscy niemądry rodzice z naszego kraju i z zagranicy pragną posłać córki do Meadowbank. Szaleją, żeby ich dzieci zostały przyjęte do naszej szkoły. Jaki jest rezultat? Ogromna lista czekających, a ja robię przegląd dziewcząt i zostawiam śmietankę. Wybieram uczennice, jedne z powodu charakteru, inne dla ich bystrości, jeszcze inne ze względu na intelekt. Niektóre według mnie nie mają szans, ale uważam, że mogą dokonać czegoś ważnego. Jesteś młoda. Eileen. Masz masę ideałów, strona etyczna uczenia jest dla ciebie istotą wszystkiego. Twoja wizja jest słuszna, cenna dla dziewcząt, ale jeżeli zechcesz odnieść sukces pod każdym względem, musisz być dobrym rzemieślnikiem. Pomysły są jak wszystko inne. Trzeba je sprzedać. Musimy wykonać trochę zręcznej roboty, żeby Meadowbank ruszyła znowu. Spróbuję zarzucić sieci na kilka osób, dawne uczennice, zdobyć je, przekonać, żeby przysłały tu swoje córki. Wtedy przyjdą inni. Zostaw mi moje sztuczki, a potem będziesz miała własną drogę. Meadowbank będzie działać i będzie to dobra szkoła.

— To musi być najlepsza szkoła w Anglii — oświadczyła Eileen Rich entuzjastycznie.

— Dobrze — zgodziła się panna Bulstrode. — I. Eileen, poszłabym do fryzjera i przycięła ładnie włosy. Nie jesteś w stanie utrzymać ich w koku. A teraz — powiedziała zmienionym głosem — muszę pójść do Chaddy.

Weszła i zbliżyła się do łóżka. Panna Chadwick leżała cicha i blada. Krew odpłynęła z jej twarzy i zdawało się, że wyciekło z niej życie. Obok siedział policjant z notatnikiem, a z drugiej strony panna Johnson. Popatrzyła na pannę Bulstrode i potrząsnęła łagodnie głową.

— Hallo, Chaddy — rzekła panna Bulstrode. Ujęła słabą rękę w swoje dłonie. Panna Chadwick otworzyła oczy:

— Chciałam ci powiedzieć. Eleanor... to... to zrobiłam ja.

— Tak, kochanie, wiem.

— To zazdrość. Chciałam...

— Wiem — powtórzyła panna Bulstrode.

Łzy potoczyły się wolno po policzkach panny Chadwick: — To okropne... Nie zamierzałam... Nie rozumiem, jak mogłam zrobić coś takiego!

— Nie myśl o tym więcej.

— Ale nie potrafię... nigdy nie będziesz... Nigdy sobie nie wybaczę...

Panna Bulstrode ujęła mocniej rękę rannej:

— Słuchaj, kochanie. Ocaliłaś moje życie. Moje i tej miłej kobiety, pani Upjohn. To się liczy, prawda?

— Pragnę tylko... — powiedziała panna Chadwick. — Mogłabym oddać moje życie za was obie. To byłoby w porządku...

Dyrektorka popatrzyła na nią z żalem. Panna Chadwick odetchnęła głęboko, uśmiechnęła się i przechyliwszy głowę na bok, umarła.

— Oddałaś swoje życie, kochanie — szepnęła cicho panna Bulstrode. — Mam nadzieję, że teraz wiesz.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY DZIEDZICTWO

### I

- Jakiś pan Robinson chce się widzieć z panem.
- Ach! — Poirot wziął leżący przed nim na biurku list i przejrzał go w zadumie.
- Wprowadź go, Georges. List składał się z kilku linijek.

Drogi Poirot,

w niedalekiej przyszłości może odwiedzić pana niejaki pan Robinson. Może wie pan już coś o nim. Jest znaną postacią w pewnych kręgach. W naszych czasach jest zapotrzebowanie na tego rodzaju ludzi. Uważam, że w tym przypadku jest on, jeżeli mogę się tak wyrazić, po stronie aniołów. To tylko rekomendacja, na wypadek gdyby miał pan wątpliwości. Oczywiście, chcę to podkreślić, nie mamy pojęcia, w jakiej sprawie chce się pana poradzić...

Ha ha! i ponadto ho ho!

Zawsze pański  
Ephraim Pikeaway

Poirot odłożył list i wstał, kiedy gość wszedł do pokoju. Usiadł, wyciągnął chusteczkę i otarł swoją wielką, żółtawą twarz. Zauważył, że dzień jest ciepły.

— Mam nadzieję, że nic musiał pan przyjsć tu piechotą w takim upale?

Poirot wydawał się wstrząśnięty samą taką myślą. Poprzez naturalne skojarzenie sięgnął do wąsów. Uspokoił się. Nie były zwiotczałe.

Pan Robinson był równie zgorzony.

— Ależ nie. Przyjechałem moim rollsem. Ale te korki. Można utkwic czasem na pół godziny.

Poirot skinął głową ze współczuciem.

Nastąpiła pauza, wieńcząca pierwszą część rozmowy, przed rozpoczęciem drugiej.

— Usłyszałem z zainteresowaniem, choć słyszy się tak wiele rzeczy, a większość z nich nie jest prawdziwa, że był pan zaangażowany w tę historię szkoły dla dziewcząt.

— Ach — powiedział Poirot. — Ta historia!

Odchylił się do tyłu w fotelu.

— Meadowbank — rzekł z namysłem pan Robinson. — Jedna z najlepszych szkół w Anglii.

— To świetna szkoła.

— Jest? Czy była?

— Mam nadzieję, że to pierwsze.

— Ja również mam taką nadzieję — oświadczył pan Robinson. — Boję się, że sytuacja może być krytyczna. Cóż, trzeba robić, co się da. Małe wsparcie finansowe, dla wybrnięcia z nieuniknionych trudności. Kilka starannie dobranych nowych uczennic. Mam pewne wpływy w środowiskach europejskich.

— Ja również muszę użyć perswazji w pewnych sferach. Być może, jak pan powiada, potrafimy wpłynąć na przebieg spraw. Na szczęście pamięć ludzka jest krótka.

— W tym cała nadzieja. Trzeba jednak przyznać, że zdarzenia tamtejsze mogły wstrząsnąć nerwami czułych mamus, i tatusiów także. Nauczycielka gimnastyki, francuskiego i jeszcze jedna, wszystkie zamordowane.

— Tak jest.

— Słyszałem (opowiada się tak wiele rzeczy), że ta nieszczęsna młoda kobieta cierpiała od młodych lat na fobię na punkcie nauczycielek. Niefortunne dzieciństwo w szkole. Psychiatrzy będą mieli sporo roboty. Będą próbowali uzyskać werdykt uznający ograniczoną poczytalność, jak to się dziś określa.

— To chyba najlepsze wyjście — powiedział Poirot.

— Zechce mi pan wybaczyć moją nadzieję, że to się nie powiedzie.

— Zgadzam się z panem w zupełności. Bezlitosa morderczyni. Niemniej będą podkreślać jej dobrą reputację, pracę sekretarki u rozmaitych znanych osób, wybitne zasługi wojenne — chyba kontrwywiad...

Ostatnie słowa wypowiedział znacząco, z ukrytym w głosie pytaniem.

— Była bardzo dobra, o ile mi wiadomo — ciągnął. — Taka młoda, lecz znakomita, użyteczna dla obu stron. To była jej praca; musiała przy niej zostać. Mogę jednak zrozumieć pokusę, aby spróbować na własną rękę i zdobyć wielką wygraną. Bardzo wielką — dodał łagodnie.

Poirot skinął głową.

Pan Robinson pochylił się do przodu.

— Gdzie one są, panie Poirot?

— Sądzę, że pan wie.

— Cóż, szczerze mówiąc, wiem. Banki to takie pożyteczne instytucje.

Poirot uśmiechnął się.

— Nie musimy owijać spraw w bawełnę. Co pan zamierza zrobić z nimi?

— Będę czekać.

— Czekać na co?

— Powiedzmy, na propozycje.

— Rozumiem.

— Pojmuje pan, one nie są moje. Chciałbym je wręczyć osobie, do której należą. To jednak, jeżeli oceniam sytuację właściwie, nie jest łatwe.

— Rządy są w trudnej sytuacji. Podatnej na ciosy, że tak powiem. Biorąc pod uwagę ropę naftową, stal, uran, kobalt i całą resztę, stosunki zagraniczne są rzeczą niezmiernie delikatną. Doniosłą sprawą jest możliwość stwierdzenia, że rząd jej królewskiej mości nie posiada na wiadomy temat żadnych informacji.

— Nie mogę jednak trzymać takiego depozytu w moim banku w nieskończoność.

— Właśnie. Dlatego proponuję, żeby wręczył go pan mnie.

— Ach — powiedział Poirot. — Dlaczego?

— Mogę podać panu kilka rozsądnych powodów. Te kamienie — na szczęście nie jesteśmy osobami oficjalnymi i możemy nazywać rzeczy po imieniu — stanowią niekwestionowaną własność zmarłego księcia Alego Yusufa.

— Wiem, że tak jest.

— Jego wysokość wręczył je majorowi Robertowi Rawlinsonowi wraz z pewnymi instrukcjami. Miały zostać wywiezione z Ramatu i dostarczone mnie.

— Ma pan dowód na to?

— Oczywiście.

Pan Robinson wydobył z kieszeni długą kopertę. Wyjął z niej kilka kartek i położył przed Poirotem. Detektyw obejrzał je starannie.

— To wydaje się potwierdzać pańskie słowa.

— A więc?

— Pozwoli pan, że zadam pytanie?

— Proszę bardzo.

— Co pan osobiście zyskuje na tym? Pan Robinson wydawał się zdziwiony.

— Ależ drogi panie, oczywiście pieniądze. Sporo pieniędzy.

Poirot przyglądał mu się w zadumie.

— To bardzo stare zajęcie — rzekł Robinson. — I całkiem lukratywne. Jest nas duża grupa, sieć na całym świecie. Dla królów, prezydentów, polityków, dla tych wszystkich, od których bije mocne światło, jak mówi poeta. Współpracujemy ściśle i pamiętamy o jednym: dotrzymać słowa. Nasze korzyści są duże, ale jesteśmy uczciwi. Nasze usługi są kosztowne, ale zdajemy z nich rachunek.

— Rozumiem — rzekł Poirot. — *Eh bien!* Zgadzam się na pańską prośbę.

— Mogę pana zapewnić, że ta decyzja zadowoli wszystkich — wzrok pana Robinsona spoczął na moment na liście pułkownika Pikeawaya, leżącym przed Poirotem.

— Jeszcze chwileczkę. Jestem człowiekiem. Męczy mnie ciekawość, co zamierza pan zrobić z tymi kamieniami.

Robinson popatrzył na niego. Potem jego wielka, żółtawa twarz, zmarszczyła się w uśmiechu. Nachylił się do przodu:

— Powiem panu. — I powiedział.

## II

Na ulicy bawiły się dzieci. Ich krzyki napępiały powietrze. Pan Robinson, wydobywszy się ociężale ze swego rollsa, wpadł na jedno z nich.

Odsunął dziecko bez zniecierpliwienia i sprawdził adres.

Numer 15. To tutaj. Otworzył furtkę i podszedł do frontowych drzwi. Zauważył czyste, białe zasłony w oknach i wypucowaną mosiężną kołatkę. Zwyczajny domek przy małej uliczce w skromnej dzielnicy Londynu, ale zadbane. Widać było poczucie własnej godności mieszkańców.

Drzwi otworzyły się. Dziewczyna mniej więcej dwudziestopięcioletnia, ładna urodą z bombonierki, powitała go uśmiechem.

— Pan Robinson? Proszę wejść. Wprowadziła go do małego salonu. Telewizor, stylowe kretony, małe pianino pod ścianą. Dziewczyna nosiła ciemną spódnicę i szary sweter.

— Napije się pan herbaty? Nastawiłam czajnik.

— Dziękuję, ale nie. Nigdy nie pijam herbaty. I mogę zostać tylko bardzo krótko. Przyniosłem pani coś, o czym pisałem.

— Od Alego?

— Tak.

— Czy nie ma... Nie może być... żadnej nadziei? Chcę powiedzieć... czy to prawda, że zginął? Pomyłka nie jest możliwa?

— Obawiam się, że nie.

— Tak przypuszczałam. W każdym razie, nigdy nie oczekiwałam... Kiedy wracał tam, nigdy nie spodziewałam się, że jeszcze go ujrzę. Nie przypuszczałam, że zginie, albo że tam będzie rewolucja. Uważałam, no wie pan, że będzie robił, co do niego należy. Ożeni się z kobietą swojej narodowości i tak dalej.

Pan Robinson wyjął pakiet i położył na stole. — Proszę to otworzyć.

Rozdarła opakowanie trochę nieporadnie i wreszcie odwinęła ostatnią warstwę...

Gwałtownie wciągnęła oddech.

Kamienie czerwone, niebieskie, zielone, białe, wszystkie rzucające ogień, zamieniły ciemny pokój w grotę Aladyna.... Zapytała bez tchu:

— Czy... chyba nie są prawdziwe?

— Są prawdziwe.

— Ależ to musi być... musi być warte... Jej wyobraźnia zawiodła.

Pan Robinson skinął głową.



— Jeżeli zechce się pani ich pozbyć, może pani uzyskać za nie przynajmniej pół miliona funtów.

— Nie, to niemożliwe.

Nagle zgarnęła je i zapakowała drżącymi rękami

— Boję się — powiedziała. — One mnie przerażają. Co z nimi zrobię?

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Wbiegł mały chłopiec.

— Mamusiu, przyniosłem od Billy'ego bombowy czołg. On...

Przerwał zobaczywszy pana Robinsona. Czarnowłosego chłopca o oliwkowej skórze. Jego matka powiedziała:

— Idź do kuchni, Allen, masz tam gotową herbatę. Jest mleko i biszkopty, i kawałek piernika.

— Dobrze — wyszedł cicho.

— Nazwała go pani Allen? Zarumieniła się.

— To imię brzmiało najbardziej podobnie do „Ali”. Nie mogłam nazwać go Ali, to zbyt kłopotliwe.

Zasepiła się.

— Co mam robić?

— Po pierwsze, muszę dostać pani akt małżeństwa, aby być pewnym, że jest pani właściwą osobą.

Patrzyła na niego chwilę, po czym podeszła do małego biurka. Z jednej z szuflad wydobyła kopertę, wyjęła papier i wręczyła mu.

— Hm... tak... Wpisane do rejestru w Edmondstow... Ali Yusuf, student... Alice Calder, panna. Tak, w porządku.

— Och, wszystko zostało załatwione legalnie. Nikt nie wpadł na to, kim on jest. Przebywa tu tak wielu arabskich studentów. Wiedzieliśmy, że to jest bez znaczenia. On był muzułmaninem i mógł mieć więcej niż jedną żonę, było jasne, że musi tam wrócić i zrobić to. Rozmawialiśmy na ten temat. Ale Allen był już w drodze i Ali powiedział, że dla niego weźmiemy ślub według prawa naszego kraju, żeby Allen miał legalne pochodzenie. Zrobił dla mnie wszystko, co mógł. Naprawdę mnie kochał. Naprawdę.

— Jestem tego pewien.

Po chwili milczenia zaproponował:

— Przypuśćmy, że odda się pani w moje ręce. Rozejrzę się wokół sprzedaży tych kamieni. I dam pani adres prawnika, bardzo dobrego i solidnego. Poradzi pani prawdopodobnie, żeby złożyć pieniądze na fundusz powierniczy. Będą nowe sprawy: edukacja pani syna i inne życie dla pani. Potrzebuje pani oglądy towarzyskiej i mądrych porad. Staje się pani bardzo bogatą kobietą i różne rekiny i naciągacze będą na panią polować. Pani życie będzie trudne, poza stroną czysto materialną. Bogaci ludzie nie mają łatwego życia, mogę to pani powiedzieć — zbyt wielu ich widziałem, by mieć złudzenia. Myślę jednak, że ma pani charakter. Przetrzyjmy to pani. A pani synek może być szczęśliwszym człowiekiem niż jego ojciec.

Przerwał znowu na chwilę, po czym zapytał: — Zgadza się pani?

— Tak. Proszę je wziąć — podała mu pakiet i nagle powiedziała: — Chciałabym, żeby ta uczennica, która znalazła kamienie, dostała jeden z nich. Jak pan myśli, jaki kolor lubi?

Pan Robinson zastanowił się. — Chyba szmaragd zielony jak tajemnica. Ma pani dobry pomysł: na dziewczynie zrobi to wstrząsające wrażenie.

Podniósł się.

— Polecam pani moje usługi. Są drogie, ale nie oszukam pani.

Popatrzyła na niego trzeźwo.

— Nie przypuszczam, żeby pan mnie oszukał. Potrzebuję kogoś, kto zna się na interesach, ponieważ ja nic o tym nie wiem.

— Wydaje się pani bardzo rozsądną kobietą. A więc mam je zabrać? Nie chce pani zatrzymać, powiedzmy, jednego?

Zaobserwował z ciekawością nagły błysk podniecenia i pożądliwości w jej oczach. Potem błysk zgasł.

— Nie — odparła. — Nie chcę nawet jednego. — Zarumieniła się. — Pewnie wyda się to panu idiotyczne, nie zostawić sobie jednego wielkiego rubinu lub szmaragdu na pamiątkę. Widzi pan, on był muzułmaninem, ale pozwalał czasem czytać sobie Biblię. I czytaliśmy ten fragment o kobiecie, której cena była wyższa nad rubiny. Nie chcę żadnych kamieni...

— Niezwykła kobieta — powiedział do siebie pan Robinson, idąc do samochodu.

— Naprawdę niezwykła...